

Tom 3 trylogii

wydanej w 32 krajach i filmowanej
przez Universal Pictures

Córka DYMU i KOŚCI

Sny

BOGÓW i POTWORÓW

CZĘŚĆ 2

LAINI TAYLOR



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Sny
**BOGÓW i
POTWORÓW** CZĘŚĆ 2

LAINI TAYLOR

Przekład
Julia Wolin



**Korekta
Halina Lisińska
Hanna Lachowska**

**Projekt graficzny okładki
Alison Impey
© 2014 Hachette Book Group, Inc.**

**Zdjęcia na okładce
© Maksim Toome/Shutterstock
© Volodymyr Krasyuk/Shutterstock**

**Ilustracja na okładce
Sammy Yuen**

**Tytuł oryginału
Dreams of Gods & Monsters**

**Copyright © 2014 by Laini Taylor
All rights reserved**

**For the Polish edition
Copyright © 2015 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.**

ISBN 978-83-241-5632-0

Warszawa 2015. Wydanie I

**Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 620 40 13, 620 81 62**

www.wydawnictwoamber.pl

**Konwersja do wydania elektronicznego
P.O. OPCJA
juras@evbox.pl**

Przybycie + 48 godzin (c.d.)

Niebo w ogniu

Zapadła cisza.

Ale nie zupełna. Palił się ogień i wiał wiatr, słycać było więc trzaski i szepty, a do tego odgłos ich ciężkich oddechów. Ale oni trwali w szoku, więc cisza wydawała im się absolutna. Zmrużyli oczy, bo oślepił ich blask płomieni. Wystrzeliły niespodziewanie, a potem równie szybko zgasły, nie pozostawiając ani dymu, ani zapachu. Cokolwiek spłonęło – bo tak naprawdę nie wiadomo, co oddzielało od siebie światy – nie zostawiło po sobie popiołu ani zgliszczy. Przejście rozplynęło się w powietrzu.

Karou wypatrywała jego śladów. Blizn, zmarszczek, powidoku, ale nie było nic.

Odwróciła się do Akivy.

Akiva. Był tu. On, nie Liraz. Jak to się stało? Nie patrzył na nią. Oczami szeroko otwartymi z przerażenia wpatrywał się w to, co jeszcze przed chwilą widział na niebie.

– Liraz! – krzyknął zachrypniętym głosem, ale przejście zostało zamknięte. Nie, nie tylko zamknięte. Usunięte. Niebo było teraz po prostu niebem, cienką warstwą atmosfery nad afrykańskimi górami. Zniknęła anomalia, dzięki której Eretz zdawało się być jakby... sąsiednim państwem po drugiej stronie obrotowych drzwi. Teraz znajdowało się bardzo daleko, niemożliwie i fantastycznie, tak jakby istniało tylko w wyobraźni. A przelewana tam krew...

Boże. Krew nie mogła być wytworem wyobraźni. Umieranie też nie. Tutaj panował spokój, szumiał tylko wiatr, a przyjaciele, towarzysze i... rodzina, każdy żołnierz Bastardów, który pozostał przy życiu, przyrodni bracia i siostry Akivy, walczyli pod innym niebem i nie można było im pomóc.

Zostawili ich tam.

Akiva się odwrócił. Wstrząśnięty, blady, nic nierozumiejący.

– Co... Co się stało? – spytała Karou i podleciała do niego.

– To Liraz – odparł takim tonem, jakby wciąż usiłował to zrozumieć. – Wypchnęła mnie. Stwierdziła, że... – Przełknął ślinę. – Że to ja mam żyć. Że ja powinienem przeżyć.

Wgapił się w powietrze, jakby mógł wejrzeć do innego świata. Jakby Liraz została po drugiej stronie zasłony. Ale przejście zniknęło i nie mogli pojąć, że jakimś cudem kiedykolwiek istniało. Gdzie jest teraz Eretz i co za magia sprawiła, że do niedawna znajdowało się na

wyciągnięcie ręki? Kto stworzył przejścia, kiedy i jak? Karou przywołała znany jej model kosmosu. Planety obracające się wokół gwiazdy w nieskończonej przestrzeni, aż niemożliwej do pojęcia. Nie wiedziała, jak w tę wizję wpasować Eretz. To było jak próba dopasowania do siebie puzzli z różnych układanek.

– Liraz da sobie radę z tamtym oddziałem – zapewniła. – Zawsze też może się stać niewidzialna i uciec.

– I gdzie polecieć? Wrócić do tej masakry?

Masakra.

W głębi siebie poczuła coś dziwnego, jakby kształtujący się krzyk. Krzyczało jej serce i wnętrzności, krzyk się przez nią przelewał. Przypomniało jej się Loramendi i pokręciła głową. Drugi raz tego nie zniesie, nie wróci do Eretz, żeby zastać tam śmierć. Nie mogła nawet o tym myśleć.

– Mogą wygrać – oznajmiła. Chciała, żeby kiwnął głową, zgodził się z nią. – Połączyliśmy bataliony. Chimery osłabiają napastników, a sam mówileś... – przełknęła ślinę – że Dominium nie mają szans z Bastardami.

Oczywiście dobrze wiedziała, że nic takiego nie mówił. Powiedział tylko, że w pojedynku jeden na jednego Dominium nie miałoby szans. Ale to pod żadnym względem nie był pojedynek jeden na jednego.

Akiva nie zaprzeczył. Ani nie przytaknął. Nie utwierdził jej w wierze, że wszystko będzie dobrze.

– Próbowałem wezwać sirithar. Źródło mojej mocy. Ale nie mogłem. Najpierw z tego powodu zginął Hazael, a teraz cała reszta.

Karou pokręciła głową.

– Nie zginą.

– Ja wszystko zacząłem. Przekonałem ich. I teraz tylko ja przeżyję?

Wciąż kręciła głową. Zaciśnęła dłonie. Pochyliła się lekko i przycisnęła pięści do brzucha. Do tego miejsca pod odwróconą literą V z łączących się żeber. Czuła tutaj pustkę i ssanie, jakby głód. Zresztą, rzeczywiście była głodna. Niedożywiona i za chuda. W tej chwili jej ciało wydawało się cieniem przyczepionym do pięści, tak jakby zostały z niej tylko pierwiastki i atomy. Tylko że pustki i ssania nie wywoływało łaknienie. Winę ponosiła rozpacz, strach i bezradność. Karou już dawno przestała wierzyć, że nią i Akivą kieruje siła wyższa albo że ich sen został przez kogoś zaplanowany i im dwojgu przeznaczony, ale teraz okazało się, że do tego wszystkiego jest wściekła na wszechświat. Za to, że ma ich gdzieś, nie pomaga. A wręcz rzuca kłody pod nogi.

Może jednak istniała jakaś siła wyższa. Plan, przeznaczenie.

I może ich nienawidziło.

Tutaj było tak cicho, a inni zostali tak daleko.

Pomyślała o tym chłopcu z plemienia Dashnag, o Żywych Cieniach i Amzallagu, których

dopiero co przywróciła do życia. Amzallag liczył przecież na wskrzeszenie dusz swoich dzieci z ruin Loramendi. I wszystkich pozostałych. A najmocniej myślała o Zirim dźwigającym cały ten ciężar, niosącym na swoich barkach losy mistyfikacji. Został sam, bez Issy, Ten i bez niej. Umierał jako Wilk.

Jego dusza rozpływała się w powietrzu.

Oddał wszystko albo za chwilę odda. A ona wylądowała tutaj, bezpieczna. Z Akivą. Na dnie pustego żołądka emocje zgromadziły się jak trująca mieszanka, bo gdzieś głęboko, pod tym całym koszmarem i przerażeniem pojawił się cień... Boże, przecież nie radości. Ale na pewno ulgi. Uszła z życiem. Takie uczucie nie powinno być czymś złym, a jednak wydawało się podłe. Podszyte tchórzostwem.

Akiva lekko poruszał skrzydłami, żeby się utrzymać w powietrzu. Karou po prostu zawisała w miejscu. Za nimi Virko zataczał koła z Zuzaną i Mikiem na grzbiecie. Boże. Karou przyjrzała się jeszcze raz. Virko. Jak on wróci? Przecież nie wmiesza się w tłum. Ani trochę nie przypominał człowieka! Miał tylko odstawić Mika i Zuzaną na ziemię i wrócić do przejścia. Nie, teraz nie mogła się nad tym zastanawiać. Akiva na nią patrzył i była pewna, że doznaje tej samej toksycznej mieszanki przerażenia i ulgi. Może nawet czuł się gorzej z powodu poświęcenia Liraz. „Stwierdziła, że to ja mam żyć”.

Karou raz jeszcze pokręciła głową, jakby w ten sposób mogła się pozbyć czarnych myśli.

– Gdybyś to ty – zaczęła, patrząc mu prosto w oczy – był w tej chwili po drugiej stronie, jak planowaliśmy, ja wierzyłabym, że wszystko jest dobrze. Musiałabym w to wierzyć. Teraz też nie pozostaje nam nic innego.

– Wracajmy – zaproponował. – Spróbujmy polecieć do drugiego przejścia.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Nie chciała mówić, że nie. Jej sercu pewnie by ulżyło, ale rozum przekonywał, że powrót nie ma sensu.

– Ile by nam to zajęło? – spytała po chwili ciszy. Stąd do Uzbekistanu, a potem, już po drugiej stronie, z Veskal Range z powrotem w góry.

Akiva zacisnął szczęki, potem rozluźnił.

– Pół dnia – odparł niechętnie. – Co najmniej.

Żadne nie powiedziało tego głośno, ale oboje wiedzieli. Kiedy by dotarli na miejsce, byłoby już po bitwie. Zakończonych tak czy inaczej. A poza tym nie wykonaliby zadania. Na to nie mogli sobie pozwolić.

Karou bez entuzjazmu wzięła na siebie rolę głosu rozsądku i ostrożnie spytała:

– Gdyby przyleciała tu ze mną Liraz, a ty zostałbyś sam, czego byś od nas oczekiwał?

Akiva się zamyślił. Oczy płonęły mu w pochmurnej twarzy i nie wiedziała, co mu chodzi po głowie. Chciała go wziąć za rękę, jak zrobiła po drugiej stronie, ale wydało się jej to nie na miejscu. Jakby zastosowała sztuczkę, by skłonić go do odpuśczenia czegoś bardzo ważnego. A tego nie chciała. Nie mogła podjąć decyzji za niego, więc czekała. Odpowiedział niechętnie.

– Chciałbym, żebyście zrobiły to, po co przyleciałyście.

No tak. Tak naprawdę nie pozostało im nic innego. Nie mogli dotrzeć do reszty na czas, zdążyć znacząco wpłynąć na bieg wydarzeń. A nawet, gdyby mogli, to na co liczyli? A jednak mieli złudzenie wyboru i czuli, jakby się odwracali tyłem. W Karou rozlało się jak krew wcześniejsze dręczące poczucie winy.

„Czy zrobiłam dość? Wszystko, co się dało?”

„Nie”.

Już teraz, ledwie przeszedłszy na drugą stronę katastrofy, podczas gdy walki w innym świecie jeszcze się toczyły, czuła, jak to będzie. Szczęście, które miała nadzieję odnaleźć u boku Akivy, życie, które mieli budować, zostanie splamione. Ich życie będzie przypominać taniec po polu bitwy, lawirowanie między zwłokami.

„Uważaj, gdzie stajesz – raz-dwa-trzy – żebyś się nie przewrócił o ciało swojej siostry”.

– Ehm, wiecie co? – Głos Mika. Karou odwróciła się do przyjaciół i zamrugła, żeby powstrzymać łzy. – Nie wiem, jaki macie plan... – zaczął ostrożnie. Był błądy i oszołomiony, tak jak Zuzana, która z całych sił trzymała się Virka, a Mik trzymał się jej. – Ale chyba musimy stąd spadać. Nie podobają mi się te helikoptery.

W jednej chwili Karou wróciła do rzeczywistości. Helikoptery?! Teraz je zobaczyła. I usłyszała. Powinna była zauważyć je wcześniej. Łumplumplumplump...

– Lecą w naszą stronę – dodał Mik. – I to szybko.

Rzeczywiście, zbliżało się do nich kilka helikopterów. Nadlatywały z różnych stron. „O co im chodzi?” Przecież to kompletne pustkowia. Co tu robią helikoptery? I nagle ją oświeciło.

– Kasba – oznajmiła i poczuła, że narasta w niej nowe przerażenie. – Cholera jasna. Dół.

Eliza... Nie była dzisiaj sobą. Łyknęła herbaty i pomyślała, że przynajmniej całkiem nieźle udaje. Za tę umiejętność mogłaby podziękować rodzinie. „Dziękuję wam”, wyrecytowała w myślach z poczuciem wyjątkowej goryczy rezerwowanej tylko dla nich, „za zdolność niezależnienia mięśni twarzy od uczuć. Bardzo się przydaje, kiedy trzeba sprawiać wrażenie, że się nie dostało świra”. Po latach maskowania nieszczęścia, wstydu, zagubienia, upokorzenia i strachu, bez trudu szła przez życie jak cyborg. Z jej twarzy, ledwie naznaczonej mimiką, nic się nie dawało wyczytać.

Rzecz jasna z wyjątkiem chwil, kiedy atakował sen. Wtedy mimika działała jak należy. I to jak! Ale to coś wczoraj w nocy, na dachu kasby? Choć może to był już ranek? Siedzieli na tyle długo, żeby zahaczyć o jedno i drugie. Nie mogła przestać płakać. Nie spała, a jednak to ją znalazło. „To”. Sen. Wspomnienie.

Przetoczyła się przez nią burza, całkowicie niezależna od jej woli. Niosła w sobie rozpacz, stratę, jakiej nie dało się opisać i poczucie winy, które zaatakowało z pełną mocą. To, które tak dobrze poznała.

Gdy gwiazdy zbladły i zaczął się dzień, burza ucichła. Zostawiła po sobie spustoszony krajobraz. Opadający poziom wód i ruiny. I... objawienie. A przynajmniej jego załączek, sam

koniuszek. Tak się właśnie czuła: resztki zabrane przez wodę, umysł jak obszar zalewowy, surowy i opustoszały, a u jej stóp ledwie widoczny róg, dopiero wylaniający się z ziemi. To mógł być kawałek wieka, na przykład pirackiej skrzyni pełnej skarbów albo puszki Pandory. Lub...dachu. Zagrzebanej świątyni. A może całego miasta.

Albo świata.

Musi tylko zdmuchnąć kurz i już zaraz się dowie, albo zacznie odkrywać, co takiego kryje w sobie. Czuła to. Kielkujące, nieskończone, potworne i cudowne. Dar i przekleństwo. Dziedzictwo. Kipiące. Tyle poświęciła, żeby je zagrzebać. Czasem wydawało jej się, że zaangażowała w to całą energię, którą powinna przeznaczyć na radość, miłość i wolność. Nie można z siebie czerpać w nieskończoność.

No więc... co by się stało, gdyby wreszcie przestała walczyć i się temu poddała?

Ale nie, był pewien haczyk. Nie ona pierwsza miała sen. „Dar”. Eliza była najmłodszą „prorokinią”. Następną w kolejce do domu wariatów.

„O, do szaleństwa droga ta prowadzi!”^[1] Czuła się dzisiaj jak bohaterka Szekspira. Oczywiście tragedii, nie komedii. I dobrze wiedziała, że kiedy król Lear wypowiadał te słowa, już całkiem daleko zaszedł tą drogą. Czy ona też?

Naprawdę traciła rozum?

A może...

...może go odnajdowała?

W każdym razie jak dotąd panowała nad sobą. Siedziała pod kasbą i piła zimną miętową herbatę. Nie pod kasbą hotelową, tylko tą od masowego grobu potworów, bo zrobiła sobie krótką przerwę w pracy przy dole. Doktor Chaudhary nie był dziś zbyt rozmowny, a Eliza aż się zarumieniła na wspomnienie niezręczności, z którą poklepał ją wczoraj po ramieniu, kiedy przeżywała swoje załamanie.

Jasna cholera. Z opiniami niewielu osób się liczyła. Ale z jego zdaniem akurat tak. I proszę bardzo! Już miała znów wrócić myślami do tamtej chwili – widocznie karuzela żenady zatoczyła kolejne pełne koło – kiedy zobaczyła poruszenie wśród pozostałych pracowników.

Przed starą, ogromną bramą do fortecy zorganizowano barek. Z ciężarówki serwowano herbatę i jedzenie, w jej cieniu stały plastikowe krzeselka. Sama kasba została wyłączona z użytku: przeczesywała ją ekipa antropologów sądowych. I to dosłownie przeczesywała. W jednym z pomieszczeń znaleźli długie, lazurkowe włosy. I rozsypane na podłodze zęby. Prowadziło to wprost do skojarzeń z „dziewczyną z mostu” i „zębową zjawą”, nagranych przez kamery monitoringu w Muzeum Historii Naturalnej w Chicago. To mogła być ta sama osoba.

Fabula się zagęszczała.

A teraz jeszcze coś. Eliza nie zauważyła, kiedy zaczęło się poruszenie, ale obserwowała, jak wieści przenoszą się od jednej grupki do drugiej za pomocą gestów i głośnych, szybko wypowiedzianych arabskich słów. Ktoś wskazywał w stronę gór. Na niebo ponad szczytami, w tym samym kierunku, w którym machnął doktor Amhali, mówiąc oschle: „Poleciały tam”.

One. Żywe „potwory”. Eliza głośno wciągnęła powietrze. Czyżby je znaleźli?

Zobaczyła w oddali helikoptery, a potem dwóch mężczyzn – ich funkcji nie była w stanie rozgryźć – odłączyło się od zbiorowiska. Kręciło się tu sporo ludzi, a większość zdawała się nic nie robić. Tamci dwaj podbiegli do helikoptera zaparkowanego na kawałku płaskiej ziemi. Całkiem zapomniała o trzymanej w ręce herbacie i patrzyła, jak śmigło zaczyna wirować, a potem rozpędza się i wzbija tumany kurzu, które docierały aż do niej. Wreszcie śmigłowiec oderwał się od ziemi i odleciał. Robił hałas – łumłumłumłump – a jej dudniło serce, gdy przyglądała się twarzom wokół. Nie знаła języka i z tego powodu czuła się upośledzona i bardzo wyobcowana. Ale ktoś przecież musiał mówić po angielsku, a sprawdzenie tego nie wymagało wielkiej odwagi. Odetchnęła głęboko, wyrzuciła papierowy kubeczek do kubła i podeszła do jednej z niewielu pracujących tu kobiet. Dotarcie do źródła zbiorowego poruszenia wymagało zaledwie kilku pytań.

Usłyszała, że na niebie pojawił się ogień.

Ogień?

– Więcej aniołów? – spytała.

– Insha’Allah – odparła kobieta i zapatrzyła się w niebo. Jak Bóg da.

Eliza przypominała sobie, że wczoraj doktor Amhali mówił: „Chrześcijanom w to graj, tak?”

W Rzymie anioły, tutaj potwory. Wygodnie i przewidywalnie dla Zachodu. niesprawiedliwie. Przecież muzułmanie też wierzyli w anioły i Eliza nie wątpiła, że chętnie dostaliby kilka dla siebie. Miała jednak przeczucie, że bez aniołów będzie im lepiej. Musiała się dobrze zastanowić, dlaczego tak uważa, zwłaszcza w świetle tego, w co zaczynała wierzyć, ale wizja aniołów przerażała ją znacznie bardziej niż myśl o potworach.

To będzie hit

Serafini byli w tej dobrej sytuacji, że mogli swój przyłot wyreżyserować. Zadbali o podkład muzyczny, mieli przygotowane stroje i wybrali odpowiedni moment, żeby zrobić jak największe wrażenie. Zresztą, nawet gdyby tego wszystkiego zabrakło, i tak byli piękni i pełni chwały. A do tego sprzyjały im całe wieki korzystnych dla nich podań i modlitw. Choćby się starali, nic nie mogło pójść źle.

Debiut „potworów” odbył się z nieco mniejszą pompą. Ubrania mieli porwane i ciemne od zaschniętej krwi, a muzykę wybrali dla nich żądni sensacji producenci telewizyjni. Piękna i chwały nie było w tym za grosz.

Zwłaszcza że wszystkie potwory nie żyły.

Po szokującym ogłoszeniu lidera aniołów – „Potwory. Idą po was” – nastąpiły dwa dni pełne rozrób, zbiorowych samobójstw i masowych chrztów w przepelnionych kościołach. Dwa dni zmarszczonych czoł i bełkotliwych komentarzy wypowiedzianych w imieniu światowych przywódców. Potem pojawiła się nowa sensacja. Wybuchła w zbiorowej świadomości z jeszcze większą siłą niż Przybycie.

„To będzie hit!”

Media pracowały na najwyższych, wręcz szaleńczych obrotach. Rozpanoszyło się dziennikarstwo przypominające naturę kolibra – szybciej, szybciej, szybciej – a do tego żarłoczne. Wykorzystywało wszystkie odcienie sensacji, a odpowiedzialni za to ludzie aż promienieli ze szczęścia. Oto spełniały się marzenia stacji telewizyjnych. „Bójcie się! Albo nie. Bójcie się jeszcze bardziej. Idźmy na całość!”

Jeśli chodzi o newsy, wyróżniały się podniosłością i powagą.

Więści przekazał najlepiej opłacany prezenter wiadomości na świecie. Co wieczór pojawiał się w salonach Amerykanów, kojący i dobrze znany, jak ulubiona potrawa z dzieciństwa. Jego gładkie, młode lico pozostało niezmienione od lat, jeśli nie liczyć coraz wyższego czoła, będącego wynikiem stopniowego podnoszenia się linii włosów. Otaczano go szacunkiem, i to nie tym lipnym, wynikającym ze smug siwizny na skroniach – naturalnych czy zdobytych przy pomocy fryzjera – a gdyby nie to, że w pracy kierował się etyką dziennikarską – co trzeba mu było przyznać – sprawy mogłyby się potoczyć o wiele gorzej.

– Bracia Amerykanie i obywatele Ziemi... – Boże, żeby móc to choć raz w życiu powiedzieć! „Obywatele Ziemi!” Prezenterzy mniejszego kalibru aż zadrżeli z zazdrości. – Nasza stacja weszła w posiadanie dowodów, które zdają się potwierdzać słowa Przybyszów. Wiecie, które słowa mam na myśli. Pierwsze oceny niezależnych ekspertów potwierdzają autentyczność zdjęć, ale jak zaraz zobaczycie, rodzi się wraz z nimi wiele pytań, na które nie znamy jeszcze odpowiedzi. Ostrzegam! Zdjęcia te są zbyt drastyczne dla młodych widzów. – Zamilkł na moment. – Możliwe, że i dla nas wszystkich, ale to dzieje się w naszym świecie i nie wolno nam tego zignorować.

Nikt nie odwrócił wzroku, mało kto odesłał dzieci do swoich pokojów, a prezenter bez zbędnej zwłoki w milczeniu zaprezentował fotografie.

Czoła zgromadzonych w dużych pokojach, barach, biurach, akademikach, remizach, piwnicznych laboratoriach w Narodowych Muzeach Historii Naturalnej oraz wszędzie indziej zmarszczyły się, gdy ukazało się pierwsze.

To był wstęp – marszczenie czoł i niedowierzanie – ale nie trwał długo. Niedowierzanie zostało w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin zastąpione raczkującą wiarą. Wiele osób na nowo uczyło się wierzyć. Masowa reakcja widzów zmieniła się szybko z: „Co do diabła?!” na „O mój Boże!” Panika osiągnęła nowe stadium.

Przerażenie widokiem demonów.

Zobaczyli Ziriego, ale nikt nie wiedział, jak się nazywa i nawet się nie zastanawiał, jaki był. Nikt prócz Elizy.

Ogłoszenie matrymonialne, które w locie ułożyli dla niego Zuzana i Mik, brzmiało mniej więcej tak: „Bohaterski słodziak aktualnie zamieszkujący ciało niebrzydkiego szaleńca. Cel: ocalenie świata. Dla miłości poświęci wszystko, ale oby nie musiał tego robić. Naprawdę zasługuje na szczęśliwe zakończenie”.

Zuzana się upierała, że baśń o nim na pewno by się dobrze skończyła. Ci o czystych sercach zawsze byli górą. Ona i Mik umówili się nawet po baśniowemu: jeśli on dokona trzech heroiczych czynów, będzie mógł poprosić ją o rękę. Co prawda ona żartowała, ale Mik potraktował to poważnie i w efekcie zostało mu jeszcze tylko jedno zadanie. Nie wiedział, że Zuzana w głębi ducha zaliczyła mu naprawienie klimatyzacji podczas ostatniego pobytu w hotelu.

Poświęcenie prawdziwego ciała z całą pewnością należało do aktów heroiczych, ale życie to nie baśń i czasem rzeczywistość aż wychodzi z siebie, żeby o tym przypomnieć.

Tak jak teraz.

Gdzieś daleko, daleko coś się działo. Związku między tymi wydarzeniami nie dopatryłby się nikt, w żadnym ze światów. Eretz rządziło się swoimi prawami, a Ziemia swoimi. Nikt nie śledził zapisów godzin, minut i sekund w poszukiwaniu zbiegów okoliczności. Ale to, co się stało... stanowiło dowód na istnienie związku między światami.

W chwili, w której zdjęcie martwego kirińskiego ciała Ziriego zadebiutowało w telewizorach ludzkości – dokładnie w tym samym momencie – w Eretz miecz żołnierza Dominion przeszył jego serce.

Jeśli istnieje gdzieś więcej światów niż te dwa i ich dzieje są połączone, to echa tej historii odbiły się i tam. Pojawiły się cienie cieni. A może to był przypadek? Potworny. Osobliwy. Kiedy obraz ciała Ziriego odciskał się w ludzkiej świadomości – demon! – on umierał na nowo.

Tym razem bardziej bolało, a nikogo nie było obok i nie miał nad sobą gwiazd, w które mógłby patrzeć, gdy opuszczało go życie. Był sam, zaraz potem umarł i nikt nie czekał z kadzielnicą. Obiecał Karou, że wyznaczy kogoś takiego, ale tego nie zrobił. Po prostu nie miał czasu.

I przepadło.

Za pierwszym razem Karou poczuła jego obnażoną z ciała duszę i gdy ta owionęła jej zmysły, zobaczyła niespotykaną krystaliczność skłębionych wichrów wiejących wysoko w górach Adelphas. W domu. Nabierało więc sensu to że tutaj zrzucił znieprawione ciało Białego Wilka i wyslizgnął się na wolność, z dala od brzęku mieczy i wojennej zawieruchy. W tym stanie, w którym się znajdował, nie docierały do niego żadne dźwięki. Tylko światło.

Dusza Ziriego wróciła do domu.

– Panie i panowie – odezwał się prezenter zza biurka w nowojorskim studiu. Mówił grobowym głosem, bez śladu chorobliwego podniecenia. – Ciało wykopano zaledwie wczoraj z

masowego grobu na skraju Sahary. Znalezione tam wiele ciał. Każde inne, wszystkie martwe. Nie wiadomo, kto dokonał zabójstwa, ale wstępne szacunki wskazują, że stało się to nie dalej jak trzy dni temu.

Więcej ciał. Ze wszystkich zdjęć wykonanych na miejscu – oczywiście przez Elizę – wybrano te najpotworniejsze i w stadium rozkładu: poderżnięte gardła, zbliżenia najstraszliwszych szczęk, wykrzywionych twarzy, zapadniętych oczu i wywalonych języków.

Faktycznie, Morgan Toth wysłał do stacji telewizyjnej tylko te najstraszniejsze. Oczywiście z jej konta mailowego. Bo było też wiele ujęć artystycznych i przejmujących. Te odrzucił.

W tej chwili opierał się o futrynę drzwi w piwnicy muzeum i z uśmiechem pełnym wyniosłości obserwował reakcje kolegów. „To moje dzieło”, pomyślał z nieskończoną satysfakcją. Ale finał jeszcze przed nimi. Nie ufał tym kretynom z telewizji i wątpił, czy uda im się dodać dwa do dwóch i zgłębić fascynującą tożsamość ich źródła, więc dołączył niepozostawiającą wątpliwości wiadomość. To będzie najlepsze! Upubliczni mękę Elizy.

„Szanowni Państwo”, zaczął list pisany w jej imieniu.

„Och, Elizo”. Naprawdę, teraz, kiedy wiedział, kim ona jest, wszystko nabrało sensu. Odnajdywał w sobie coś w rodzaju czułości. Litość. W stylu Morgana Totha, podobną do tej, jaką może odczuwać kot w stosunku do trzymanej w łapach myszy. „Moje maleństwo, nie miałaś szans”. Czasem, gdy kot się znudzi, pozwala ofierze uciec, ale nie robi tego z litości. A Morgan nie zamierzał się w najbliższym czasie znudzić.

„Szanowni Państwo”, napisał. „Możliwe, że jeszcze mnie pamiętacie. Przez siedem lat nie dawałam znaku życia i chociaż ścieżka, którą wybrałam, może się wydawać zaskakująca, zapewniam was, że to wszystko było częścią planu. Bożego planu”.

Kilka dni temu powiedziała mu z nieznośną wyższością: „Nie ma wielu spraw, za które ludzkość będzie z radością zabijać i ginąć, ale to jedna z najważniejszych”.

„Wcale nie, Elizo”, pomyślał teraz Morgan, „to jest jedna z ważniejszych. Baw się dobrze!”

„W służbie Jego woli”, pisał dalej, „z radością zabiję i zginę. I dlatego obnażam wysiłki naszego rządu i innych, którzy chcą zataić przed ludźmi prawdę o tej bezbożnej menażerii”.

Menażeria wydawała się mu dobrym słowem. Trochę się martwił, że w jego wykonaniu Eliza wyjdzie na zbyt mądrą, ale pocieszył się, że nic na to nie poradzi.

„Choćbym próbował, nie zdołam zabrzmieć jak głupek”.

Jego koledzy przykleili się do monitorów, więc nie widział obrazu, ale nie szkodzi. Wolał przyglądać się widzom. „Dziękuję ci, naprawdę dziękuję, Gabrieli Edingerze, a także tobie, Elizo, za to, że nie zabezpieczyłaś telefonu kodem”. Był pewien, że od dzisiaj to on będzie kontynuował wiekopomną pracę u boku doktora Chaudhary’ego, nie ona. Jak tylko odczytają nazwisko, jej czas się skończy.

„Szybciej, czytaj!”, poganiał prezentera, bo zaczynał tracić cierpliwość. „Dość już gadania o gnijących potworach”. Wiedział, że dla stacji to tylko postscriptum, bo liczą się te bestie, a nie autorka przecieku, ale musiał umieścić ostatni fragment układanki na swoim miejscu. I w końcu

się doczekał:

– Co do autorstwa tych wstrząsających zdjęć... Dostarcza nam ono rozwiązania innej zagadki, w której rozwikłanie już niemal zwątpiliśmy. Minęło siedem lat, ale na pewno pamiętają państwo tę historię. Tę młodą kobietę.

W tej chwili Morgan dołączył do zgromadzenia naukowców. Tego nie zamierzał przegapić. Na ekranach pojawiło się zdjęcie, które miało już swoje pięć minut w świetle reflektorów. Siedem lat temu ta historia rozpalila widzów, ale w końcu trafiła do archiwum spraw zamkniętych, choć nierozwiązanych. Morgan wściekał się na siebie, że nie skojarzył faktów od razu, jak tylko poznał Elizę Jones. No, ale po czym miał ją rozpoznać? Zdjęcie było koszarnej jakości, poruszone, a dziewczyna miała spuszczone oczy. Poza tym, tak jak wszyscy, był pewien, że nie żyje.

Ówczesne nagłówki podsumowywały wszystko: **ZAGINĘŁO DZIECKO-PROROK, PRAWDOPODOBNIENIE ZOSTAŁO ZABITE PRZEZ CZŁONKÓW SEKTY.**

Eliza Jones, prorokini. Pierwszą rzeczą, o której pomyślał Morgan – jak się otrząsnął z szoku i gdy ustąpiły pierwsze z niekończących się fal radości – było wydrukowanie i podrzucenie jej wizytówek. „Eliza Jones, prorokini”. Nie, nie mógł zapomnieć o najlepszym. O tym, co kwalifikowało tę historię do wyborów „absurdu dekady”. Więcej nawet, „absurdu stulecia”. Nic nie miało z tą sprawą szans. Pobiliaby wszystko. Nawet z zasłoniętymi oczami. Nawet z jedną ręką skrępowaną z tyłu.

Albo jednym skrzydłem...

Boże! To było tak zabawne, że Morgan ze śmiechu spadł z krzesła. Przypominał mu o tym ból w łokciu. Sekta prowadzona przez czarującą rodzinę Elizy Jones? Nie uważali się za pierwszych z brzegu „wybranych”, których wszędzie pełno. Czym się od nich różnili?

Twierdzili, że są potomkami anioła.

POTOMKAMI ANIOŁA!

Morgan Toth w życiu nie słyszał czegoś tak zabawnego!

Eliza Jones, prorokini

w 1/512 anioł (mniej więcej)

Tak miała brzmieć treść wizytówki. Potem jednak zobaczył, co przysłała z Maroka na swoje konto i wpadł mu do głowy lepszy pomysł. Właśnie był świadkiem jego realizacji.

– Siedem lat temu wszyscy modliliśmy się o jej odnalezienie – powiedział najlepiej opłacany prezenter wiadomości na świecie. – Zналиśmy ją jako Elazael. Jej... kościół... uważał ją za inkarnację anioła o tym samym imieniu, który został strącony na Ziemię przed tysiącem lat. Cóż to była za historia! Okazuje się, że to jeszcze nie koniec. Za sprawą niezwyklego zbiegu okoliczności dowiedzieliśmy się, że ta młoda dama nie tylko żyje pod przybranym nazwiskiem, ale rozpoczęła karierę naukową w stolicy naszego kraju i jest na najlepszej drodze do uzyskania doktoratu...

Morgan nie słyszał dalszego ciągu, bo ktoś wreszcie wydał stłumiony okrzyk:

– To Eliza!

Reszta oszalała.

Czyli wszystko szło zgodnie z planem. „Szalejcie sobie, ile dusza zapragnie, moi biedni idioci”, pomyślał Morgan Toth i wrócił do swojego laboratorium. „Dobrze być królem”.

Szydła wyszły z worków

Przez kasbę przetoczył się kolejny szmer wyrażający zbiorowe emocje, ale od początku brzmiał inaczej niż poprzedni. Nie było żadnego Insha’Allah ani spoglądania w niebo. Było natomiast niedowierzanie, uraza i spojrzenia skierowane na... Elizę.

Przez całe życie zmagala się z paranoją. No, przez porządny kawałek było to raczej zwykłe oczekiwanie na codzienną udrękę. Niewyszukaną, paskudną i nieuniknioną. Ludzie na nią patrzyli i ją osądzali. W domu, w małym miasteczku położonym na terenie Parku Narodowego Apalachicola, wszyscy ją znali. A gdy już uciekła? Odczuwała strach jako mrowienie na karku i stale bała się, że zostanie rozpoznana i odnaleziona. Ciągłe oglądała się przez ramię.

Stopniowo się uspokajała, ale nigdy nie pozbyła się lęku do końca. Kiedy się żyje w cieniu tajemnicy, paranoja nie chowa się głęboko. Nawet, jeśli się nie zrobiło nic złego – co w jej przypadku było kwestią dyskusyjną – człowiek czuje się winny tylko dlatego, że ma tajemnice, a każde zainteresowane spojrzenie staje się dwuznaczne.

„Wiedzą. Wiedzą, kim jestem. Wiedzą?”

Ale nie wiedzieli. Nikt się nie domyślił. W każdym razie dotychczas i za to musiałyby podziękować – jakkolwiek niechętnie – swojemu kościołowi. Wzbraniali się przed „uwiecznianiem wizerunków”. Nie tylko Boga i swojej „pramatki”, ale także proroków. Po pierwszej wizji, jakiej doznała Eliza, nie zrobiono jej już ani jednego zdjęcia. Nie żeby wcześniej robiono ich wiele. Jej rodzina zupełnie nie była zainteresowana zaopatrywaniem potomności w pamiątki po przodkach. Skupiali się raczej na przygotowywaniu na Armagedon i gromadzeniu zapasów broni w bunkrze. Zdjęcie pokazane w wiadomościach zrobił turysta będący przejazdem w Sopchoppy – to nazwa miasta, niedaleko którego stał ich kościół – który, zaalarmowany przez miejscowe władze, cyknął fotkę tych świrów z sekty, kiedy przyjechali na zakupy.

„Te świry z sekty” były znane miejscowym od dziesiątek lat, ale po zniknięciu Elizy zyskały międzynarodową sławę. Jej matka, „najwyższa kapłanka”, zgłosiła zaginięcie córki dopiero po

kilku tygodniach, gdy była już tak zdesperowana pragnieniem odzyskania straconej prorokini, że się przemogła i udała się po pomoc do służb państwowych, którymi gardziła za bałwochwalstwo i pogaństwo. Wyglądało to oczywiście podejrzanie, zwłaszcza że społeczeństwo nie jest chętne do obdarzania sekt przywilejem domniemania niewinności. Nagłówki wdarły się do zbiorowej wyobraźni jak krzaki głogu: **ZAGINĘŁO DZIECKO-PROROK, PRAWDOPODOBNIENIE ZOSTAŁO ZABITE PRZEZ CZŁONKÓW SEKTY.**

To wystarczyło.

Eliza mogła w każdej chwili przywrócić im dobre imię. Mogła pójść na policję – przebywała wówczas w Karolinie Północnej – i powiedzieć: „Cześć, to ja. Żyję”. Ale tego nie zrobiła. Bo ani trochę ich nie żałowała. Ani odrobinę. Ani wtedy, ani teraz, ani nigdy. Ciało nigdy nie znaleziono, choć poszukiwano go wytrwale przez wiele miesięcy, więc stróże prawa w końcu musieli dać spokój. Twierdzili, że nie mają dowodów, ale nie przekonało to opinii publicznej i prokuratorów. Śmierząca sprawa, wystarczy tylko spojrzeć matce w oczy, żeby wiedzieć, mówili. Jeden z detektywów posunął się dalej, oświadczając przed kamerą, że w swojej karierze przesłuchiwał Rozpruwacza z Gainsville i morderczynię swego dziecka i w ich towarzystwie czuł się zupełnie tak samo jak z matką Elizy: jakby jego dusza spadała na łeb i szyję w ciemną otchłań.

– Nie mogę spać spokojnie, gdy ta kobieta chodzi wolno.

Eliza z całego serca podzielała jego odczucia.

Wszyscy byli przekonani, że dziewczyna o imieniu Elazael musiała zostać pogrzebana gdzieś na terenie ogromnego parku Apalachicola. Nikt nie miał wątpliwości.

W każdym razie do dzisiaj.

– Elizo, choć ze mną, proszę.

Doktor Chaudhary. Spięty. Za nim doktor Amhali. Gorzej niż spięty. Czerwony ze złości. „Oddycha jak rozjuszony byk w kreskówkach”, pomyślała. Jej rozum szukał ratunku w takich bzdurnych określeniach, bo dobrze wiedziała, co się stało. W każdym razie w ogólnym zarysie. Obawiała się tego od siedmiu lat.

„O Boże, Boże”.

„O gwiazdne bóstwa”.

Odwróciła się kolejna karta w jej umyśle i podsunęła jej wizję gwiazdnych bóstw. Coś zaświtało, ale nie mogła się teraz nad tym zastanawiać.

– Co się stało? – spytała, ale doktor Chaudhary zdążył się już odwrócić. Oddalał się i najwyraźniej oczekiwał, że za nim pójdzie. A że znajdowali się pośrodku niczego, na zabójczej ziemi otoczonej kordonem wojska, co innego mogła zrobić?

Wyszło szydło z worka. Ciało wyszły z dołu. Karou coś takiego nie przyszło nawet do głowy. Odebrała to jak bezprawne wtargnięcie do jej domu.

„Powiedzmy, że domu”. Była tu bardzo nieszczęśliwa. Do tego rozdziału życia nie chciała już

wracać, a jednak nie mogła się powstrzymać od krążenia w powietrzu i przyglądania się stojącym pod nią postaciom. W pewnym momencie zobaczyła, że rzuca cień, z tej odległości maleńki, roztrzepotany jak czarna ćma. Mogła sprawić, że będzie niewidzialna, ale cień żył własnym życiem. Młoda czarnoskóra kobieta zauważyła go i spojrzała w górę. Karou odleciała, unosząc z sobą ćmę.

Nawet tutaj czuła smród rozkładających się ciał. Fatalnie. Jej plany uniknięcia konfliktu między „aniołami” a „demonami” spaliły na panewce. A raczej nie spaliły, niestety.

– Powinnam była je spalić – powiedziała Akivie, którego pojawienie się odczuła jako powiew ciepła. – Co ja sobie myślałam?!

– Mogę je spalić teraz – zaproponował.

– Nie – stwierdziła po zastanowieniu. – To by jeszcze wszystko pogorszyło. – Gdyby wszystkie ciała nagle spłonęły... Nawet, jeśli zrobiłby to anioł, i tak kojarzyłoby się... dość piekielnie. – Nie da się już nic zrobić. Trzeba to przełknąć.

Nie odpowiedział od razu i to milczenie jej ciążyło. Całe szczęście, że nie mogli się widzieć. Karou bała się bólu, który zobaczyłaby w jego oczach. Posłuchali rozumów, a nie serc i skupili się na zadaniu do wykonania. Wrócą do Eretz, kiedy zrobią to, co mają do zrobienia, nie wcześniej. Co tam zastaną?

Poczuła się bardzo dziwnie, jakby okrył ją cień półśmierci. Zdała sobie sprawę, że nawet w najlepszym razie mogą mieć nadzieję na bardzo niewiele. Jeśli sprowadzą do Eretz Jaela, choćby bez broni, to co wtedy? Nie było już przyszłości polegającej na składaniu ofiar z bólu i nabawianiu się kolejnych siniaków, życia zaciśniętego w pięści i skradzionych kęsów „ciastka” na osłodę. Tego ciastka na później, ciastka będącego sposobem na życie. Wszystko zmiażdżyło spadające na nich niebo. Cienie, za którymi frunęły ogniste skrzydła. Atak wroga zbyt potężnego, żeby mogli go pokonać. Przynajmniej tak sądziła Karou.

Jakim cudem miała nadzieję na cokolwiek?

Z powodu Akivy. On ją przekonał. Jedno spojrzenie i była gotowa uwierzyć w niemożliwe. Dobrze, że go teraz nie widziała. Jeśli jego wiara aż tak rozpałała jej wiarę, co by z nią teraz zrobiła jego rozpacz? I jej rozpacz z nim? Przypomniała sobie tamtą, która przetoczyła się przez nich wszystkich w jaskini i zaczęła się zastanawiać, czy należała do Akivy? Czy nosi w sobie aż taką ciemność?

– Co teraz? – spytał. – Jak znajdziemy Jaela?

Jak? To akurat najprostsze. Dzięki ci Ziemi za telefonię komórkową. Potrzebowali jeszcze tylko dostępu do Internetu i ładowarki. Karou zadzwoni do paru osób, Mik i Zuze pewnie też chętnie dadzą rodzinom znać, że żyją. Już wylądowali i razem z Virkiem ukrywali się w cieniu formacji skalnej kilka kilometrów dalej. Ale nawet tam upał był groźny. Śmiertelnie niebezpieczny. Na pewno potrzebowali wody. Jedzenia. I łóżek.

Karou bolało serce. Zastanawianie się nad tak prozaicznymi sprawami wydawało jej się luksusem, ale dbanie o ukochane osoby jest czym innym niż dbanie o siebie i tylko dlatego

postanowiła zatroszczyć się o jedzenie i całą resztę. Odkąd przelecieli przez przejście, Zuzana nie wypowiedziała ani słowa. Odcisnęło się na niej bliskie spotkanie z „tą całą akcją z wojną”. Reszta wcale nie była w lepszym stanie.

– Znam miejsce, gdzie możemy się zatrzymać – powiedziała Akivie. – Lećmy.

Deszcz i dmuchawce

Jak pan mógł... Jak mógł pan pomyśleć, że zrobiłam coś takiego?!

Eliza była wstrząśnięta. Okazało się, że jest jeszcze gorzej, niż się spodziewała. Podejrzewała, że doktor Chaudhary poznał jej tożsamość. No i niby poznał, ale to dopiero początek tego... Tego...

To musiała być robota tego szczura, Totha. Nie. Nazwanie go szczurem nawet w jednej tysięcznej nie oddawało podłości, jaką się wykazał.

Może lepsza byłaby hiena: padlinożerna, szczerząca zęby znad resztek zwłok.

Nie miała pojęcia, jak się dowiedział – „Ludzie mający tajemnice nie powinni sobie robić wrogów” – ale była pewna, że tylko on mógł wejść w posiadanie zaszyfrowanych zdjęć. Czy w ogóle zdawał sobie sprawę, co zrobił, pokazując to cmentarzysko światu? Nie, prawidłowo zadane pytanie brzmiało: czy go to w ogóle obchodziło? Był cwany i nie zostawił śladów. Mogła go sobie tylko wyobrażać, jak odrzuca grzywkę ze zbyt wysokiego czoła i rozpoczyna tę akcję.

Doktor Chaudhary zdjął okulary i potarł grzbiet nosa. Eliza wiedziała, że gra na czas. Weszli do najbliższego namiotu u podnóża wzniesienia. Mimo chłodnego powietrza z klimatyzacji, smród śmierci otaczał ich gęsto. Doktor Amhali pokazał jej w laptopie nagranie, a ona cały czas je analizowała. Zemdlilo ją. Te zdjęcia. Jej zdjęcia, przedstawione w ten sposób, bez żadnego kontekstu. Były potworne. Jak zareagował świat? Pamiętała, co się działo w National Mall ledwie dwie noce temu. Co się tam dzieje teraz?

Doktor Chaudhary opuścił rękę i spojrzał prosto przed siebie, choć najwyraźniej bez okularów trudno mu było skupić wzrok.

– Twierdzisz, że tego nie zrobiłaś?

– Oczywiście, że nie! Nigdy bym...

Wtrącił się doktor Amhali.

– Zaprzeczają pani, że to pani zdjęcia?

Odwróciła się do niego.

– Zdjęcia są moje, ale to nie znaczy, że...

– Zostały wysłane z pani skrzynki mailowej.

– Ktoś się do niej włamał – odparła z nutką niecierpliwości, która wkradła się do jej głosu.

Dla niej to było oczywiste, ale marokański naukowiec dostrzegał tylko własną furję. I własną winę, jako że to on ich tutaj sprowadził, żeby okryli hańbą jego kraj.

– Nie ja je wysłałam – oznajmiła twardo. Odwróciła się z powrotem do Chaudhary’ego. – Czy to w ogóle przypomina mój sposób mówienia? „Bezbożna menażeria”?! To nie... Ja nie... – zaczęła się płatać. Spojrzała na ciała martwych sfinksów leżących za jej mentorem. Nigdy nie wydawały jej się bezbożne, tak jak w aniołach nie widziała boskości. Nie o to tu chodziło. – Mówiłam panu wczoraj wieczorem, że nie wierzę w Boga.

Zobaczyła w jego oczach, że coś się zmieniło. Pojawiła się w nich podejrzliwość i dotarło do niej z opóźnieniem, że przypominanie o wczorajszym wieczorze może nie być najlepszą strategią. Patrzył, jakby jej w ogóle nie znał. Narastała w niej frustracja. Gdyby została po prostu wrobiona w wyciek zdjęć do mediów, być może by jej uwierzył i zechciał pomóc. Gdyby tylko nie odstawiła wczorajszej nocy popisowej hysterii i nie wylała tylu łez, że starczyłoby do nawodnienia pustyni. Gdyby tylko nie była podającym się za kogoś innego zamordowanym dzieckiem-prorokiem. Gdyby tylko, gdyby tylko, gdyby tylko.

– Czy to prawda, co mówią? – spytał. – Jesteś... nią?

Miała ochotę pokręcić głową. Nie była tą zamazaną dziewczyną ze spuszczonymi oczami. Nie była Elazael. Powinna była diametralnie zmienić imię, gdy uciekła i schroniła się w tym życiu, ale „Eliza” wydawało jej się prawdziwe. Używała go jako dziecko, gdy w głębi duszy się buntowała; tak nazwała wewnętrzną normalną siebie, w którą się wcielała, bawiąc się w normalne życie albo w myślach uciekając gdzieś daleko. Elazael musiała klęczeć i się modlić, aż kolana miały ją boleć jak oparzone albo śpiewać, aż głos stawał się szorstki jak język kota. Elazael była zmuszana do wielu rzeczy. Wielu, a nawet więcej niż wielu, których nie chciała robić. Ale Eliza?

Eliza była w tym czasie na dworze i się bawiła. Zwyczajna jak deszcz i wolna jak dmuchawce. Marzenie!

Zatrzymała to imię i nosiła najlepiej jak mogła: jak deszcz i dmuchawce. Zwyczajna i wolna, chociaż jej istnienie zawsze przypominało grę. Odkąd skończyła siedemnaście lat to Elazael stała się tożsamością trzymaną w sekrecie, a Eliza żyła oficjalnie. Była jak książę i żebrak, którzy zamienili się miejscami, jeden nobilitowany, drugi zdegradowany. Ale oczywiście, o czym teraz jej przypominano, w końcu musieli wrócić na swoje miejsca. Tylko że jej to nie spotka. Już nigdy nie będzie Elazael. Wiedziała jednak, że doktorowi Chaudhary’emu zupełnie nie o to chodziło, więc w końcu niechętnie pokiwała głową.

– Byłam nią – poprawiła. – Ale odeszłam. Uciekłam. Nienawidziłam tego. Nienawidziłam ich. – Odetchnęła głęboko. Nienawiść nie była właściwym słowem. Nie było słowa dość dosadnie oddającego zdradę, której doznawała, patrząc na swoje dzieciństwo ze świadomością dorosłego człowieka. Rozumiała teraz, jak potwornie była dręczona i wykorzystywana.

Od siódmego roku życia. Od powrotu ze szpitala z wszczepionym rozrusznikiem serca i nowym lękiem, tak ogromnym, że przerastającym nawet lęk przed matką. Od pierwszego razu, kiedy „dar” dał o sobie znać, na niej skupiło się zainteresowanie i nadzieje całej sekty.

Nieustanne dotykane. Tyle rąk... Ani śladu suwerenności, nigdy. Wyznawali jej swoje grzechy, błagali ją o przebaczenie, mówili rzeczy, o których siedmioletnie dziecko nigdy nie powinno słyszeć, nie mówiąc już o wyznaczaniu pokuty. Jej łzy zbierano do fiolek, obcięte paznokcie mielono i dodawano do komunii, a pierwsza krew miesięczkowa? Nie mogła o tym myśleć. Wstyd wciąż ją paraliżował, choć zdarzyło się to pół życia temu. I jeszcze spanie.

Dwudziestoczteroletnia Eliza jeszcze nigdy nie spędziła z nikim nocy. Nie mogła znieść niczyjej obecności w pokoju. Przez dziesięć lat zmuszano ją do spania na postumencie pośrodku świątyni, podczas gdy reszta kongregacji spoczywała u podnóża. Boże. Świsty, szlochy, chrapanie, kaszel. Szepty. A czasem, w środku nocy, rytmiczne podwójne dyszenie, którego istotę zrozumiała dopiero wiele lat później.

Nigdy nie pozbędzie się wspomnienia obrzydliwego zbiorowego oddechu dziesiątek ludzi zgromadzonych wokół niej w środku nocy.

Czekali aż wróci sen. Wszyscy mieli na to nadzieję. Modlili się. Jak drapieżcy czekający na ochłap jej przerażenia. Jeśli sami nie mogli mieć snów, to chcieli przynajmniej być blisko czyjegoś. Tak jakby jej wrzaski mogły się przyczynić do zbawienia. Albo jeszcze lepiej: może, ale tylko może, to wszystko mogłoby się z niej wydostać. Sen, potwory – potworne i potworne, i potworne, amen – i sprowadzić zagładę na grzeszników, a na wybranych łaskę. Czyli na nich.

Tak, jakby Eliza miała być źródłem apokalipsy.

Gabriel Edinger jadł z okazji koszmarów sennych lody, a ona miała coś takiego.

– Nic się nie zmieniło. Wciąż ich nienawidzę – dodała, może trochę zbyt żarliwie. Doktor Chaudhary założył okulary i patrzył na nią czujnie. Kiedy się odezwał, w głosie miał sztuczną łagodność, z jaką ludzie zwracają się do wariatów.

– Powinnaś mi była powiedzieć – zwrócił się do niej, zerkając przy tym na doktora Amhaliego. Potem niepewnie odchrząknął. – To może zostać uznane jako... konflikt interesów.

– Co? Nie ma żadnego konfliktu. Jestem naukowcem.

– I aniołem – roześmiał się szyderczo Marokańczyk.

„Jezu, ktoś naprawdę się śmieje szyderczo?”, pomyślała przelotnie Eliza. Myślała, że robią to tylko postacie z książek.

– My nie twierdzimy... Oni nie twierdzą, że są aniołami – oznajmiła, choć nie miała pojęcia, dlaczego nagle została rzeczniczką swojej rodziny.

– Proszę o wybaczenie, oczywiście, że nie – odparł z lodowatym sarkazmem. – Są potomkami aniołów. I ich wcieleniami, nie zapominajmy o tym! – Ugodził ją ostrym spojrzeniem. – Apokaliptyczne wizje, moja droga? Proszę powiedzieć, wciąż pani je ma? – Pytał, jakby to był absurd, jakby ten konkretny obrządek profanował obowiązującą religię i powinien zostać ukrócony.

Czuła, jak się kurczy, skonfrontowana z podwójnym oskarżeniem i kpiną. Znikała. Nie była już Elizą, nie w tym namiocie, nie na oczach tych mężczyzn. Była Elazael. „Nie jestem nią, jestem mną”. Jak desperacko pragnęła w to wierzyć.

– Zostawiłam tamto życie. – oznajmiła. – Odeszłam. – Mówiła ze wzruszeniem, bo jej się to wydawało proste. „Przecież odeszłam. Czy to nie ma znaczenia?”

– To musiało być dla ciebie trudne – zauważył doktor Chaudhary.

Nie powiedział nic złego i w innych okolicznościach ta rozmowa mogła skończyć się tak, że ona by opowiedziała o swoim dramatycznym dzieciństwie, a on by jej współczuł. Przecież jasne, że to było dla niej trudne! Nie miała nic, pieniędzy ani przyjaciół i zero doświadczenia życiowego. Nic poza mózgiem i siłą. To pierwsze było haniebnie zaniedbane – nie przeszła żadnej edukacji – a za drugie tak często ją karano, aż się wynaturzyło i skarłowaciało. Ale nie całkiem. „Pocałuj mnie w siłę”, mogłaby powiedzieć matce. „Nigdy mnie nie złamiesz”.

Jednak teraz to zdanie wypowiedziane tym tonem – wymuszonej łagodności i wywyższonej pobłażliwości – nie zabrzmiało najlepiej.

– Trudne? – powtórzyła. – A Wielki Wybuch był po prostu eksplozją.

To samo powiedziała wczoraj w nocy, spontanicznie. Uśmiechnęła się z ironią, a on się zaśmiał. Miało zabrzmieć tak samo, ale... no cóż... doktor Chaudhary podniósł ręce w uspokajającym geście.

– Nie ma powodu do takich nerwów.

Nie ma powodu? Co to w ogóle znaczy? Bo Elizie się wydawało, że ma mnóstwo powodów. Została w coś wrobiona, a teraz ją odtrącano. Odebrano jej anonimowość, na którą ciężko pracowała, jej zawodowe dossier będzie już zawsze związane z historią, którą ze wszystkich sił chciała ukryć, nie mówiąc już o groźnych konsekwencjach prawnych wynikających ze złamania klauzuli poufności, no i o... być może, tragicznych skutkach dla świata. Ale najbardziej doczesny powód nabierał kształtów tutaj, w namiocie, w towarzystwie dwóch aroganckich mężczyzn traktujących ją jak wyciętą z kartonu sylwetkę symbolizującą zaginioną przed laty ofiarę.

Odruchowo spojrzała na ekran laptopa, na którym widniał wizerunek jej upadku. Obraz został zatrzymany na starym zdjęciu, wciąż z tym samym, co kiedyś podpisem:

ZAGINĘŁO DZIECKO-PROROK, PRAWDOPODOBNIENIE ZOSTAŁO ZABITE PRZEZ CZŁONKÓW SEKTY.

– Nie jestem zdenerwowana – oznajmiła po serii głębokich wdechów.

– Nie winię cię za to, kim jesteś, Elizo – powiedział Anuj Chaudhary. – Nie mamy wpływu na to, skąd się wzięliśmy.

– To bardzo szlachetne z pana strony.

– Może jednak nadszedł czas, żebyś poszukała pomocy. Tyle przeszłaś...

I wtedy się posypało. Wciąż miał podniesione ręce, wyrażające postawę „tylko bez gwałtownych ruchów”, a Eliza się w niego wpatrywała. O co tu chodziło? Zachowywał się,

jakby histeryzowała i przez chwilę zwątpiła w siebie. Czyżby podniosła głos? Wytrzeszczyła oczy i szybko oddychała przez nos jak psychopatka? Nie. Stała w miejscu, ręce trzymała luźno wzdłuż boków i gotowa była przysiąc na wszystko, co warte było przysięgi – gdyby coś takiego istniało – że nie wygląda na szaloną.

Nie wiedziała, jak się zachować. Poczła się bezradna wobec konieczności zareagowania na tak wynaturzone słowa.

– Potrzebuję pomocy w udowodnieniu, że nie ja to zrobiłam.

– Elizo. Elizo, to w tej chwili nie ma znaczenia. Musimy cię odesłać do domu, a tym będziemy się martwić później.

Serce biło jej tak mocno, że czuła dudnienie w głowie. Gniew, frustracja, ale coś jeszcze. Wolna jak dmuchawce, przypomniła sobie. Zwyczajna jak deszcz. No dobrze, może niezbyt zwyczajna. Może nigdy taka nie będzie, ale na pewno będzie wolna. Spojrzała na swojego mentora, dostojnego mężczyznę, którego cechował tak rzadki racjonalizm i niezwykle intelekt, stojącego przed nią jako symbol oświecenia i poczuła, jak na jej prawdzie – na tym wszystkim, czego się niedawno dowiedziała – ciąży jego hipokryzja. Tak się nie da rozmawiać.

– A może jednak teraz.

– Myślę, że...

– Tak, pan dużo myśli. Ale nie ma pan racji. – Wskazała ręką na zatrzymany kadr z wiadomości. – To zrobił Morgan Toth. Niech pan się zastanowi. Prawda leży poza jego zasięgiem i nie sądzę, żeby kiedykolwiek do niej dotarł. Może i jest bystry, ale płytki jak kałuża. Za to pan... – Znow próbował się wtrącić, ale go uciszyła. – Więcej się po panu spodziewałam. Po korytarzach pana pałacu – tu zrobiła palcami ostentacyjne znaki cudzysłowów – krążą bogowie i bardzo się starają nie wpaść na... jak to było? Delegatów Nauki, żeby nie zburzyć spokoju. Na tym polega pana otwarty umysł? Widział pan anioły i dotykał pan chimery. – Chimery. To słowo przyszło do niej samo, tak jak gwiazdne bóstwa, odwróciła się po prostu kolejna karta. – I wie pan, że są prawdziwe. Wie pan... Wiem, że pan wie, że skądkolwiek przybyli, byli tu już wcześniej. Wszystkie nasze mity i podania opierają się na prawdziwych źródłach. Sfinksy. Demony. Anioły.

Słuchał jej ze zmarszczonym czołem.

– Ale pomyśl, że ja miałabym być potomkinią anioła? Nie, to jest szaleństwo! Odesłać Elizę do domu, załatwić jej pomoc i, na litość boską, trzymać ją jak najdalej od mojego pałacu! – roześmiała się, chociaż wcale jej nie było wesoło. – Takich jak ja tu nie obsługujecie, tak? Kto w ogóle słyszał o czarnych aniołach? I na dodatek o aniele-kobiecie? To musi być dla pana trudne, panie doktorze.

Pokręcił głową. Wyglądał, jakby go coś bolało.

– Elizo, nie o to chodzi.

– Powiem panu, o co chodzi – zaczęła, ale na sekundę zamilkła i zastanowiła się, czy naprawdę powie. Powiedz! Teraz. Tym pełnym wątpliwości męskim hipokrytą. Patrzyła to na

jednego, to na drugiego. To na zbolełego, przerażonego i... zawstydzonego nią – jej urojeniami, całym tym żalonym popisem – doktora Chaudhary’ego, to na rozdygotanego od targającej nim pogardy doktora Amhaliego. Nienadzwyczajna widownia jak na objawienie, ale to nie miało znaczenia. Nie mogła dłużej ukrywać tego, o czym się niedawno przekonała.

– Moja rodzina – zaczęła – to nędzni, okrutni i bezlitośni ludzie. Nigdy im nie wybaczę tego, co mi zrobili, ale... Mają rację. – Uniosła brwi i spojrzała na Amhaliego. – Tak, wciąż mam te wizje i nienawidzę ich. Nie chciałam w nie wierzyć. Nie chciałam być częścią tego wszystkiego. Próbowałam przed tym uciec, ale to, czego chcę, nie ma znaczenia, bo już kimś jestem. Śmieszne, prawda? Mój los to moje DNA. – Teraz spojrzenie na Chaudhary’ego. – To powinno na trochę zająć delegatów Nauki i Wiary. Jestem potomkinią anioła. Takie jest moje chrzanię, genetyczne przeznaczenie.

Księga Elazael

Nie było już nic więcej do dodania. Kiedy ją prowadzili do samochodu, wszystkie oczy skierowane były na nią. Patrzyły złowrogo i z potępieniem. Wsadzili ją do auta i nakazali odwieźć do Tamnougalt, gdzie będzie czekała na eskortę do domu. Przed sobą miała kilka godzin jazdy przez surowy krajobraz doliny Drâa, znajdującej się na obrzeżach Sahary, i żadnej rozrywki poza analizowaniem swojego dziwnego uniesienia oraz wściekłości.

Roztrząsaniem spraw znanych i pogrzebanych.

Koniuszek wystający z obszaru zalewowego. Może skrzynia, a może świat. Wystarczy tylko zdmuchnąć kurz. Zaczęła się śmiać. Siedziała na tylnym siedzeniu i śmiech wylewał się z niej jak nowy język. Później, kiedy przyjadą po nią agenci rządowi, kierowca o tym opowie w ramach wstępu do tego, co się stało później.

Kiedy już przestała się śmiać.

Za starych dobrych czasów, kiedy Karou nie musiała się niczym przejmować i tylko budowała armie potworów w wielkim zamku z piasku stojącym pośrodku niczego, co jakiś czas wsiadała do zardzewiałej ciężarówki. Najpierw po wyłobionej koleinami ziemi, a potem długimi, prostymi drogami jechała do Agdz, najbliższego miasta, gdzie przemykała się niezauważona w hidżabie kryjącym głowę i robiła zapasy. Kupowała wory kuskusu, skrzynie warzyw, żyłaste, chude kurczaki i największy skarb: suszone daktyle i morele.

Teraz patrzyła na Agdz z nieba. Niesamowite. Przefrunęła nad nim, czując z tyłu pozostałych. Potem leciała dalej. Do celu został jeszcze kawałek, a to miejsce jeszcze bardziej niesamowite. Najpierw zauważyła palmy, oazę i zielen, zaskakującą jak kleks farby na brązowej ziemi. A pośród zieleni kruszące się ściany z błota, takie same jak te, które właśnie opuścili. Kolejna kasba. Tamnougalt. Karou pamiętała, że jest w niej położony na uboczu wielki hotel, który powinien zapewnić spokój ich dziwacznej gromadce. Jednocześnie nie leżał na aż takim odludziu, żeby nie znaleźli tam tego, czego potrzebowali.

– Zatrzymamy się tu – ogłosiła. – Powinni mieć Internet i ładowarki do telefonów. Poza tym prysznic, łóżka i wodę. I jedzenie.

Ich cienie wyglądające jak ćmy robiły się coraz większe, a oni opadali coraz niżej, by się z nimi spotkać. Wylądowali w cieniu palm i stali się widzialni. Karou najpierw popatrzyła na przyjaciół. Zuzana i Mik wyglądali na osłabionych, odwodnionych, spoconych i spalonych słońcem – „Zapamiętać: nawet jak się jest niewidzialnym, można się opalić” – ale najgorsze były ich przerażone miny i niepokojąca pustka w oczach, dająca złudzenie zamyslenia. Wyglądali, jakby nie do końca byli tu obecni. Widziała, że są w szoku.

Co ona najlepszego zrobiła, wciągając ich w środek wojny?

Następnie przyjrzała się Virkowi, bo wciąż odsuwała spojrzenie na Akivę. Virko był porucznikiem Wilka i jednym z tych, którzy ją zostawili przy dole. Co prawda tylko on się odwrócił, kiedy odchodzili, ale co z tego. Za to uratował życie Zuzanie i Mikowi. Był twardy i niewzruszony, dobrze przystosowany do lotu i bitwy. Nie naruszyło go słońce, nie zmęczył się, ale twarz miał napiętą i zestresowaną. Widziała też wstyd. Zawsze od czasu tamtej sytuacji przy dole, w każdym spojrzeniu.

Popatrzyła na niego znacząco i stanowczo – taką przynajmniej miała nadzieję – i skinęła głową. Przebaczenie? Wdzięczność? Braterstwo? Nie była pewna. Odwzajemnił gest tak podniosłe, jakby brali udział w jakiejś ceremonii. Wtedy wreszcie odwróciła się do Akivy.

Nie patrzyła na niego od czasu przejścia. Widywała go tylko w tych krótkich chwilach, kiedy nie byli niewidzialni, ale w każdej sekundzie miała świadomość jego obecności. Nie patrzyła ani na jego twarz, ani w oczy. Bała się, i słusznie.

Nie ukrywał rozpaczy. Jego ból był tak świeży, że jej cierpienie od razu wydostało się na powierzchnię, i tak ostentacyjny, że można by z niego złożyć ofiarę. Ale nie to było najgorsze. Gdyby chodziło tylko o ból, mogłaby spróbować się zbliżyć, wziąć go za rękę jak po tamtej stronie przejścia, a może nawet znaleźć jego serce, jak wtedy, w jaskini. „My jesteśmy początkiem”.

Początkiem czego? Zastanawiała się zrozpaczona, bo w jego oczach zobaczyła także gniew i zaciekłość, których nie można pomylić z niczym. Ujrzała nienawiść i chęć zemsty. Przeraziła się tak, że aż nie mogła się ruszyć z miejsca. Kiedy pierwszy raz go zobaczyła w Jemaa w Marrakeszu, był lodowaty. Nieludzki, bezlitosny. Zemsta była jego codziennością, ale lata powściągliwości ostudziły furie.

Później, w Pradze, widziała, jak odzyskuje człowieczeństwo, tak jakby odwilż wypuściła jego serce z lodowej niewoli. Nie doceniała tego wówczas, bo nie rozumiała, co to znaczy ani skąd on wraca, ale teraz wiedziała już wszystko. Wskrzesał sam siebie, tamtego Akivę, którego znała dawno temu, pełnego życia i nadziei. A w każdym razie zaczął wskrzeszać. Jeszcze się ani razu nie uśmiechnął tak pięknie jak kiedyś, uśmiechem błyszczącym od słonecznego światła, sprawiającym, że była pijana z miłości. Aż kręciło jej się od niego w głowie, ale jednocześnie była absolutnie, po prostu i z wdzięcznością świadoma świata, ziemi, nieba, radości i jego. Wobec tego uczucia wszystko inne bladło. Rasa nie miała znaczenia, a zdrada była tylko słowem.

Już jej się zdawało, że uśmiech staje się znów możliwy. I rozkoszne przekonanie, że wszystko jest na swoim miejscu. Ale teraz, kiedy, patrzyła na Akivę, widziała, jak szanse na to się oddalają. Tak jak i on.

Z tego, co rozumiała, jeszcze rok temu walczyło kilka tysięcy Bastardów, ale ostatnie szaleńcze działania wojenne zredukowały ich liczbę do garstki, którą widziała w jaskiniach Kirinów. Akiva jakoś to zniósł i przeżył, a potem zniósł i przeżył jeszcze śmierć Hazaela. A teraz był tutaj, wprowadzie bezpieczny, ale prawdopodobnie tracił właśnie wszystkich innych.

Odżyła w nim żądza zemsty. Uczucie złe, ale po takich tragicznych przejściach może nieuniknione. Tuż przed swoją egzekucją usłyszała od Brimstone'a: „Pozostać uczciwym w obliczu zła, to dowód prawdziwej siły”. Może, pomyślała Karou, a serce aż ścisnęło jej się z żalu, nie mogła oczekiwać aż tyle. Pewnie od nikogo nie można by wymagać takiej siły.

Wciąż towarzyszyło jej uczucie półśmierci. Czowała się wypluta, jakby wydrążona. Znów. Odwróciła się do przyjaciół i z najwyższym wysiłkiem spróbowała odezwać się normalnie: – Moglibyście zarezerwować pokój? Chyba najlepiej będzie, jak reszty nikt nie zobaczy. Myślała – miała nadzieję – że Zuzana rzuci jakiś sarkastyczny komentarz, na przykład zasugeruje, żeby podjechali pod bramę na plecach Virka czy coś w tym stylu, ale nic nie powiedziała. Tylko pokiwała głową

– Zdasz sobie sprawę – zaczął Mik, podejmując nieudaną próbę wiania w Zuzanę odrobiny zuzanowości – że mogą się tu spełnić nasze trzy życzenia? Nie wiem, czy będą mieli tort czekoladowy, ale...

Zuzana mu przerwała:

– I tak miałam zmienić zdanie – oznajmiła i zaczęła wyliczać na palcach: – Po pierwsze: niech nasi przyjaciele będą bezpieczni. Po drugie: niech Jael padnie trupem, a po trzecie...

Cokolwiek miało być trzecie, Zuzanie nie udało się dokończyć. Karou nigdy jeszcze nie widziała jej tak zagubionej i bezbronnej. Musiała się wtrącić.

– Jeśli w zestawie nie ma jedzenia – przypomniała delikatnie – to się w ogóle nie liczy. W każdym razie tak słyszałam.

– Dobra. – Zuzana głęboko odetchnęła, żeby się trochę uspokoić. – Mogłabym dostać na kolację trochę pokoju na świecie.

Oczy jej pociemniały, była spięta. Coś w niej umarło. Karou to widziała i w duchu oplakiwała. Tak działa wojna. Rzeczywistość atakuje. Niszczy obrazek życia, który oprawiliśmy w ramkę i wkłada do niej nowy. Brzydki, taki że nie chcemy na niego patrzeć, a już na pewno wieszać na ścianie, ale nie mamy wyboru. To się nazywa odarcie ze złudzeń. Kim będzie Zuzana teraz, kiedy i ona już wie, jak jest naprawdę?

– Pokój na świecie na kolację – rozmarzył się Mik i podrapał się po zarośniętej brodzie. – Dają do tego frytki?

– Lepiej, żeby dawali – mruknęła Zuzana. – Albo go odeślę z powrotem do kuchni.

Anielica miała na imię Elazael.

Kościół założony przez jej potomków – oczywiście woleli słowo „kościół” niż „sekta” – nosił nazwę Poślubionych Elazael i tak też dostawała na imię każda dziewczynka w rodzinie. Jeśli do czasu wejścia w wiek dojrzewania nie udowodniła, że ma „dar”, zmieniano jej imię. Eliza zatrzymała je jako pierwsza od siedemdziesięciu pięciu lat i często myślała, że najgorsza ze wszystkiego była zazdrość innych. Wisienka na torcie parszewego dorastania.

Nic tak nie lśni w cudzych oczach jak zazdrość. Mało kto przekonał się o tym tak dotkliwie jak ona. Mało kto dorastał ze świadomością, że każdy członek jego wielkiej rodziny chętnie by go zabił i zjadł, gdyby tylko mógł w ten sposób zdobyć „dar”. Pomysł zaczerpnięty od wampirów.

Poślubieni byli grupą matriarchalną, a matka Elizy sprawowała aktualnie funkcję najwyższej kapłanki. Nawróconych nazywało się „kuzynami”, a córki krwi, otaczane czcią nawet, jeśli nie miały „daru”, nosiły miano Elioud. Tak w starożytnym piśmiennictwie nazywano potomstwo lepiej znanych Nephilim, czyli owoców pierwszego zetknięcia aniołów z ludźmi.

Warto zauważyć, że w pismach Nephilim, zarówno biblijnych, jak i apokryficznych, wszystkie anioły były płci męskiej. W Księdze Henocha – tekście kanonicznym etiopskich Żydów – jest mowa o przywódcy upadłych aniołów, Samyazie, który nakazał swoim stu dziewięćdziesięciu dziewięciu upadłym braciom brać się do roboty.

„Płodźcie nam dzieci”, rozkazał, a oni posłuchali. Nie ma słowa o tym, jak się na to zapatrywały ziemskie kobiety. Oczywiście, jak wskazuje piśmiennictwo z tamtych czasów, wszystko było na głowie matek, a potomstwo, które wyskakiwało z ich łon – jak się można domyślać, przy maksimum nieprzyjemności – było gigantyczne i „gryzące”, cokolwiek to znaczyło, aż w końcu Bóg musiał przysłać archanioła Gabriela, żeby je zniszczył.

I pewnie to zrobił. Może oni naprawdę wszyscy istnieli: Gabriel, Bóg, Samyaza i jego ekipa oraz ich gigantyczne, gryzące dzieci. Kto wie? Elioud odrzucili Księgę Henocha jako niedorzeczną, zachowując się tym samym – jak zawsze myślała Eliza – jak kocioł, co przyganiał garnkowi, ale czy nie postępowały tak wszystkie religie? Krzywiły się na tę drugą i mówiły: „Moja wiara jest lepsza od twojej wiary. Wypchaj się swoją”.

Mniej więcej tak to szło.

Poślubieni opierali się, jakże by inaczej, na Księdze Elazael, według której upadłych aniołów nie było wcale dwustu. Tylko czworo, w tym dwie kobiety, z których jedna tak naprawdę miała znaczenie. Ofiary korupcji w najwyższych zastępach aniołów zostały przed tysiącem lat okaleczone i niezasłużenie strącone z Nieba. Co się z stało z pozostałą trójką Upadłych ani czy mieli potomstwo, nie wiadomo, ale owoce łona Elazael, powstałe w wyniku kongresu z ziemskim mężem, były liczne.

(O wczesnym dzieciństwie Elazael i o sposobie jej edukacji – a raczej jej braku – niech świadczy fakt, że dopiero jako nastolatka dowiedziała się, że organem władzy w Stanach Zjednoczonych jest właśnie Kongres. W jej świecie słowo to oznaczało akt prowadzący do płodzenia. Rozmnażania się. Wydawania owoców. W efekcie słowo „kongres” wciąż kojarzyło jej się seksualnie za każdym razem, kiedy je słyszała, co z racji tego, że mieszkała w Waszyngtonie, zdarzało się często).

W Księdze Elazael, w przeciwieństwie do patriarchalnej Księgi Henocha i na przykład Księgi Rodzaju, anioł nie był ofiarodawcą nasienia, tylko przyjmującym je. Aniołem była matka, anielskie było łono, a jej potomstwo, czy to ze względu na naturę, czy sposób wychowania, nie było wcale potworne.

W każdym razie nie pod względem fizycznym.

Księgę Elazael spisano dopiero pod koniec XVIII wieku. Zrobił to po odzyskaniu wolności pewien niewolnik, Seminole Gaines, który wzenił się w matriarchalny klan i stał się najbardziej charyzmatycznym ewangelistą. Pod jego wpływem kościół się rozrósł i w szczytowym momencie liczył prawie ośmiuset wyznawców, w tym wielu wyzwolonych niewolników. O samej anielicy Elazael, Seminole Gaines napisał, że była „ciemna jak heban, a oczy miała białe jak światło gwiazd”, ale zważywszy, że żył ponad osiemset lat po niej, trudno tę informację traktować jako pewną. Pomijając tę ostentacyjną, straszliwą herezję – że matką rodu była czarna anielica, a nawet jeszcze lepiej: czarna, upadła anielica – księga była raczej ortodoksyjna i na tyle wtórna, że mogła równie dobrze zostać uznana za efekt zabawy zestawem magnesów ze słowami, z których układało się na drzwiach lodówki wiersze. Potrzebna byłaby tylko edycja biblijna.

Rzecz jasna, gdyby magnetyczna poezja istniała pod koniec XVIII wieku. Albo gdyby przynajmniej mieli drzwi do lodówek.

Jednak tego, co Eliza chciała wiedzieć o swoim dziedzictwie, w tej księdze nie znalazła. W każdym razie nie w tym wydaniu. Bo przecież prawdziwą Księgę Elazael miała w sobie.

Księga... zawierała się w niej. Nie w krwi, choć tylko ci z krwi i kości ją posiadali. Zapisana była w nici życia, która wiązała jej duszę z ciałem. Nie narysowano jej na żadnej rycinie anatomicznej tego świata. Ona też nic o niej nie wiedziała, nawet kiedy wpadła w to wszystko na łeb, na szyję, siedząc na tylnym siedzeniu samochodu jadącego długą, prostą drogą.

Wpadła prosto w środek szaleństwa, które dotknęło każdą z „prorokiń” przed nią.

Głodna

W Tamnougalt nie było frytek ani – co Zuzana uznała za jawne pogwałcenie reguł gościnności – czekolady. No, poza formą płynną, ale gorąca czekolada nie była w tych warunkach atmosferycznych szczytem marzeń. Ale nawet jeśli Zuzana wróciła do siebie na tyle, żeby mieć ochotę na czekoladę, daleko jej jeszcze było do narzekania na jej brak.

„Już nigdy nie będę narzekać”, postanowiła minorowo, zasiadając na tarasie na dachu tej nowej kasby. Która oczywiście, nie była nowa wcale. Była nowa dla niej. Dziwnie się czuła, patrząc na ludzi chodzących tu spokojnie w skórzanych klapkach. Jej to miejsce przypominało tylko „zamek potworów”, choć mieli tu kilka bonusów, jak bębny Berberów, wielkie tkane poduchy na zakurzonych dywanikach i grube świece ze spływającymi od lat strumieniami wosku. No, i jeszcze elektryczność i woda bieżąca. Czyli w sumie cywilizacja.

Zuzana wątpiła jednak, żeby jakakolwiek woda mogła się równać z gorącymi źródłami w jaskiniach Kirinów. Po tym, jak Karou zostawiła ją i Mika samych, zaczęli snuć marzenia o sprowadzaniu tu ludzi z Ziemi. I to wcale nie bogatych turystów, ale zwykłych ludzi, potrzebujących wytchnienia i zasługujących na zabranie do „uzdrawiających wód”. Przylatywaliby na grzbietach burzołowców i spali na czystych futrach w jednej z jaskiniowych wiosek. Światło świec, wietrzna muzyka, bankiet pod stalaktytami w wielkiej jaskini... Jakby to było fajnie, zafundować komuś takie doświadczenie! A przecież Zuzana nie lubiła ludzi! Czy tego chciała, czy nie pewnie wpływało na nią dobre serce Mika.

Przez chwilę mieli taras dla siebie. Pozostali ukryli się w pokoju. Spali i prowadzili poszukiwania. Mik i Zuzana wzięli na siebie zdobycie jedzenia, więc rozłożyli teraz na plastikowym obrusie menu.

Nie rozmawiali o bitwie. Bo co można było powiedzieć? „A pamiętasz, jak Virko rozdarł anioła na strzępy? To było niezłe! Jak pieczony na wolnym ogniu kurczak, mięsko samo odchodziło od kości!” Zuzana nie chciała o tym mówić. O innych rzeczach, które widziała, kiedy uciekali, też nie. Nie miała ochoty sprawdzać, czy Mik widział to samo. Gdyby się okazało, że tak, obrazy stałyby się jeszcze rzeczywistsze. Na przykład widok Uthema, któremu sama skompletowała naszyjnik, rozrywanego przez pięciu żołnierzy Dominium. Albo Rui, która przeniosła Issę przez przejście. I ilu innych?

– Wiesz co? – spytała. Mik podniósł wzrok. – Jednak będę narzekać. Po co w ogóle żyć, skoro człowiek nie może złożyć zażalenia na brak czekolady. Co to za życie?

– Marne – zgodził się Mik. – Ale czemu mówisz o braku czekolady? To ci nie wystarczy? – Wskazał na swoją kartę dań.

– Nie drażnij mnie.

– Nie żartowałbym w takiej sprawie! – Przysiągł z ręką na sercu. – Zobacz. W twoim menu brakuje jednej strony.

Faktycznie! Więc jednak była, czarno na białym w menu Mika. Jej nazwę, jak każdej innej potrawy, przetłumaczono na pięć języków, tak jakby słowo „czekolada” nie wystarczyło:

**gâteau au chocolat
torta di cioccolato
pastel de chocolate
schokoladenkuchen
chocolate cake**

Podszedł kelner, żeby przyjąć zamówienie.

– Najpierw poprosimy o ciasto czekoladowe, zjemy je, kiedy będziecie przygotowywali resztę – ogłosiła Zuzana.

A wtedy on – okazując, jak stwierdziła, zupełnie niestosowną skruchę – oznajmił, że czekolada im się skończyła.

...śmierć w oczach...

Nie. Wtedy do Zuzany dotarło, jaka wielka przemiana się w niej dokonała. Uznała bowiem, że to nic takiego. Zmieniła się jej hierarchia wartości, wszystko co do niedawna zyskiwało status Wielkiej Życiowej Tragedii stało się mniej ważne.

– Trudno – stwierdziła. – Jakoś przeżyję.

Mik zmarszczył czoło.

Złożyli zamówienie i poprosili, żeby jedzenie dostarczono do ich pokoju. Kelner trzy razy sprawdzał liczbę kebabów i tażinu, chlebków pita, omletów, owoców i jogurtów.

– To by wystarczyło dla dwudziestu osób! – wykrzykiwał kilka razy.

Zuzana spojrzała na niego spokojnie.

– Tak. Jestem bardzo głodna.

Eliza już się nie śmiała. Teraz... mówiła. W pewnym sensie.

Kierowca trzymał przy uchu słuchawkę i mknąc przed siebie, usiłował przekrzyczeć jej głos.

– Coś z nią jest nie tak! – wrzeszczał. – A ja wiem?! Nie słyszysz?

Wykręcił ramię i przysunął słuchawkę bliżej źródła paplaniny, ale zaraz stracił panowanie nad kierownicą, zjechał na pobocze i z piskiem opon wy dostał się z powrotem na szosę.

Dziewczyna na tylnym siedzeniu siedziała wyprostowana, jakby połknęła kij i gadała jak nakręcona. Kierowca nie mógł rozpoznać języka. To nie był arabski ani francuski czy angielski. Poznałby też niemiecki, hiszpański i włoski. Wypowiadane słowa nie budziły żadnych skojarzeń, były obce. Brzmiały melodyjnie, śpiewnie, ulotnie, a ta młoda kobieta, jakby w trakcie jakiegoś... ataku, nawijała jak opętana. Poruszała rękami do tyłu i do przodu, jakby jej się śniło, że pływa.

– Słyszysz to?! – krzyczał kierowca. – Co mam z nią zrobić?

Jak szalony zerkał to na drogę, to w lusterko i zajęło mu... jedno... trzy, cztery, pięć

szybkich rzutów oka, nim całkiem się odwrócił, by się upewnić, że naprawdę dzieje się to, co widzi.

Eliza delikatnie poruszała rękami w górę i w dół, jakby frunęła.

Bo frunęła.

Nacisnął hamulec.

Uderzyła w siedzenia przed sobą i spadła na podłogę. Zamilkła, samochód wpadł w poślizg i wyleciał na pobocze z taką prędkością, że ciało Elizy niebezpiecznie miotano się między siedzeniami, zanim kierowca zdołał wprowadzić auto z powrotem na drogę. W końcu mu się udało. Zatrzymał się, wyskoczył w tuman kurzu, który sam wzniosł i otworzył tylne drzwi.

Eliza była nieprzytomna. Spanikowany potrząsnął jej nogą.

– Proszę pani! Proszę pani!

Był tylko kierowcą. Nie wiedział, co ma robić z szalonymi kobietami, przekraczało to jego kompetencje, a teraz, na domiar złego, chyba ją zabił.

Mruknęła.

– Alhamdulillah – wysapał. Dzięki Bogu.

Ale ulga nie trwała długo. Jak tylko Eliza się podniosła – rzadka i jaskrawa krew ciekła jej z nosa, zalewając usta i brodę – powróciła do mamrotania nie z tego świata, które, przysięgał potem kierowca, rozrywało mu duszę.

– Rzym – oznajmiła Karou, jak tylko Zuzana i Mik wrócili do pokoju. – Anioły są w Watykanie.

– No tak, to ma sens – przyznała Zuzana. Postanowiła nie dzielić się pierwszym, co jej przyszło do głowy: że we Włoszech będzie mnóstwo czekolady. – Dostali już jakąś broń?

– Nie – odpowiedziała Karou, ale wyglądała na zaniepokojoną. Między innymi. Poza tym była jeszcze zdruzgotana, wyczerpana, zniechęcona i... samotna. Jej ciało znów wyobrażało załamanie: skuliła ramiona, spuściła głowę, a Zuzana nie omieszkała zauważyć, że odwraca się od Akivy. – Ambasadorzy, sekretarze stanu i cała reszta dyskutują do upadłego – kontynuowała Karou. – Niektórzy optują za uzbrojeniem aniołów, inni się sprzeciwiają. Wygląda na to, że Jael nie zrobił najlepszego wrażenia. Mimo to obywatele z własnej inicjatywy chcą zaoferować aniołom wsparcie i własne arsenale. Przedstawiciele społeczeństwa usiłują dostać się do pałacu, żeby złożyć propozycje, ale jak na razie im odmówiono. W każdym razie oficjalnie. Bo kto wie, kogo w Watykanie można przekupić, żeby szepnął słówko Jaelowi. Jest tam między innymi anielska sekta z Florydy, która ma, zdaje się, całkiem pokaźną kolekcję broni. – Zamilkła i zastanowiła się nad następnymi słowami. – Czyli w zasadzie nic się nie dzieje.

– Skąd to wszystko wiesz? – zdumiał się Mik.

– Od mojej lipnej babci – odparła Karou i wskazała na ładujący się telefon. Zuzana wiedziała o tej fałszywej babci, wielkiej belgijskiej damie, której Brimstone przez wiele lat ufał i która

była jedyną z jego ludzkich współpracowników, z którą Karou się jakoś związała. Była nieznośnie bogata, ale chociaż Zuzana jej nie poznała, nie myślała o niej ciepło. Widziała kartki świąteczne od niej, równie osobiste jak życzenia z banku. Nie przejęłaby się, ale przecież wiedziała, że Karou chciałaby czegoś więcej. Miała ochotę zdieścić w łeb każdego, kto ją rozczarowywał.

Słuchała jednym uchem, kiedy Karou opowiadała Mikowi o Esther. Patrzyła na Akivę. Siedział na parapecie okiennym, zasłony za nim były zaciągnięte, a skrzydła choć widoczne, miał zwieszony i przygaszony.

Patrzyła mu przez chwilę w oczy. Najpierw musiała przeżyć pierwsze spojrzenie. Za każdym razem trzeba było przekonywać mózg, że Akiva jest prawdziwy, bo na jego widok zawsze reagowało się tak samo: „Pff, to tylko Photoshop”. Nawet, jeśli miało się go tuż przed nosem. Dopiero potem dojrzała jego wszechogarniający smutek.

Dla tych dwojga nic nie było proste. Ich flirt, jeśli w ogóle można to tak nazwać, przypominał taniec w deszczu pocisków. A teraz, kiedy wreszcie zaczęli coś rozumieć, żaloba odgradziła ich od siebie kolejną zasłoną.

Jej się nie da odsłonić. Żaloba zostaje na zawsze. Ale można się przez nią przebić, prawda? „Skoro już muszą cierpieć”, pomyślała Zuzana, „czy nie mogą cierpieć razem?”

Gdy rozległo się pukanie do drzwi – jedzenie! – przyszło jej do głowy, że mogłaby pomóc. Przynajmniej pod względem technicznym.

– Momencik! – zawołała. – Wy troje, do łazienki. Rzekomo nie istniejecie, prawda?

Szeptali, że mogą po prostu stać się niewidzialni, ale Zuzana nie chciała o tym słyszeć.

– Gdzie on ma postawić jedzenie, skoro pół podłogi zajmuje gigantyczna chimera, na parapecie siedzi anioł, a na łóżku leży dziewczyna z niebieskimi włosami? Może was nie widać, ale zajmujecie miejsce. Całą wolną przestrzeń.

No więc ruszyli, ale o ile pokój był mały, łazienka okazała się jeszcze mniejsza, więc Zuzana zabrała się do rozmieszczania ich tak, jak to sobie wymyśliła. Najpierw lekko popchnęła przed sobą Karou, potem rzuciła Akivie spojrzenie, sugerujące: „Teraz ty”, i wcisnęła ich oboje do kabiny prysznicowej, a potem zasunęła drzwi. Tym sposobem w pomieszczeniu mógł się zmieścić Virko. Plan był rozsądny i racjonalny.

Zamknęła drzwi do łazienki. Teraz muszą sobie radzić sami. Ona nie może robić wszystkiego za nich.

Propozycja wsparcia

„Cierpliwości, cierpliwości”.

Do niej nawoływał Razgut zaledwie poprzedniego dnia. Wytrzymać jeszcze trochę. Ale sam miał już trochę dość. Teraz, po dwóch dniach od przybycia, „trochę” zmieniało się w „bardzo”. Wyśmiewał frustrację Jaela, ale tak naprawdę sam się martwił.

Gdzie są te propozycje wsparcia? Czyżby się przeliczył? Sam to przecież zaplanował. Przyleć w chwale, mówił, a oni mało nóg nie połamią, żeby dać ci, czego chcesz. Nie, nie prezydenci, premierzy ani nawet papież. Oni porozwijają czerwone dywany. Nie będą szczenić ukłonów i szurania nogami, ale poważnie się zastanowią, czy uzbroić nieznany legion. Będą analizować. Sprawdzać.

Konferować.

„Dajcie mi krwiożerczego despotę, ale oszczędźcie narad”, myślał Razgut, kiedy już brakowało mu sił.

Ale podczas gdy prezydenci, premierzy i papieże ich zabawiali, aktywniejsze, mroczniejsze siły powinny się już szykować do akcji. Zastępy szaleńców, ścigających ogień piekielny i wieszczących dzień zagłady, miały dochodzić do głosu. Komitety obywatelskie zbierać się, ustawiać w kolejkach, wysyłać oferty, dawać łapówki i za wszelką cenę dążyć do przekazania propozycji aniołom: „Wybierzcie nas! My byliśmy pierwsi! Spalcie świat, ubijcie grzeszników, a nas zabierzcie z sobą!”

Przecież takich pełno było na świecie, dawali o sobie znać na co dzień, więc gdzie się podzieli teraz? Razgut przecenił pociąg ludzkości do końca świata? Czy to możliwe, że jego widowisko nie uda się tak wybornie, jak przewidywał?

Jael był w złym humorze, przemierzał tam i z powrotem pięknie urządzone pokoje i raz przeklinał, a raz rozsiewał wokół złowrogą ciszę. Przeklinał pod nosem, dla własnej przyjemności, żeby nie wyjść na małego anielskiego i żeby jego świątobliwi gospodarze nie nabrali podejrzeń. Kiedy było trzeba, wzorowo odgrywał swoją rolę: postawa dyplomatyczna, przepych, cudowność... Kościół katolicki najwyraźniej postawił sobie za cel prześcigać się w kolejnych ceremoniach, a kolekcję kostiumów mieli naprawdę imponującą. Razgut obawiał się jednak, że jeśli będzie musiał wziąć udział w jeszcze jednej uczcie, przyczepiony do pleców Jaela, i słuchać, jak staruszek w fikuśnym stroju monotonicznie przemawia po łacinie, zacznie wrzeszczeć.

I ujawni się, żeby trochę rozruszać towarzystwo.

Zatem pełen... nadziei, obserwował dziwaczny taniec, wykonywany przez przerażonego służącego.

Krok do przodu, krok do tyłu, trzepoczące ramiona jak skrzydła u kury. Mężczyzna był jednym z nielicznych upoważnionych do wchodzenia tu i spełniania ich potrzeb. Aż do teraz w ich „świętej” obecności trzymał oczy wbite w podłogę. Kilka razy Razgut pomyślał, że mógłby się śmiało pokazać, a ten i tak by nie zauważył, bo taki poziom dyskrecji prezentowali tutejsi służący. Zachowywali się jak duchy, ale kiedy Razgut wyobrażał sobie takie zaświaty, odzywał

mu się woreczek żółciowy.

A może niestrawność powodowały gigantyczne porcje wychodzące z pałacowej kuchni?

Od wieków nie jadł tak dobrze i aż się dziwił, że ból rozepchanych jelit nie skłaniał go do większego umiaru. Może już niedługo spróbuje być bardziej powściągliwy.

A może nie.

Służący odchrząknął. Po drugiej stronie pokoju było niemal słychać jego bicie serca. Strażnicy Dominium stali nieporuszeni jak posągi, a Jael odpoczywał w prywatnym apartamencie. Razgut zastanawiał się, czy by się nie odezwać. Czy głos dochodzący nie wiadomo skąd byłby najdziwniejszym, co spotkało tego mężczyznę w ciągu dnia? A jednak nie musiał. Ten zebrał się w sobie, wystąpił naprzód, wyjął kopertę z kieszeni wykrochmalonej i lśniącej czystością marynarki, a potem położył na podłodze.

Koperta.

Razgut widział już tylko ją. Wiedział, co to jest i nadzieja w nim wezbrała.

Wreszcie!

W mig skoczył do przodu, ale gdy po wyjściu służącego Jael został wezwany, zastał Razguta widzialnego, rozciągniętego z kopertą w ręce na stoliku kawowym i nie zdradzającego ani śladu ulgi czy zainteresowania. Pakował sobie do ust cienki jak papier plasterek prosciutto i ostentacyjnie wydał odgłos rozkoszy.

– Co tam jest napisane?

Jael był niecierpliwy. Jael był władczy. Ale również skazany na łaskę Razguta.

– Nie wiem – odparł ten jak gdyby nigdy nic. Jeszcze nie otworzył koperty. – To pewnie list od fana. Może zaproszenie na chrzest. Albo oświadczyzny.

– Przeczytaj mi – rozkazał Jael.

Razgut na chwilę znieruchomiał, jakby się zastanawiał nad odpowiedzią, a potem puścił bąka. Aż się skrzywił, bo nie przyszło łatwo. Odgłos nie był satysfakcjonujący. Ale za to woń... Imperator się wściekł. Blizna pobielala mu jak zwykle, kiedy wpadał w furję i odezwał się przez zaciśnięte zęby, co miało ten pozytywny skutek, że ograniczało rozprysk śliny:

– Czytaj – powtórzył śmiertelnie spokojnym tonem i Razgut oszacował, że jest o krok od próby mordy. Gdyby teraz wykonał polecenie, mógłby sobie oszczędzić bólu. – Nie utrudniaj mi życia, a ja nie będę utrudniał tobie – dodał.

Ale czy nieutrudnianie życia było zabawne? Razgut miał jeszcze szansę, ale wpakował do ust tyle prosciutto, ile się zmieściło. Jael, widząc, co się święci, skinął głową na znak, że czas rozpocząć bicie.

Obaj wiedzieli, że to nie odniesie skutku. Po prostu już się przyzwyczaili.

Razy zostały zadane i przyjęte, a później, kiedy z nowych ran Razguta wyciekał już płyn nie będący do końca krwią i wsiąkał w piękne, jedwabne obicie krzesła, Jael spróbował ponownie:

– Gdy dotrzemy na Dalekie Wyspy – zapowiedział – i gdy Stelianie będą się już poniewierać po ulicach, ale zanim jeszcze zmiażdżymy ich ostatecznie, mógłbym czegoś od nich zażądać. W

końcu i tak wszyscy zaczęli się płaszczyć.

Razgut uśmiechnął się szatańsko. „Jeśli w ogóle uda ci się do nich dotrzeć”, pomyślał, ale nie pozabawiał imperatora złudzeń.

– Jeśli – kontynuował Jael, wyraźnie walcząc o zachowanie pozorów dobrego wychowania, z którym było mu bardzo nie do twarzy – w międzyczasie ktoś starałby się współpracować, mógłbym się zastanowić nad zażądaniem czegoś w jego imieniu. Idę o zakład, że w mocy Stelian byłoby... naprawienie cię.

– Co? – Razgut się wyprostował i przycisnął dłonie do policzków w mistrzowskiej parodii kandydatki do tytułu miss, która w finale konkursu słyszy swoje imię. – Mnie? Naprawdę?

Jael nie był aż tak głupi, żeby nie zauważyć, że ktoś z niego kpi ani żeby okazać frustrację temu Upadłemu czemuś.

– Czyżbym się mylił? Pomyślałem, że byłbyś zainteresowany.

I może byłby, gdyby nie jedna zasadnicza przeszkoda. Właściwie dwie, z czego pierwsza decydowała tak naprawdę o wszystkim. Jael kłamał. Ale nawet, gdyby nie łgał, to Stelianie i tak nigdy nie zrobiliby nic dla przeciwnika. Razgut ich pamiętał. To nie byli wrogowie, których można by lekceważyć. Gdyby – co bardzo trudno sobie wyobrazić z tego prostego powodu, że nigdy się jeszcze nie zdarzyło – ktoś ich kiedykolwiek faktycznie pokonał, unicestwiliby się sami, zanim doszłoby do aktu poddania się.

– Nie tego bym sobie życzył – odparł.

– Zatem czego?

Kiedy dogadywał się z niebieskowłosą ślicznotką w sprawie powrotu do Eretz, jego życzenie było proste. Latać? Tak, latanie się w tym życzeniu zawierało. Chciał być znów kompletny. Ale chodziło nie tylko o to, żeby odzyskać skrzydła i nogi, które mu uszkodzono, bo wiedział, że prawdopodobnie i tak nie da się go naprawić. Na dnie jego duszy spoczywało inne pragnienie.

– Chcę wrócić do domu – oznajmił. W jego głosie nie słychać było szyderstwa, sarkazmu czy tego co zwykle wrednego ubawienia. Nawet w własnych uszach zabrzmiał szczerze jak dziecko.

Jael patrzył na niego bez wyrazu.

– Nie ma sprawy – odparł. I za te właśnie słowa, choć wiele rzeczy Jael mu zrobił i powiedział, Razgut najbardziej chciał mu skrócić kark. Nosił w głębi siebie tak ogromną pustkę, która tak mu ciążyła, że czasem aż go zatykało, gdy sobie przypominał, że przecież Jael nic nie wie. Że nikt nie wie.

– Jest sprawa. – Jeśli Razgut Upadły Po Trzykroć był czegoś absolutnie pewien, to tego, że nigdy już nie wróci do domu.

Bardziej po to, żeby zamaskować wzruszenie niż uniknąć dalszych tortur, przystąpił do otwierania listu. „Co tu będzie napisane”, zastanawiał się. „Kto to napisał? Jaką składa ofertę?”

„Czy to już czas?”

To była słodko-gorzka myśl. Razgut wiedział, że Jael zabije go natychmiast, jak tylko przestanie go potrzebować, a życia, nawet tak nieszczęsnego, niełatwo się wyrzec. Z doprowadzającą do szaleństwa starannością, najpowolniejszymi ruchami, do jakich był w stanie skłonić drżące palce, wygnany anioł dał popis rozkładania kartek.

„Zdecydowane pismo”, zauważył, „atrament, dobry papier, łacina”. I musiał już w końcu przeczytać pierwszą ofertę pomocy.

Szczęście musi się gdzieś podziać

Stali bardzo blisko siebie, a sytuacja robiła się absurdalna. Nie, jak się dobrze zastanowić, już taka była. Słuchawka prysznicowa wpijała się Karou w plecy, drzwi przycięły pióra skrzydeł Akivy, a plan Zuzany aż nadto rzucał się w oczy. Chciała dobrze, ale wyszło dziwnie – przedziwnie – i jeśli bliskość miała coś w nich rozpałić, poddały się temu tylko policzki Karou. Zarumieniła się. Było ciasno. Skrzydła Akivy zmusiły go do nachylenia się w stronę Karou, ale pod wpływem działania jakiejś tajemniczej siły pilnowali zachowania choć odrobiny dystansu.

Jak nieznajomi w windzie.

No bo tak naprawdę przecież się nie znali. Łączyło ich tak silne przyciąganie, że łatwo było się dać zwieść złudzeniu bliskości. Karou, która nigdy nie wierzyła w takie rzeczy, rozważała nawet istnienie porozumienia dusz. „Twoja dusza śpiewa dla mojej”, zauważył kiedyś i była skłonna przysiąc, że słyszy ten śpiew. Ale na tym się kończyło. Musieli się siebie nauczyć, a ona, choć bardzo chciała, nie wiedziała, jak się to robi w takich okolicznościach. Nie mogli już siedzieć na dachu katedry, jeść gorącego chleba i obserwować wschodu słońca.

To nie czas na zakochanie.

– Jak tam? – spytał Virko. Cicho, ale nie całkiem szeptem, a Karou wyobraziła sobie, że kelner to usłyszy i będzie się zastanawiał, kto się chowa w łazience. Sytuacja osiągnęła nowy poziom absurdu. W obliczu wszystkiego, co się stało i ich wielkiej misji, siedzieli w łazience upchnięci jak sardynki w kabinie prysznicowej i chowali się przed kelnerem.

– W porządku – odparła stłumionym głosem. Choć to było kłamstwo. Nic nie było w porządku. Uderzyło ją, że taka nawet odruchowa odpowiedź wydawała się na miejscu. Zbyt zdawkowa w tych okolicznościach. Zaryzykowała rzut oka na Akivę, bo się wystraszyła. Jeśli pomyślał, że ona naprawdę tak sądzi? „W porządku, dzięki. Bardzo ładną mamy pogodę. A co tam u ciebie?” Zobaczyła w jego oczach falę rozpacz, bólu i gniewu. Aż odwróciła wzrok. „Akivo, Akivo...”. W jaskiniach, kiedy popatrzyli na siebie z dwóch końców wielkiej sali, mimo oddzielających ich

od siebie wrogich armii, mimo ciężaru zdradzieckiej wrogości i spoczywających na nich tajemnic, ich spojrzenie było jak dotyk. Teraz już nie. Dzieliły ich centymetry, a w jego oczach widziała tylko... żal?

– Dzieci żalu – powiedziała na głos. No, wyszeptała. Popatrzyła na niego raz jeszcze. – Pamiętasz?

– Jak mógłbym zapomnieć? – odparł z bólem w sercu i głosie.

Opowiedziała mu tę legendę – jako Madrigal – tamtej nocy, kiedy się w sobie zakochali. Pamiętał każde słowo i dotyk. Uśmiech i westchnienie. Wspominanie tego było jak patrzenie przez ciemny tunel – czyli jego życie od tamtego dnia – na jasne miejsce u wylotu, gdzie uczucia i kolory były intensywniejsze. Wydawało mu się, że tamtej nocy ukrył swoje szczęście. Zwinął je w kłębek i odłożył na bok, jak niepotrzebną rzecz, której nie będzie już nigdy potrzebował.

– Powiedziałeś, że to straszna historia.

Była to chimeryjska legenda o tym, skąd się wzięli. Mit o gwałcie. Chimery powstały z łez księżycy, a serafini z krwi brutalnego słońca.

– Bo jest straszna – potwierdził ze znacznie większą żarliwością niż wtedy. Teraz nie mógł nie myśleć o tym, co spotkało Karou z rąk Thiaga.

– To prawda – zgodziła się. – Ale wasza też. – W serafińskim micie chimery były ożywionymi cieniami, produkowanymi przez ogromne, pływające w ciemności potwory, które pożerały świat. – Chociaż z drugiej strony, coś w niej jest. Ja się teraz czuję jak dziecko łez i cień jednocześnie.

– Jeśli trzymamy się mitów, ja powstałem z krwi.

– I światła – przypomniała łagodnie. Mówili prawie szeptem, tak jakby Virko i tak nie słyszał każdego ich słowa, wciśnięty w szklaną kabinę od drugiej strony. – Stworzyliście dla siebie życzliwszą legendę niż my – mówiła dalej. – My uczyniliśmy siebie owocem rozpacz. Wy powstaliście w niej na podobieństwo bogów i do tego spełniacie szlachetny uczynek: przynosicie światu światło.

– Chyba kiepsko nam to wychodzi – mruknął.

Uśmiechnęła się ostrożnie, a potem się ze smutkiem roześmiała.

– Nie zaprzeczę.

– Według legendy będziemy wrogami do końca świata – przypomniał. Kiedy jej opowiedział tę historię, leżeli nadzy, spleceni z sobą i wyczerpani, bo przed chwilą po raz pierwszy, najpierwszy, się kochali. Koniec świata wydawał się równie abstrakcyjny jak płaczący księżyc.

Teraz Akiva czuł, jak ich przytłacza uczucie beznadziei. Zastanawiał się, kiedy przychodzi ten moment, że nie ma już o co walczyć.

– Dlatego stworzyliśmy nasz własny mit.

Pamiętał!

– Raj czekający aż go znajdziemy i wypełnimy szczęściem. Jeszcze w to wierzysz?

Nie chciał, żeby to zabrzmiało tak ostro, jakby marzenie było niczym więcej jak głupią fantazją wtulonych w siebie kochanków. Najwyżej siebie mógł karcić, bo on wierzył jeszcze nie dalej jak wczoraj, kiedy Liraz mu zarzuciła, że „smarka szczęściem”. Miała rację. Wyobrażał sobie, jak będą się z Karou kąpać. Ułoży jej plecy na swojej piersi, przytuli i będzie patrzył, jak jej włosy unoszą się na powierzchni wody.

„Niedługo”, myślał, „tak będzie”.

Dzisiejszego ranka wylecieli z jaskiń. Wdział spokojny lot przemieszanych armii i wyobraził sobie jeszcze więcej. Ich własne miejsce. Dom. Akiva nigdy go nie miał. Żadne miejsce zamieszkania nawet go nie przypominało. Tylko baraki, namioty wojskowe, a na samym początku harem i zbyt krótkie dzieciństwo. Dom. Największa fantasmagoria. Obrus, krzesła, stół, przy którym jadaliby z Karou posiłki. Tylko ich dwoje, migoczące świece. Mógłby wyciągnąć rękę, chwycić jej dłoń i trzymać. Rozmawialiby i odkrywali się nawzajem warstwa po warstwie. Zamknięte drzwi odgradzałyby ich od świata. Mieliby miejsce do chowania rzeczy. Chociaż tak naprawdę nawet nie wiedział, co mógłby chować. Nigdy nie posiadał niczego poza mieczami. Żeby sobie wyobrazić, jak wygląda domowe życie, przypominał sobie stare, zardzewiałe przedmioty z jaskiń Kirinów, gdzie dawno, dawno temu jego ludzie wymordowali jej ludzi.

Talerze, fajki, grzebień, czajnik.

I... i łóżko. Łóżko i koc, wspólny koc, którym będą mogli się okrywać. W tej prostej, najprostszej rzeczy manifestowała się nadzieja Akivy i jego delikatność. Ta myśl pozwalała mu wierzyć i widzieć, że po wojnie będzie mógł być... kimś. Jeszcze dzisiaj rano, w locie, wydawało mu się, że jest to w zasięgu ręki.

Nie trudził się planowaniem, gdzie się ten dom znajdzie. Nie zastanawiał się, co będzie za drzwiami. Ale teraz, kiedy wpadła mu do głowy ta myśl, nie widział już nic więcej. Jedynie to, co znajdzie się za ścianami małego, cichego „raju” z jego marzeń.

Porozrzucane wszędzie ciała.

– Nie raj – odparła Karou jeszcze ciszej. Zarumieniła się i na moment zamknęła oczy. Akiva spojrzał w dół i pochłonął go widok jej rzęs, ciemnych i drżących na tle podsiniaczonych oczu. Kiedy na niego spojrzała, przeszył go dreszcz, jak zwykle przy kontakcie wzrokowym. Czarna, lustrzana przestrzeń jej tęczówek pozbawionych źrenic. Widział tam zmartwienia i ból taki sam jak jego, ale także siłę. – Wiem, że żaden raj na nas nie czeka – dodała. – Ale szczęście musi się gdzieś podziąć, prawda? Może w Eretz... – Zawstydziała się. Wciąż dzieliła ich przestrzeń. – Myślę, że powinniśmy naszym szczęściem obdarzyć Eretz. Ono zasługuje, a nie jakiś raj, któremu go wcale nie trzeba. – Zawahała się i znów na niego popatrzyła. Patrzyła i patrzyła i w tych niezwykłych oczach zmieściła całą siebie. Dla niego. Dla niego. – Jak myślisz?

– Szczęście. – Wypowiedział to słowo niepewnie, a nawet z odrobiną niedowierzania, jakby

pochodziło z ich mitu tak samo jak wszyscy ci bogowie i potwory.

– Nie poddawaj się – szepnęła. – Nie ma nic złego w radości, że się żyje.

Zapadła cisza, ale Karou czuła, że on szuka odpowiednich słów.

– Wciąż dostaję szansę – odezwał się w końcu – która mi się nie należy.

Przez chwilę milczała. Wiedziała, jakie dźwigał poczucie winy. Poświęcenie Liraz i ją powalało na kolana. Po kolejnym długim, głębokim wdechu zaryzykowała, licząc, że nie powie nic złego:

– Ona nie chciała z niej skorzystać. Wolą ci oddać. – Czuła, że Liraz podarowała szansę nie tylko Akivie, ale i jej.

A jeśli Brimstone miał rację, uważając, że w nich cała nadzieja, był to także prezent dla Eretz.

– Może – zgodził się. – Wcześniej mówiłaś, że zmarli nie domagają się pomsty i możliwe, że masz rację, ale jeśli jest się jedynym, który przeżył...

– Tego nie wiemy – wtrąciła, ale nie zdołała dokończyć.

– ...życie wydaje się kradzione.

– Ofiarowane.

– Wtedy jedyną motywacją do działania jest zemsta – dokończył.

– Wiem. Ale uwierz mi, że nie tylko. Przecież ukrywam się z tobą pod prysznicem, zamiast cię zabić, więc wygląda na to, że serce może zmienić zdanie.

Cień uśmiechu. To już coś. Karou się odwzajemniła i wróciły do niej jego stracone, piękne, nasycone światłem uśmiechy. Nakazała sobie wierzyć, że to nie koniec. Człowieka można zmiążdżyć. I nie zawsze się da postawić go potem na nogi. Ale teraz się da.

– Nadzieja jeszcze nie umarła – oznajmiła. – Nie wiemy, co się z nimi stało, ale nawet gdyby wydarzyło się najgorsze, my jesteśmy tutaj. Będę miała nadzieję, dopóki przynajmniej to się nie zmieni. – Mówiła poważnie. Wręcz żarliwie, jakby mogła wlać w niego wiarę.

I może dała radę.

Od pierwszej chwili wtedy w Bullfinch, w dymie i mgle, Akiva zawsze patrzył na nią z zachwytem. Obejmował ją wzrokiem. Otwierał oczy szeroko, bał się mrugnąć, a nawet odetchnąć. Powróciło coś z tamtego oczarowania, a nieprzejednanie i zaciekłość ustąpiły. Tyle wyczytała z twarzy, gdy zobaczyła, jak łagodnieją mu rysy. Poczowała ulgę, może na wyrost, bo zmiana była niewielka. A może wcale nie na wyrost? Przecież to już coś. Gdyby tylko tak łatwo można się było pozbyć nienawiści. Po prostu rozluźnić mięśnie twarzy.

– Masz rację – przyznał. – Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Żyj.

Niech ci bije serce i żwawo płynie krew. Chciała, żeby lśniły mu oczy. Żeby trzymali dłonie na swoich sercach i wierzyli w „my jesteśmy początkiem”.

– Będę. – A w jego głosie były żar i obietnica.

Karou wciąż się zdarzało patrzeć na niego oczami Madrigal. W tamtym wcieleniu była

wyższa, więc obserwowała go z innej perspektywy, ale w tej chwili nasunęło jej się konkretne wspomnienie: mroczny gaj, chwila tuż przed pierwszym pocałunkiem. Płomień w jego oczach, on nachylający się do niej. To wywołało wibracje wtedy i teraz. Czas zatoczył koło i przywrócił ją do obecnego wcielenia.

Pewne rzeczy się nie komplikują. Na przykład działanie magnesów.

Prawie nie musieli się ruszać. Nie było mrocznego gaju ani pocałunku, a Karou sięgała tylko tak wysoko, żeby przytulić policzek do jego piersi i w końcu to zrobiła. A reszta ciała poszła za dobrym przykładem. Wreszcie zniknął ten przekłety dystans. Jego serce biło pod jej skronią, objął ją, był ciepły jak lato i poczuła przetaczające się przez niego westchnienie. Rozluźniło go na tyle, że mógł się zbliżyć. A wtedy ona też westchnęła i jej ciało odwzajemniło się bliskością.

Tak dobrze jej było. „Nie ma między nami powietrza”, pomyślała, „i nie ma już wstydu. Nic nas nie dzieli”.

Tak dobrze jej było.

Objęła go, żeby przywrzeć jeszcze mocniej. W każdym wdechu czuła żar i zapach, pamiętany i odkrywany. Pamiętała też i odkrywała na nowo jego siłę i to, jaki był prawdziwy. Trochę ją to nawet zszokowało, bo jego wygląd czynił go... nierzeczywistym. Jakby się składał z żywiołów. „Miłość jest żywiołem”, przypomniała sobie z bardzo, bardzo dawnych czasów i poczuła, że frunie. Akiva wyglądał jak zbudowany z ognia i powietrza, ale pod dotykiem... Istniał. Wystarczająco namacalny, żeby się go trzymać na zawsze.

Gładził ją po włosach i czuła na czubku głowy jego usta. Nie przepełniało jej pożądanie, tylko czułość i nieopisana wdzięczność, że on żyje. I ona też. Odnalazł ją, a potem jeszcze raz. I... na bogów i gwiazdny pył, potem raz jeszcze. Niech już nigdy więcej nie musi szukać.

„Ułatwię ci to”, pomyślała, przyciskając policzek do bicia jego serca. „Nie ruszę się stąd”.

Tak jakby ją usłyszał i uścisnął mocniej na zgodę.

Gdy Zuzana otworzyła drzwi do łazienki i zawołała: „Zupę podano!”, powoli rozpletli uścisk i wymienili spojrzenia pełne wdzięczności, obietnicy i wspólnoty. Bariera została przełamana. Nie przez pocałunek, jeszcze nie, na razie przez dotyk. Należeli do siebie. Karou wychodziła spod prysznicza przepełniona jego ciepłem. Przez moment mignęli w lustrze zamknięci w jego ramach i pomyślała: „Tak. Tak ma być”.

Ich odbicia wymieniły jeszcze jedno spojrzenie, spokojne, radosne i czyste, wolne od rozpacz i bólu, a potem weszli za Virkiem do pokoju, gdzie na całej podłodze rozstawione było jedzenie, jak na pikniku u sułtana.

Jedli. Karou i Akiva blisko siebie, co Zuzana odnotowała i przypieczętowała mistrzowskim jak zawsze ruchem brwi.

Zdążyli zaledwie spróbować tej uczyty, kiedy usłyszeli dochodzące z zewnątrz hałasy. Trzasnęły drzwiczki samochodu i dobiegły ich dwa podniesione i wściekłe męskie głosy. Mogła to być jakaś bzdura, prywatna utarczka, ale to na pewno nie poderwałoby całej piątki na nogi – Akivy w pierwszej kolejności – i nie skłoniło ich do rzucenia się do okna. Spowodował to trzeci

**głos. Damski, melodyjny i niespokojny. Dwa pozostałe otaczały go wrogo jak ptaka w sieci.
Kobieta mówiła po serafińsku.**

Ucieczka

Z okna nie widzieli, co się dzieje, więc Karou i Akiva stali się niewidzialni i wyszli na zewnątrz. Mik i Zuzana za nimi, ale widzialni. W pokoju został tylko Virko.

Kłótnia toczyła się na frontowym dziedzińcu, pełnym pyłu królestwie kasbowych dzieci, które wozily się w taczkach i łypały groźnie na hotelowych gości. Powód awantury nie budził wątpliwości. W otwartych drzwiach samochodu siedziała młoda kobieta, najwyraźniej niezająca sobie sprawy, kim jest ani gdzie się znajduje.

Wyglądała na nieobecna. Miała pełne usta, gładką skórę w odcieniu głębokiego brązu i bardzo niepokojące oczy: ładne, ale zbyt jasne, za szeroko otwarte z bardzo białymi białkami. Bezładne ręce trzymała na kolanach, siedziała na skraju siedzenia, głowę miała lekko odchyloną, a z jej zakrwawionych ust płynęły strumienie słów w jakimś nieznanym języku.

Chwilę trwało, zanim przetworzyli to, co widzą. Krew, kobieta i dwa języki, głośne i niemogące dojść do porozumienia. Mężczyźni kłócili się po arabsku. Jeden z nich najwyraźniej przywiózł tutaj kobietę i chciał ją jak najszybciej zostawić. Drugi pracował w hotelu i oczywiście nie chciał mieć z tym nic wspólnego.

– Nie może jej pan tu zostawić. Co jej się stało? Co ona mówi?

– A ja wiem?! Przyjadą po nią jacyś Amerykanie, niech oni się martwią.

– Tak, a w międzyczasie? Trzeba się nią zająć. Niech pan patrzy. Co z nią jest nie tak?

– Nie wiem. – Kierowca odpowiadał opryskliwie, bał się. – Nie ja jestem za nią odpowiedzialny.

– A co, może ja?!

Rozmawiali w tym duchu, podczas gdy kobieta lamentowała:

– Ściga, pożera, szybkie i wielkie. Poluje! – mówiła po serafińsku, a w jej głosie słycać było łkanie, słodycz i ból, jakby śpiewała pozaziemskie fado. Sięgający w głąb duszy, wywracający życie do góry nogami żal za tym, co stracone i co już nigdy nie wróci. – Potwory, potwory i Kataklyzm! Nieba kwitnące i czerniejące, nic ich nie zatrzyma. Zniszczono je i to nie była nasza wina. My otwieraliśmy drzwi, byliśmy światłem w ciemności. To nie powinno się być stać! Zostałam wybrana jako jedna z dwanaściorga, ale upadłam sama. Niosę w sobie mapy, ale ja jestem zgubiona, są we mnie nieba, ale martwe. Martwe, martwe, martwe na zawsze, och,

gwiazdne bóstwa!

Karou stanęły dęba włoski na karku. Akiva wylądował obok niej.

– Co jej się stało? – spytała. – Wiesz, o czym mówi?

– Nie.

– To serafinka?

Zawahał się, zanim zaprzeczył.

– Nie, jest człowiekiem. Nie widzę płomienia. Ale jest coś...

Karou też to czuła, ale nie umiała tego nazwać. Kim była? Jakim cudem mówiła po serafińsku?

– Meliz stracone! – zawodziła, a Karou poczuła, że stają jej dodatkowo włoski na rękach. – Nawet Meliz, pierwsza i ostatnia, Meliz wieczna, Meliz pożarta.

– Wiesz kto to jest? – spytała Karou. – Ta Meliz?

– Nie.

– A co to ma być?!

Karou odwróciła się na dźwięk głosu Zuzany i wpatrywała się w nią, w najdoskonalszą z wkurzonych czarodziejek, wcinając się w sam środek kłótni. Pomaszerowała do mężczyzn, którzy zagapili się na nią z niedowierzaniem, prawdopodobnie próbując połączyć surowy ton z wizerunkiem filigranowej dziewczynki. W każdym razie robili to do momentu, aż zaszczyliła ich rzetelną dawką spojrzenia neek-neek. Zamilkli.

– Ona krwawi – oznajmiła Zuzana po francusku. Z racji kolonialnej przeszłości Maroka był to najpopularniejszy tutaj język europejski, nawet przed angielskim. – Wy jej to zrobiliście?

W jej głosie słychać było zapowiedź furii. Był jak sztylet, który spoczywa jeszcze w pochwie i obydwaj mężczyźni pośpieszyli z zapewnieniami o swej niewinności.

Na Zuzanie nie zrobiło to wrażenia.

– Co z wami? Stoicie jak cielęta. Nie widzicie, że ona potrzebuje pomocy?

Nie wiedzieli, jak na to odpowiedzieć, zresztą nie mieli czasu, bo Zuzana – w asyście Mika – już przejmowała opiekę nad młodą kobietą. Złapali ją każde pod łokieć, pomogli wstać, a potem poprowadzili między sobą. Powódź serafińskiego płynęła nieprzerwanie:

– Jestem Upadła, jestem całkiem sama, rozbiję się o skały i nigdy już nie będę całością... – Jej fascynujące oczy nie skupiały się na niczym, ale prowadzona, posłusznie stawiała nogę za nogą. Mężczyźni nie protestowali, więc Zuzana i Mik po prostu ją zabrali.

Kilka godzin później, gdy przyjechali Amerykanie w czarnych garniturach, recepcjonista zaprowadził ich najpierw do pokoju Elizy, a kiedy się okazało, że nie ma tam ani jej, ani jej rzeczy, poszli do pokoju zajmowanego przez tę małą, dziką dziewczuszkę i jej chłopaka, którzy, między nimi mówiąc, zamówili pół kuchni. Stukali do drzwi, ale ponieważ nikt nie odpowiadał i nikt się w środku nie ruszał, weszli. Nie zaskoczyło ich odkrycie, że w środku nikogo nie ma.

Nikt nie widział, jak wychodzili, nawet dzieciaki bawiące się na dziedzińcu, a tylko tą drogą można się było dostać do szosy.

Zresztą, jak się nad tym zastanowić, nikt też nie widział ich przybycia.

Nie zostawili nic poza wylizanymi do czysta talerzami i – co pasowało do jednej ze spiskowych teorii – kilkoma niebieskimi włosami pod prysznicem, gdzie anielska dłoń głaskała diabelską głowę podczas długiego – i długo oczekiwanego – przytulenia.

Dawno, dawno temu...

Zaczęła się podróż,



która miała połączyć wszystkie światy nicią światła.

Przybycie + 60 godzin

Proch i rozkład

Morgan Toth czuł się jak w Boże Narodzenie. Mnóstwo prezentów i okazja do podpasienia swojego ego, to uczucie miał na myśli. Bo przecież nie radość z narodzin Chrystusa. No litości!

Wiadomości, które przychodziły na komórkę Elizy, stawały się coraz bardziej szalone, a wysyłający je z godziny na godzinę coraz wyraźniej zdesperowani. Prosto w jego ręce trafiła kwintesencja ich opętania i aż żałował, że nie ma partnera w zbrodni. Kogoś, kto razem z nim by się zdumiewał, że tacy szaleńcy naprawdę istnieją. Ale nikt odpowiedni nie przychodził mu do głowy. Pewnie każdy, kto poznałby prawdę, wpadłby w panikę i zadzwonił na policję.

Debile.

Przydałaby mu się psychofanka. Albo przynajmniej dziewczyna. Wytrzeszczone w zachwycie oczy... „Morganie, jesteś taki niedobry”, ćwierkałaby. Ale niedobry w pozytywnym znaczeniu. Niedobry w bardzo, bardzo dobrym sensie.

Telefon znów zawibrował. Morgan miał już wyrobiony odruch Pawłowa: telefon Elizy bzyczał, a on się myślach ślinił, oczekując kolejnych eksplozji niedowierzania, że oni są prawdziwi. Boże, aż niemożliwe!

„Gdzie jesteś, Elazael? Minął czas małostkowych sprzeczek. Wiesz już, że nie uciekniesz od tego, kim jesteś. Nasi krewni już przylecieli, tak jak zawsze mówiłyśmy. Składałyśmy im oferty. Zaoferowałyśmy siebie jako małżonki i oblubienice, zawsze w ekstazie i uniżeniu. Dzień Sądu się zbliża. Niech reszta gnuśnego świata służy Potworom jako strawa, podczas gdy my będziemy klęczeć u stóp Boga. Potrzebujemy cię”.

Doskonale. Po prostu doskonale. „Ekstaza i uniżenie”. Morgan się roześmiał, bo te dwa słowa świetnie określały jego oczekiwania wobec potencjalnej dziewczyny.

Kusiło go, żeby odpisać. Tak długo się już powstrzymywał i zrobiło się trochę nudno. Jeszcze raz przeczytał wiadomość. Jak można się w coś takiego wkręcić?! Składały oferty. Co to znaczyło? Jak można się zaoferować aniołom? Morgan zdążył się już zorientować, że nadawca tych SMS-ów – czyli zdaje się matka Elizy, świruska pierwszej klasy – przebywał w Rzymie. Ale, o ile dobrze słyszał, Watykan traktował Przybyszy jak więźniów, co swoją drogą było doprawdy genialne. Wyobraził sobie papieża stojącego na dachu Bazyliki św. Piotra z gigantyczną siatką na motyle. „Łapcie anioły!”

Po dłuższym namyśle sformułował odpowiedź:

„Hejka mammo! Miałam nową wizję. Pocieszę cię, że w niej faktycznie klęczałyśmy u stóp Boga, uff. Ale robiłyśmy mu pedicure. Nie mam pojęcia, jak to interpretować. Buziaki! Eliza”.

Wiedział, że przesadził, ale nie mógł się powstrzymać. Wysłał. Nastąpiła długa cisza i zaczął się obawiać, że ją wykończył tą wiadomością, ale nie wymiękła. Szaleńcy to twardziele, można się tego było spodziewać.

„Twoja gorycz obraża Boga, Elazael. Dostałaś wielki dar. Ilu naszych przodków szeszło, nie ujrzawszy uświęconych twarzy naszych pobratymców? A dla ciebie to powód do śmiechu? Wolisz czekać na pożarcie wraz z resztą grzeszników, podczas gdy my wzniesiemy się, by zająć nasze miejsce w...”

Morgan nie zdążył doczytać do końca, a już na pewno zaszaleć z odpowiedzią.

– To telefon Elizy?!

Gabriel. Morgan obrócił się na krześle. Jakim cudem neurobiolog zdołał go dopaść? Czyżby zapomniał zablokować drzwi?

– Jezu Chryste, tak! – Gabriel odpowiedział sam sobie. Był wstrząśnięty i zniesmaczony. Morgan zaczął się zastanawiać, skąd ten wstrząs. Przecież Edinger nim gardził. I mimo to się zdziwił? Jak zareagować? Został przyłapany na gorącym uczynku. Mógł tylko kłamać.

– Co pół minuty dostaje nową wiadomość. Ktoś bardzo chce ją znaleźć. Zamierzałem mu napisać, kimkolwiek jest, że jej nie zastał...

– Oddaj mi telefon.

– Nie.

Gabriel nie prosił po raz drugi. Po prostu przykopał w nogę krzesła, na którym spoczywał Morgan. Ten zatrzepotał rękami i runął na podłogę. Gruchnął mocno i boleśnie, więc wściekł się tak strasznie, że dopiero gdy stanął na nogi i zaczął odgarniać wpadającą do oczu grzywkę, zorientował się, że nie ma już w ręce telefonu.

Cholera. Trzymał go Edinger. Jego wstrząs i niesmak jeszcze się pogłębiły.

– Ty to zrobiłeś, prawda? – Gabriela nagle olśniło. – To wszystko. Jezu Chryste, a ja ci włożyłem do ręki narzędzia, zostawiłem ci jej komórkę.

Furia Morgana zmieniła się w strach. Przypominało to zalewanie rany środkiem odkażającym: kipienie, bąblowanie, pieczenie.

– O czym ty mówisz? – spytał z nieskutecznie udawanym zdziwieniem.

Edinger powoli pokręcił głową.

– Dla ciebie to zabawa, a jej prawdopodobnie zniszczyłeś życie.

– To nie ja – upierał się Morgan, ale był nieprzygotowany do obrony. Nie spodziewał się...

Nie zakładał, że zostanie złapany.

Jak mógł o tym nie pomyśleć?

– No cóż. Nie mogę ci obiecać, że zniszczę ci życie – zapowiedział Gabriel. – To by było za duże zobowiązanie. Ale obiecuję ci jedno. Doprowadzę do tego, że wszyscy się dowiedzą, co

zrobiłeś. – Podniósł ostrzegawczo telefon. – A jeśli to przy okazji zrujnuje ci życie, nie będę żałował.

Kolejny list. Trzeci. Dostarczył go ten sam służący i już po kopercie Razgut rozpoznał nadawcę. Tym razem nie silił się na gierki z Jaelem. Jak tylko służący – miał na imię Spivetti – sobie poszedł, złapał list i rozerwał kopertę.

O poprzednie dwa bardzo dbał. Traktował je z atencją godną listów miłosnych. Nie, żeby kiedykolwiek napisał list miłosny, ale... Nie, to nie do końca prawda. Napisał, ale to było Dawno Temu i równie dobrze mógł być wtedy kimś innym. Kimś, kto wypisywał słowa słodkiego pożegnania do dziewczyny koloru miodu. Na pewno wyglądał inaczej. Jak serafin. A jego umysł był jeszcze wtedy brylantem bez skazy, bez pęknięcia – a jakiejż trzeba siły, żeby zmiażdżyć brylant! – niezmaconym odkształceniami i brudem. To się stało tak strasznie dawno temu, a jednak pamiętał, że pisał ten list, choć imię i twarz dziewczyny wyleciały mu z pamięci. Widział ją jako złotą smugę, zapowiedź życia, jakie mógłby wieść, gdyby nie został Wybranym.

„Jeśli nie wrócę”, kreślił ładnym, ale szybkim pismem, nachylając się nad kartką tuż przed wylotem do stolicy, „wiedz, że myśl o tobie zabiorę wszędzie, w ciemność każdego jutra i poza granicę każdego horyzontu”.

Coś w tym stylu. Pamiętał uczucia, jakie wlewał w te słowa. To nie była miłość ani w ogóle nic szczerzego. Razgut się po prostu asekurował. Jeśli nie zostanie wybrany – a jakie miał szanse, że go wybiorą, skoro kandydatów było aż tylu? – wróci do domu, będzie udawał, że mu ulżyło, a dziewczyna w kolorze miodu pocieszy go swoją jedwabistością. Potem może za niego wyjdzie, urodzi dzieci i będą wiedli ponuro-szczęśliwe życie w cieniu jego klęski.

Ale został wybrany.

O, chwalebny dniu! Wtedy, Dawno Temu, Razgut był jednym z dwanaściorga wybrańców i chwała spadła na niego. Dzień Naznaczenia – taka chluba! W mieście paliło się tyle świateł, że oszołomili nocne niebo i nie widzieli gwiazdnych bóstw, ale one ich widziały. I to się liczyło: że bogowie ich zobaczyli i widzieli, że to są Wybrani!

Ci, którzy otworzą drzwi i staną się światłem w ciemności.

Razgut nigdy nie wrócił do domu i nigdy już nie zobaczył tej dziewczyny, ale proszę bardzo, nie okłamał jej, tak? Pamiętał ją, poza granicą horyzontu i w ciemności jutra, których nie umiał sobie nawet wyobrazić.

– Co ona pisze?

Ona.

Zadumę Razguta przerwał Jael. Listu nie napisała żadna jedwabista dziewczyna, tylko kobieta, której nigdy nie widział – choć nazwisko coś mu mówiło. Nie było w niej ani odrobiny słodczy. I dobrze, gust Razguta zmienił się z czasem. Słodczych była mdła. Niech ją sobie mielą motyle i kolibry. A on, niczym chrząszcz omarlicowaty, sycił się ostrzejszymi aromatami.

Zapachami prochu i rozkładu.

– Pistolety, materiały wybuchowe, amunicja – przetłumaczył Jaelowi. – Twierdzi, że zaopatrzy cię we wszystko, czego chcesz i czego potrzebujesz, jeśli tylko zgodzisz się na jej warunek.

– Warunek! – syknął Jael, rozchlapując krople śliny. – A kim ona jest, żeby mi stawiać warunki?

Zachowywał się tak od pierwszego listu. Jael nie cenił silnych kobiet, chyba że w grę wchodziło upokorzenie ich. Myśl o tym, że kobieta mogłaby czegoś od niego żądać? Kobieta, której nie mógł w żaden sposób złamać? Doprowadzało go to do furii.

– Jest twoją jedyną szansą – odparł Razgut. Była to jedna z wielu możliwych odpowiedzi, ale akurat tę Jael musiał usłyszeć. „Jest sępem, cuchnącym mięsem, czarnym prochem czekającym na iskrę”. – Nikt inny nie zdołał do ciebie dotrzeć, więc masz do wyboru: albo dalej się umizgiwać do mężów stanu o ponurych gębach, którzy bardziej się boją swoich ludzi niż ciebie, albo złożyć tej zamożnej damie prostą obietnicę i mieć ich wszystkich z głowy. Broń na ciebie czeka, imperatorze. Czym jest w tej sytuacji jeden mały waruneczek?

Kursy mistrzowskie w mowie brwi

Zuzana i Mik wkroczyli do lobby imponującego hotelu St. Regis w Rzymie. Kilka rozmów umilkło w pół słowa, chłopiec hotelowy otwierał i zamykał oczy, nie ufając swoim zmysłom, a jedna z klientek, elegancka pani ze starannie uczesanim srebrzystym bobem i chirurgicznie poprawianymi kośćmi policzkowymi, uniosła dłoń do naszyjnika z pereł i rozejrzała się w poszukiwaniu ochrony.

Turyści nie zatrzymywali się w St. Regis.

Nigdy.

A ci wyglądali... cóż, niełatwo to było ubrać w słowa. Ktoś niezwykle wnikliwy mógłby powiedzieć, że wyglądali, jakby najpierw mieszkali w jaskini, potem zaliczyli wielką bitwę, a następnie przylecieli tutaj na grzbiecie potwora.

Choć tak naprawdę przylecieli z Marrakeszu prywatnym odrzutowcem, więc można by śmiało wybaczyć temu, kto nie odgadł reszty. Z Tammougalt wyjeżdżali w takim pośpiechu, że nie zdołali skorzystać z dobrodziejstw wody bieżącej i prysznic. Nie mieli też czystych ubrań na zmianę i bardzo możliwe, że żadne z nich jeszcze nigdy w życiu nie wyglądało tak odstręczająco.

Stali klienci i obsługa byli pewni, że poproszą o możliwość skorzystania z łazienki, jak to się

co jakiś czas zdarzało. Ci z nizin społecznych, prości i niewychowani, w takich sytuacjach robili zwykle bajzel w całej łazience, bo kąpali się w umywalce. Ale czegoż innego się spodziewać po osobach tego pokroju, prawda?

Odźwierny wbijał wzrok w podłogę, świadom, że dopuścił się grzechu ciężkiego, wpuszczając do środka plebejuszy. Nie miał wątpliwości, że w zamierzonych czasach wielu strażników kończyło za coś takiego z wyrokiem śmierci. Ale co miał zrobić? Upierali się, że są gośćmi.

Pracownicy recepcji wymienili spojrzenia godne gladiatorów. „Ty ich weźmiesz, czy ja mam iść?”

Recepcjonistka wystąpiła naprzód.

– W czym mogę państwu pomóc?

Wypowiedziała te właśnie słowa, ale ton wskazywał raczej na: „Niestety, moim obowiązkiem jest zadawanie się z wami, ale wiedzcie, że spotka was za to kara”.

Zuzana odwróciła się do przeciwniczki. Przed sobą zobaczyła młodą Włoszkę, na oko dwudziestopięcioletką, atrakcyjną i elegancko ubraną. Niezbyt zadowoloną. Nie, inaczej. Niemożliwą do zadowolenia. Kobieta szybko obejrzała sobie Zuzanę, wyrażając coś na kształt oburzenia, gdy dojechała wzrokiem do pokrytych warstwą zaschniętego pyłu adidasów we wzór zebry, na platformie. Z obrzydzeniem wykrzywiła usta. Wyglądała, jakby musiała usunąć ślimaka z liści rukoli.

– Wiesz co – zauważyła Zuzana po angielsku – wyglądałabyś znacznie ładniej, gdybyś nie robiła takiej miny.

Mina zamarła w bezruchu. Ruch nozdrzy sugerował, że zabolalo. A wtedy, jakby w zwolnionym tempie, jedna z ładnych, wyskubanych brwi podjechała w górę.

Igrzyska czas zacząć.

Zuzana Nováková była ładna. Często porównywano ją do lalki albo wróżki, nie tylko z racji filigranowej sylwetki, ale także drobnej, ślicznej buzi oraz idealnego układu kątów i łuków pod skórą gładką jak z porcelany. Delikatna bródka, okrągłe policzki, duże, lśniące oczy i – choć zamordowałyby na miejscu każdego, kto ośmieliłby się to zasugerować – usta w kształcie łuku Kupidyna. Cała ta słodycz była jednak tylko wybrykiem i żartem natury, bo... Zuzanie Novákovéj daleko było do słodkości. Bardzo daleko.

Decyzję o stawieniu jej czoła można było porównać do brawury rybki, która bezmyślnie postanawia połknąć to ładne małe coś, poruszające się łagodnie w ciemnej wodzie i nagle – Boże! Zęby! Śmierć! – natrafia tam na żabnicę.

Zuzana nie zjadała ludzi. Sprawiała tylko, że usychali na miejscu. Tutaj, wśród lśniących marmurów i kryształów, w zjawiskowym lobby jednego z najbardziej luksusowych hoteli w Rzymie, w ciągu niecałych dwóch sekund pokazała, co mogą zdziałać brwi. Wznosiły się w sposób godny zachwyty. Posuwisty ruch, wygięcie... Pogarda, politowanie, pogarda pełna politowania, pewność siebie, osąd, kpina, a nawet litość. W tym ruchu było wszystko. Jej brew zwracała się wprost do brwi Włoszki, mówiąc jej mniej więcej tyle, że „nie przyszliśmy się

kapać w waszym zlewie. Źle nas oceniał. Delikatnie mówiąc”.

Brew przekazała wiadomość swojej właścicielce, której usta natychmiast straciły wyraz pod nazwą ślimak w rukoli i zanim jeszcze do akcji wkroczył Mik, niemal przepraszającym tonem upewniając się, czy przygotowano dla nich Apartament Królewski, poczuła pierwsze nuty kwaśnego smaku zażenowania.

– Apartament... Królewski?

Apartament Królewski w St. Regisie gościł monarchów, legendy rocka, szejków i diwy operowe. Nocleg kosztował prawie dwadzieścia tysięcy dolarów, i to w zwykłych okolicznościach, a te okoliczności nie były ani trochę zwykłe. Rzym stał się centrum świata i po wręby wypełniali go pielgrzymi, dziennikarze, członkowie zagranicznych delegacji, łowcy ciekawostek oraz szaleńcy, więc nie istniało już coś takiego, jak wolne miejsce. Ludzie wynajmowali swoje balkony, strychy, a nawet dachy, i to za niezłą cenę, a i tak przemęczona policja użerała się z pielgrzymami rozbijającymi obozy w parkach.

Zuzana i Mik nie wiedzieli, ile ten hotel kosztował Karou, jej lipną babcię Esther, czy kto tam za to płacił. Normalnie w obliczu takiej ekstrawagancji i przepychu czuliby się niepewnie i żałośnie. Śmiało mogliby zachować się tak, jak zaplanowała ta kobieta. Ale nie dzisiaj. W świetle ostatnich wydarzeń ci wypieszczeni, odseparowani od normalnego świata ludzie kojarzyli się Zuzanie z drogimi butami, które spędzają w pudełku trzysta sześćdziesiąt dwa dni w roku. Owinięte w bibułę, trzymane z dala od wszystkiego, co mogło im grozić, znały tylko wielkie gale i wnętrze pudełka. Jak nudno. Jak głupio. W porównaniu z tym jej podróż przez światy pełne brudu i nieprzystający do niczego wygląd, umacniały ją jak zbroja.

„Zasłużyłam na ten brud”.

„Szacun dla brudu!”

– Tak jest – potwierdziła. – Apartament Królewski. Jesteśmy tam oczekiwani. – Zrzuciła z ramion plecak i pozwoliła mu opaść na podłogę, gdzie zgodnie z jej przewidywaniami wypuścił satysfakcjonujący kłęb kurzu. – Byłoby super, gdyby ktoś mógł się tym zająć – napomknęła i ziewnęła. Podniosła rękę, żeby się przeciągnąć. Niekoniecznie dlatego, że tego potrzebowała, chciała po prostu pokazać w pełnej krasie plamy potu pod pachami. Wiedziała, że tam są koncentryczne kręgi z kilku kolejnych przepoceń. Wyglądały jak trzy pierścienie i w jakiś niezrozumiały sposób były dla niej bardzo ważne. Wyprodukowała je, wędrując przez mroczną baśń. Inni tej drogi nie przebyli.

Nigdy tej koszulki nie upierze.

– Oczywiście – odparła kobieta, a jej ton był teraz cieniem wcześniejszego animuszu. Śmiesznie się patrzyło na jej wewnętrzną walkę z wszechmocnym odruchem zasznurowania ust, zmarszczenia nosa albo wygenerowania lodowatego spojrzenia spod na wpół opuszczonych powiek, w którym Włoszki się specjalizowały: „Tak, oceniam cię i wiem, czego chcesz”. Została pokonana. Jej brew-amatorka wróciła na swoje miejsce i pozostała tam do końca procesu kwaterowania nowych gości. Apostrofy wokół tych słów zmieniły się w przecinki. Już

po chwili Mik i Zuzana zostali zaprowadzeni do windy, a po wwindowaniu poprowadzono ich nonsensownie wytwornym korytarzem. Na spotkanie z pozostałymi.

Lipna babcia

Ze względów strategicznych rozstali się na lotnisku Ciampino, na przedmieściach Rzymu, gdzie dostarczył ich odrzutowiec wynajęty przez Esther. Zuzana i Mik wysiedli jako jedyni pasażerowie i przeszli przez odprawę celną, podczas gdy reszta zdematerializowała się w drzwiach samolotu. Polecieli prosto do hotelu, jak ptaki, a Mik i Zuzana wzięły taksówkę, żeby się z nimi spotkać na miejscu.

Karou czekała na nich w salonie. Siedziała na sofie ubrana w kwiecisty szlafrok. Przed nią na złożonym stoliku spoczywała mapa Watykanu, otwarty laptop i imponująca budowla ze świeżych owoców łącznie z ananasem, choć przecież nie można było po niego sięgnąć i wziąć gryza. Miała za to ochotę na winogrona, ale bała się ich dotknąć, żeby nie rozwalić tego dzieła sztuki.

– Jedz, jeśli chcesz – zachęciła lipna babcia, Esther Van de Vloet. Siedziała obok i bosą stopą głaskała umięśniony grzbiet ogromnego psa rozciągniętego na dywaniku.

Esther, chociaż nieznośnie wręcz bogata, nie należała do tych nieznośnie bogatych starszych pań, które starając się zachować młodość, oddają się pod nóż chirurga, pozbawiają się rozkoszy podniebienia, żeby utrzymać kościstą sylwetkę, ich zdaniem elegancką, i noszą drogie markowe ubrania, które lepiej wyglądają na manekinach niż na ludziach.

Ona miała na sobie dzinsy i tunikę kupioną na ulicznym straganie, a włosy spięła w nieporządny kok. Nie pilnowała też diety, o czym świadczyło trzymane w ręce ciastko oraz zaokrąglone biodra i pełne piersi. Sekretem jej młodości – czy też wyglądu siedemdziesięciolatki, podczas gdy zbliżała się już do trzynastej dekady – nie była chirurgia plastyczna ani diety, tylko życzenie.

Brux to najpotężniejsze z życzeń, za które płaci się wysoką cenę i można je zdobyć tylko raz w życiu. Większość współpracowników Brimstone'a poświęcała swoje bruxy na to samo: na długowieczność. Trudno jednoznacznie stwierdzić, jak długo trwało długie życie. Karou знаła malajskiego myśliwego, który kiedy go widziała ostatnio, był żwawym dwustulatkiem. Ogólnie rzecz biorąc, każdy żył, ile chciał. Prawie wszyscy w końcu się męczyli, przeżywając bliskich. Co do Esther, to mówiła, że nie wie, ile jeszcze pokoleń psów zdoła pochować.

Aktualne pokolenie było jeszcze młode i pełne werwy. Nazywały się Traveller i Methuselah,

na cześć koni generałów Lee i Granta. Wszystkie mastiffy Esther dostawały imiona po koniach bitewnych. To była jej szósta para i musiała w końcu zacząć oddawać cześć Amerykanom.

Karou przyjrzała się owocowej wieży.

– Pewnie komuś zajęło wiele godzin zbudowanie tego.

– A my godziwie zapłaciliśmy za jego pracę. Jedz.

Wzięła więc parę winogron, ale się ucieszyła, że martwa natura wytrzymała.

– Będziesz musiała się nauczyć korzystać z pieniędzy, moja droga – oznajmiła Esther, tak jakby Karou wstępowała do świata luksusu, a ona była jej przewodniczką. Jedną z przysług, jakie Esther świadczyła Brimstone’owi w ciągu ostatnich lat – poza zapisywaniem Karou do szkół, wyrabianiem jej fałszywych dokumentów i takich tam, było zakładanie dla niej kont bankowych, w związku z tym lepiej niż sama Karou знаła wartość jej majątku. – Lekcja pierwsza: nie przejmujemy się, jak powstały nasze rzeźby z owoców. Po prostu je jemy.

– Nie muszę się tego uczyć – odparła Karou. – Nie zostaję tutaj.

Esther rozejrzała się po pokoju.

– Nie podoba ci się w St. Regis?

Karou podążyła za jej wzrokiem. Pokój przypuszczał zmasowany atak na zmysły. Tak jakby projektant dostał za zadanie odzwierciedlić hasło „przybytek”, mając do dyspozycji pięćdziesiąt metrów kwadratowych. Wysoki zdobiony sufit. Czerwone aksamitne zasłony żywcem wyjęte z buduaru wampira i wszędobylskie złoto. Do tego fortepian ze stojącą na jego lśniącym pudle kilkupiętrową srebrną paterą z makaronikami. Na ścianie gigantyczny obraz koronacji: jakiś król czy kto tam, klęczał, żeby przyjąć koronę.

– Nie bardzo – przyznała. – Nie mój gust. Ale miałam na myśli Ziemię. Nie zostaję tu.

Esther zaszczyciła ją powolnym mrugnięciem. Być może potrzebowała czasu, żeby przetrwać myśl o zostawieniu odłogiem takiej fortuny.

– Rozumiem. No cóż. Biorąc pod uwagę ten kawałek rajy – wskazała brodą w stronę pokoju obok – nie mogę się dziwić.

Akiva zrobił na Esther wrażenie. „O mój Boże”, szepnęła, kiedy Karou ich sobie przedstawiała. Dodała:

– Nie, żebym coś na ten temat wiedziała, ale pewnie wielu rzeczy można się wyrzec w imię miłości.

Co prawda Karou nic nie wspominała o miłości, ale nie zdziwiła się, że jest to tak oczywiste.

– Nie mam wrażenia, że się czegoś wyrzekam – wyznała szczerze. Życie w Pradze wydawało się jej odległe jak sen. Wiedziała, że przyjdą dni, gdy zatęskni za Ziemią, ale w tej chwili jej serce i umysł były całkowicie zajęte sprawami Eretz. Zmiażdżonego teraźniejszością – „Nitid, gwiazdne bóstwa, ktokolwiek, błagam, nie dajcie umrzeć naszym przyjaciółom” – i niepewnego swej przyszłości. Ale nie mogła ukrywać, że – jak wyczuła Esther – Akiva był znaczącym argumentem.

– No dobrze. Więc tym bardziej ciesz się luksusem, póki go masz – stwierdziła Esther. –

Sama powiedz, czy kąpiel nie była cudowna?

Karou musiała przyznać, że tak. Łazienka okazała się większa niż jej całe mieszkanie w Pradze, a każdy centymetr kwadratowy wyłożony był marmurem. Niedawno stamtąd wyszła i na ramiona opadały jej jeszcze wilgotne i pachnące włosy.

Wzięła mapę i rozłożyła na kanapie między nimi.

– Gdzie zakwaterowano anioły? – spytała.

Plan Karou był bardzo prosty, więc aktualnie nie musiała wiedzieć nic poza tym, jak znaleźć Jaela. Może i Watykan nie był duży, ale jeśli się zamierzało coś tam znaleźć, zaglądając do każdego pomieszczenia, człowiek czuł się zagubiony jak w labiryncie.

Esther dziabnęła obgryzionym paznokciem w Pałac Apostolski.

– Tutaj – oznajmiła. – W sercu luksusu. – Wiedziała też, które okna dadzą najszybszy dostęp do Sali Klementyńskiej, dużej auli reprezentacyjnej, którą Jael dostał na swój użytek oraz gdzie stoją warty, zarówno Gwardii Szwajcarskiej jak i aniołów. Przesunęła palcem do Muzeum Watykańskiego, gdzie znaleziono miejsce dla pozostałych Przybyszów. Umieszczono ich w skrzydle z antycznymi rzeźbami, gdzie kiedyś, dawno temu w normalnym życiu, Karou spędziła miłe popołudnie na szkicowaniu.

– Dzięki – ucieszyła się. – Bardzo mi pomogłaś.

– Jakżeby inaczej. – Esther usadowiła się z powrotem na karykaturalnej sofie. – Wszystko dla mojej ulubionej lipnej wnuczki. A teraz mów, co tam u Brimstone'a? Kiedy otworzy przejścia? Tęsknię za tym starym diabłem.

„Ja też”, pomyślała Karou, a serce jej zamarło. Przez całą drogę bała się tej chwili. Nie mogła się zmusić do przekazania takiej wieści przez telefon. Powitanie Esther było zaskakująco ekspresyjne. „Dzięki Bogu, gdzieś ty się podziewała, dziecko?! Byłam chora ze zmartwienia. Całe miesiące i ani słowa! Dlaczego nie zadzwoniłaś?” To trochę skołowało Karou. Esther zachowała się jak prawdziwa babcia, a w każdym razie tak jak Karou sobie wyobrażała zachowanie prawdziwej babci. Szastała emocjami na prawo i lewo, podczas gdy wcześniej wydzielala je jak kieszonkowe: w konkretnych sytuacjach i z lekką niechęcią.

Karou postanowiła powiedzieć jej osobiście, ale teraz, kiedy nadszedł czas, właściwe słowa nie chciały się ustawić w odpowiedniej kolejności. „On nie żyje”.

„Doszło do rzezi”.

„On... nie żyje”.

Pukanie, właśnie w tej chwili, potraktowała jak zbawienie. Poderwała się.

– To Mik i Zuze – wykrzyknęła i pobiegła. Apartament był tak rozległy, że naprawdę trzeba było biec, żeby otworzyć w jakimś sensownym czasie od zapukania. Zdążyła i otworzyła szeroko.

– Co tak długo?! – spytała i złapała przyjaciół w lekko smrodliwe objęcia. Chodziło oczywiście o ich smrodek, nie jej.

– Z lotniska jechaliśmy dwie godziny – wyjaśnił Mik. – Miasto oszalało.

Karou o tym wiedziała. Z góry miała dobry widok na wielki, pulsujący krąg ludzkości, który zebrał się wokół odciętego od reszty świata Watykanu. Nawet z powietrza słyszała ich śpiewy, chociaż nie rozumiała słów. Niepokojąco przypominali jej filmy o zombie, w których całe masy parły naprzód, żeby wdrzeć się do ludzkich siedzib. Pozostałe części, nawet jeśli nie aż tak zombiczne, sprawiały podobne wrażenie.

– Przynajmniej wypalicie się w taksówce?

Wszyscy złapali kilka godzin jakże potrzebnego snu w samolocie. Karou położyła głowę na ramieniu Akivy i odpłynęła we wspomnienia dotyku jego nagiej skóry na jej ciele, w związku z tym jej sny były raczej pobudzające niż relaksujące.

– Trochę – odparła Zuzana. – Teraz chcę się wykąpać. – Cofnęła się o krok i obrzuciła Karou szybkim spojrzeniem. – No proszę bardzo. Kilka godzin we Włoszech i już jesteś innym człowiekiem. Skąd tak szybko wzięłaś nowe ciuchy?

– Tak to już tutaj jest. – Karou wpuściła ich do środka. – Jak jedziecie na Hawaje, dostajecie wieńce z kwiatów. We Włoszech dają wam super ciuchy i skórzane buty.

– No to widocznie musieli mieć przerwę, jak przyjechaliśmy. – Zuzana wskazała na siebie. – Tylko sobie wyobraź panikę, w jaką wpadli na dole.

– O rany! – Karou aż się skrzywiła. – Byli niemili? – Ona tego uniknęła, bo przybyła niewidzialna i to nie przez lobby, tylko przez balkon, prosto z nieba.

– Zuze odbyła pojedynek na spojrzenia – wyjaśnił Mik.

Zuzana poruszyła brwią.

– Żebyś widziała tę laskę!

– Wyobrażam sobie – zapewniła Karou. – Ale żadni „oni” nie mieli przerwy. Po prostu czekali na was tutaj. Esther kupiła nam wszystkim nowe ubrania.

Weszli do salonu.

– No, tak naprawdę kogoś po nie wysłałam – sprecyzowała Esther ze swoim śpiewnym flamandzkim akcentem. – Mam nadzieję, że będą pasować.

Wstała i zbliżyła się do nich.

– Wiele o tobie słyszałam, moja droga – oznajmiła ciepło i wzięła rękę Zuzany w dłoń. W tej chwili stała się ucieleśnieniem ideału babci.

Esther Van de Vloet nie była jednak niczyją babcią. Nie miała ani dzieci, ani instynktu macierzyńskiego. To, że odgrywała rolę babci Karou, było raczej manifestacją politycznego przymierza niż odruchem serca. Spędziła życie na opiekowaniu się niezliczonymi brylantami, które sprzedawała zarówno ultrabogaczom, jak i Brimstone’owi, nieustraszenie robiąc interesy z ludźmi, nieludźmi i podludźmi, jak nazywała jego co nikczemniejszych handlarzy, z którymi współtworzyła sieć międzynarodowych kontaktów. Poruszała się wśród elity oraz w półświatku. Przez telefon mówiła Karou, że w jednej kieszeni ma kardynała, a w drugiej handlarza bronią, a na pewno kieszeni było znacznie więcej. Funkcjonowała jako postać niemal mistyczna, po pierwsze z racji tego, że w ogóle się nie starzała – słyszała plotki, że w zamian za

nieśmiertelność sprzedała duszę diabłu – a po drugie z powodu kilku niemożliwych do wykonania przysług, które wyświadczyła wysoko postawionym osobom.

Oczywiście były niemożliwe do wykonania, jeśli nie używało się magii.

– Ja też dużo o pani słyszałam – odparła Zuzana, a Karou zobaczyła w jej oku błysk matadora oceniającego stojącego przed nim byka albo byka oceniającego matadora. Nie była w stanie stwierdzić na pewno, ale Esther też to zauważyła. Wymieniły spojrzenia godnych siebie przeciwniczek i Karou pomyślała z ulgą, że na szczęście nimi nie są, bo obie stoją po jej stronie.

Potem nastąpiła krótka zdawkowa pogawędka. Rozmiar psów, obsługa hotelowa, korki w Rzymie, anioły.

Następnie Esther powiedziała:

– Cieszę się, że Karou okazała dość rozsądku, żeby się do mnie zwrócić. – Nozdrza Zuzany rozdęły się bardziej jak bycze niż matadorskie.

– Już raz się do pani zwróciła – przypomniała, niby zwyczajnie, ale z wyrzutem. Karou wiedziała, co się święci i siłowała zareagować w porę.

– Zuze... – zaczęła, ale przyjaciółka ciągnęła niewzruszona.

– A ja się od tamtej pory zastanawiam... Kiedy Karou poprosiła panią o życzenia... – Przekrzywiła głowę i rzuciła starszej pani spojrzenie, mówiące: „tylko bez ściemy”. – ... spuściła ją pani po brzytwie, tak?

Uśmiech Esther zbladł, a jej twarz stała się gładka, czujna i podobna do maski. Już nie wyglądała jak czyjokolwiek babcia.

– Zuze, nie – powtórzyła Karou i położyła rękę na plecach Zuzany. Już się o to kłóciły. – Nie zrobiłaby tego. Nie mogłaby.

Kiedy ostatniej zimy przejścia spłonęły, a ona desperacko chciała odnaleźć chimeryjską rodzinę, potrzebowała gawrieli, które mogły zabrać ją i tę kreaturę Razguta do przejścia w niebie, a dalej do Eretz. W pierwszej kolejności udała się do Esther. Ale Esther powiedziała, że nie ma życzenia silniejszego niż sentinel, a Karou jej uwierzyła, bo niby czemu miałyby nie uwierzyć.

– Mogłam – wyznała Esther szczerze i ze... skruczą? Karou wpatrywała się w nią, nic nie rozumiejąc.

Naprawdę ją splawiła?

– Jak to? – spytała z niedowierzaniem.

– Przykro mi to przyznawać, moja droga, ale nie sądziłam, że odnajdziesz Brimstone’a. Jestem zachłanną staruszką. Gdyby to miały być moje ostatnie życzenia, musiałabym ich strzec, prawda? Ale aż mi trudno wyrazić, jak się cieszę, że nie miałam racji.

Karou aż ścisnęło w żołądku.

– Miałaś.

Esther zdziwiła się i lekko przechyliła głowę.

– Co?

– Miałas rację. Nie znalazłam Brimstone’a. On nie żyje. – Wyznała prawdę beznamiętnie, bez emocji. Patrzyła, jak Esther blednie.

– Nie. O nie. Nie! – wymruczała i zakryła usta dłonią. – Och, Karou. Nie chciałam w to wierzyć. – Łzy napłynęły jej do oczu.

– Jeszcze jej nie powiedziałaś? – spytała Zuzana.

Karou pokręciła głową. To by było tyle, jeśli chodzi o delikatne przekazanie złych wieści. Esther ją okłamała. Kiedy przejścia spłonęły, a ona nie miała pojęcia, co się stało, kiedy była zmalretowana i obolała po niemal tragicznie zakończonych spotkaniach z Akivą i Thiagiem – a i Brimstone nie traktował jej łagodnie – udała się do niej po pomoc. Nigdy w życiu nie czuła się tak blisko dna jak wtedy i nieważne, że przez następne miesiące opadała wciąż niżej i niżej. Wtedy jeszcze nie mogła o tym wiedzieć. Ufała Esther, a teraz się dowiedziała, że ta skłamała jej w żywe oczy.

Wyglądała na szczerze poruszoną i Karou było nawet trochę przykro, że powiedziała jej tak brutalnie.

– Z Issą wszystko w porządku – dodała, żeby złagodzić cios, a w myślach odmówiła szybką modlitwę, żeby to była prawda.

– Bardzo się cieszę – odparła Esther drżącym głosem. – A Yasri? Twiga?

Tutaj nie było co złagodzić. Twiga nie żył. Yasri też, chociaż jej dusza, tak jak Issy, została zamknięta w kadzielnicy i schowana, żeby Karou ją znalazła. Kolejna porcja nadziei w butelce, sposób na przekazanie ostatniej wiadomości Brimstone’a. Karou nie mogła dotąd lecieć po kadzielnicę, ale wiedziała, gdzie jest: w ruinach świątyni Ellai, gdzie ona i Akiva spędzili miesiąc swoich słodkich nocy, wtedy, w przeszłym życiu.

Pokręciła lekko głową. Nie chciała jej teraz wprowadzać w tajniki wskrzeszenia. O tym, do czego Brimstone używał zębów – i kupowanych od niej kamieni szlachetnych – Esther wiedziała niewiele więcej niż Karou, zanim przełamała rozwidloną kostkę. Nie miała zamiaru tego zmieniać.

– Bardzo wielu zginęło – dodała. Nie potrafiła o tym mówić bez emocji. – I zginie wiele więcej, jeśli nie powstrzymamy tych aniołów i nie zamkniemy przejścia.

– Myślisz, że dasz radę? – spytała Esther.

„Mam nadzieję”, pomyślała Karou, ale na głos powiedziała po prostu, że tak.

Znów odezwała się Zuzana i czy była matadorem, czy bykiem, patrzyła zdecydowanie i celnie.

– Teraz też nie pogardzilibyśmy życzeniami.

– No tak – spieszyła się Esther. – Ale teraz naprawdę nie mam więcej. Tak mi przykro. Gdybym tylko wiedziała, lepiej bym nimi dysponowała. Moje biedactwo – zwróciła się do Karou i złapała ją za rękę.

Zuzana zacisnęła usta w wąską linię.

– Mhm – wyartykułowała tylko.

Mik chyba poczuł, że dobrze byłoby czymś zamaskować brak towarzyskiej oglądy Zuzany, więc wydukał:

– Ale dziękujemy za odrzutowiec. Za hotel i za wszystko.

– Nie ma za co – odparła Esther, a Karou uznała, że czas prezentacji i wymiany uprzejmości – i nieuprzejmości – dobiegł końca. Czas brać się do roboty.

Odwróciła się do przyjaciół.

– Łazienka jest na końcu korytarza. Standard całkiem spoko. Ubrania są w dużej sypialni, możecie się pobawić w przebieranki.

Zuzana znów uniosła brew.

– A reszta? – zawahała się. – Jak Eliza? Poprawiło się jej? Choć trochę?

Kolejny ucisk w żołądku. Co mogłaby powiedzieć o Elizie? Eliza Jones. Co za tajemnicza sprawa. Znali jej nazwisko, bo miała przy sobie dowód osobisty, bynajmniej nie dlatego, że im powiedziała. Szybka współpraca z Google przyniosła szokujące rezultaty. „Elazael, potomkini anioła”. Brzmiałoby to zupełnie niedorzecznie – dawno temu Zuzana mogłaby z tego zrobić śmieszne hasło na koszulkę – gdyby nie to, że płynnie mówiła po serafińsku. Tego nie można było zlekceważyć.

Co do tego, co mówiła, były to rzeczy zaskakująco mroczne, które wypływały z niej jak muzyczna fuga. Karou nie wiedziała, jak odpowiedzieć na pytania Zuzany. Czy jej się poprawiło? Jeszcze w Maroku próbowała wykorzystać swój dar uzdrowicielski, ale jak mogła kogoś uzdrowić, skoro nie wiedziała, na co jest chory?

Teraz Akiva zajął się nią po swojemu. Karou poprowadziła przyjaciół do jego pokoju i po cichu liczyła, że kiedy otworzy drzwi, zastanie ich pogrążonych w rozmowie.

– Tutaj. – Sięgnęła do klamki. Potem odwróciła się do Esther. Nienawidziła napięcia i życzyła sobie, nie po raz pierwszy zresztą, żeby starsza pani okazała się trochę bardziej ciepłokrwistą rybą. Wiedziała jednak, od zawsze, że kiedy Esther robiła coś dla niej – łącznie z tamtym Bożym Narodzeniem, kiedy zabrała ją z sobą do domu w Antwerpii i przygotowała pokój pełen prezentów wyjęty z kolorowego magazynu, wśród których był nawet ręcznie rzeźbiony koń na biegunach, którego Karou musiała tam zostawić i nigdy więcej go nie zobaczyła – dostawała wynagrodzenie za fatygę.

Nie było przyjaźni ani uczuć rodzinnych. Czysty biznes, a on nie wymaga uśmiechów.

Ale Karou i tak się uśmiechnęła, a Esther odwzajemniła uśmiech. W oczach miała smutek, żal i może nawet wstyd. Karou przypomniał sobie później, że pomyślała wtedy: „No, to już coś”.

I to było coś.

Tylko nie to, o co jej chodziło.

Opętańcza poezja

Akiva już wiele razy wyruszał w podróż po ciemnych zakamarkach umysłu i trafiał w końcu do miejsca, gdzie kryła się jego magia, ale wciąż nie wiedział, czy znajduje się ono w środku czy na zewnątrz. Ani gdzie jest: głęboko, daleko czy wysoko.

Towarzyszyło mu nieuchwytnie, ale dość wyraźne wrażenie, że przez klapę w podłodze przechodzi do innego świata. Zagłębiał się coraz bardziej i bardziej, nigdy nie natknął się na żadne ograniczenie i w końcu zaczął sobie wyobrażać ogrom oceanu. Wkrótce jednak i to nie wystarczyło. Obcował z nieograniczoną przestrzenią.

Wierzył, że należy do niego. Że to jest on. Ale wydawała się ciągnąć bez końca, jak osobisty wszechświat, nowy wymiar, którego nieskończoność wykraczała poza wizję umysłu, jaką miał od zawsze: miejsce w głowie, w którym przebywają myśli i gdzie działa mózg.

Jaką potęgą był umysł? Duch? Dusza? I jeśli nie dawało się go dopasować do żadnej części ciała, to gdzie się znajdował?

Aż mu się zakręciło w głowie. Za każdym razem, kiedy stamtąd wracał, chwiejny i wyczerpany, atakowało go to pytanie. Frustrowała go własna ignorancja.

Na progu umysłu Elizy wyczuwał obecność kolejnej kłapy w podłodze, świata równie rozległego jak ten jego, ale oddalonego. Nieskończoności nie da się zgłębiać tak z doskoku. Można upaść i spadać. Można się zgubić. Ona się zgubiła. Czy mógł ją sprowadzić z powrotem? Chciał spróbować. Dla niej, bo poruszała go jej bezradność i chciał jej pomóc. Uratować ją. Ale i dla siebie. Z powodu tego jej nieprzerwanego zawodzenia. W jego języku, który w jej ustach brzmiał jednocześnie znajomo i egzotycznie. Serafiński, ale wypowiedany w rytmie i z akcentami, jakich nigdy dotąd nie słyszał. A do tego... Na gwiazdne bóstwa, co ona mówiła?

„Potwory i czerniejące niebo, otwierający drzwi, światło w ciemności”.

„Wybrani. Upadli”.

„Mapy, ale ona jest zgubiona. Nieba, ale martwe”.

„Kataklyzm.”

„Meliz”.

Zuzana nazwała to „opętańczą poezją” i miała rację. Było to i opętanie, i poezja, ale poruszało w nim strunę, która odpowiadała na ton podawany przez kamerton. Oznaczało coś ważnego, więc przewędrował ze swojej nieskończoności do jej. Nie wiedział, czy to się da zrobić. A jeśli się da, to czy się powinno. Wydawało mu się, że robi coś złego, jakby przekraczał zamkniętą granicę. Poczuł opór, ale pokonał go. Szukał jej, ale nie znalazł. Wołał, ale nie odpowiedziała. Przestrzeń wokół niej była inna niż wokół niego. Gęsta i mglista. Kinetyczna. Bolesna, niespokojna, pełna strachu. Wyczuwał w niej aurę bólu i tortur, ale nie potrafił ich pojąć, więc głębiej już nie wchodził.

Nie dotarł do niej. Nie zdołał jej przyprowadzić. Nie mógł. Ale próbował. Ofiarował swój ból,

żeby przynajmniej uspokoić jej chaos.

Kiedy wrócił i otworzył oczy, wydawało mu się, że odzyskuje świadomość. Zobaczył Karou, a także Zuzanę i Mika. I Virka, ale on był tu cały czas. Przed nim siedziała Eliza. Spokojniejsza, ale spojrzenie w oczy potwierdziło to, co wcześniej podpowiedziało mu serce: że jej nie sprowadził.

Odetchnął głęboko. Rozczarowanie odczuwał tak dotkliwie, jakby coś stracił. Podeszła do niego Karou. Nalała mu szklankę wody z karafki. Pił, a ona położyła mu chłodną dłoń na czole i usiadła na podłokietniku fotelika, na którym siedział. Dotykała biodrem jego ramienia. Nowe zasady normalności nim wstrząsały – Karou tak blisko – ale i dodawały mu sił. Mówiła o ich szczęściu jak o bezspornym fakcie, niezależnym od tego, co się dzieje i niepodlegającym kolejom losu. Dla niego był to nowy koncept, że szczęście nie jest jakimś mistycznym tworem, do którego trzeba dotrzeć albo go zdobywać, jasną sferą poza granicami nieszczęścia, rajem czekającym na odnalezienie. W jej wydaniu szczęście trzeba uparcie nieść ze sobą, przez całą drogę, tak po prostu i tak zwyczajnie, jak sprzęt i zapasy. Jedzenie, broń, szczęście.

Z nadzieją, że z czasem o broni będzie można zapomnieć.

Nowy sposób życia.

– Jest spokojniejsza – oceniła Karou, przyjrzawszy się Elizie. – To już coś.

– Za mało.

Nie zapewniła, że będzie mógł spróbować później, bo oboje wiedzieli, że żadnego później nie ma. Zapadał zmrok. Wkrótce wyruszą, on, Karou i Virko, i już tu nie wrócą. Elizy Jones nikt nie odnajdzie, a razem z nią Katakлизmu i pozostałych tajemnic. Co najgorsze, Akiva podejrzewał, że zostawienie jej z tym jest niebezpieczne.

– Chcę zrozumieć, co ona mówi – przyznał. – Co ją spotkało.

– Czułeś cokolwiek?

– Chaos. Lęk. – Pokręcił głową. – Ja nic nie wiem o magii, Karou. Nie znam nawet podstaw.

Przeczuwam tylko, że mamy... Każde z nas... – zamilkł i szukał słów. – Układ energii. Nie wiem, jak to powiedzieć. To coś więcej niż umysł i więcej niż dusza. To inne wymiary. – Wciąż błędził po omacku. – Nowe geografie. Ale ja nie znam zasad, nie wiem, jak się wśród nich poruszać ani nawet jak je zobaczyć. Po prostu idę naprzód w kompletnych ciemnościach.

Uśmiechnęła się lekko i trochę na siłę spytała:

– A skąd ty niby wiesz, jak się chodzi w ciemności? – Musnęła pióra, z których strzeliły iskry.

– Jesteś dla siebie światłem.

Już miał powiedzieć, że wie, co to ciemność, bo poznał ją z najgorszej strony, ale nie chciał, żeby pomyślała, że wraca do tamtego upiornego stanu, w którym widziała go w Maroku. Trzymał więc język za zębami i bardzo się ucieszył, że wytrwał, bo tak cicho, że prawie niesłyszalnie, dodała:

– I dla mnie.

Popatrzył na nią i jej widok go dopełnił. Czuł, jak wiele razy wcześniej w jej obecności, jej

jako Karou i jako Madrigal, szansę na nowe życie, rozwój. Łodyżki doznań i emocji, których nie znał przed nią i bez niej nigdy by nie poznał, istniały naprawdę. Korzenie się rozgałęziały i przedostawały przez każdą klapę w podłodze, przez mroczne głębiny, zmieniały „układ energii”, jak nieudolnie tłumaczył, te nieznanne wymiary i obce geografie jaźni i wydawało się, że w ciemnym pomieszczeniu wybucha nowa gwiazda. Akiva jaśniał. Był pełniejszy.

Tylko miłość tak działa. Złapał Karou za rękę, drobną i chłodną w jego dłoni i przywarł do niej, tak jak do widoku jej twarzy. Szczęście wypełniało go tak jak troska, smutek i determinacja. Może niczego nie ułatwiało, ale dawało światło.

– Gotowa? – spytał.

Czas odwiedzić jego wuja.

Pożegnali się bez zbędnych słów, bo Akiva stwierdził, że to kuszenie losu. Cokolwiek by powiedzieli i tak wisiał nad nimi cień, bo to nie było rozstanie na trochę. Virko odbył z Zuzaną ostatnią, przynajmniej w najbliższym czasie, lekcję chimeryjskiego i nauczył ją starego pożegnania: „Całuję twoje oczy, zostawiam moje serce w twoich dłoniach”. Zuzana oczywiście odegrała pantomimę o trzymaniu w rękach czyjegoś bijącego serca.

Esther zajmowała się nimi po babcinemu, pewnie żeby ukryć poczucie winy. Upewniła się, że mają mapę i znają drogę. Spytała z troską, co zamierzają zrobić w obliczu tylu wrogów, ale Karou nic nie wyjaśniła.

– Niewiele – brzmiała jej odpowiedź. – Przekonamy ich, żeby wrócili do domu.

Esther wyglądała na zaniepokojoną, ale nie naciskała.

– Zamówię szampana – oznajmiła – żeby uczcić wasze zwycięstwo. Żałuję tylko, że nie napijemy się razem.

Przez cały ten czas Eliza siedziała bez ruchu i patrzyła w punkt.

– Zajmiecie się nią? – Karou spytała Zuzaną i Mika. – Jak już odlecimy?

Zuzana natychmiast zacisnęła zęby i nie spojrzała Karou w oczy, ale Mik pokiwał głową.

– Nie przejmuj się chociaż tym. Masz i tak dość zmartwień.

Zuzana tego nie rozumiała, ale on wiedział, dlaczego to się musi tak skończyć. Po drodze do hotelu kilka razy jej o tym przypominał.

– Pamiętasz, że ani trochę nie jesteśmy samurajami? – upewniał się. – Nie możemy pomóc, a tylko obciążymy Virka. Jeśli tam wciąż toczy się walka...

Nie dokończył.

– Dziękuję. – Karou ostatni raz bezradnie spojrzała na Elizę. – Wiem, że to kłopot, ale pokazałam wam, jak się dostać do pieniędzy. Proszę was, skorzystajcie z nich. Dla niej, dla siebie. Wydawajcie na wszystko, czego wam będzie trzeba.

– Pieniądze – mruknęła z pogardą Zuzana, jakby uraziła ją rozmowa o czymś tak przyziemnym.

Karou się do niej odwróciła.

– Jeśli będzie do czego wracać – obiecała, z nienawiścią wypowiadając słowo „jeśli”, jakby było wrogiem – znajdę sposób, żeby po was przylecieć.
– Niby jak? Przecież zamkniecie portal.
– Ale jest ich więcej. Znajdę je.
– Co? Niby zamierzasz mieć czas na szukanie portali?
– Nie wiem – powtarzała jak refren. „Nie wiem, co tam zastaniemy. Nie wiem, czy zostanie choć odrobina nadziei, żeby od niej zacząć. Nie wiem, czy znajdę nowe przejście. Nie wiem, czy będę żywa. Nie wiem”.

Zuzana, z miną równie zawziętą jak wcześniej, schyliła głowę i zaczęła się w zwolnionym tempie pochylać, jakby zamierzała się zderzyć z Karou. Ta aż do ostatniej chwili się nie zorientowała, że to będzie przytulanie, dopiero jak Zuzana ją objęła.

– Myśl o sobie – szepnęła. – Nie zgrywaj bohaterki. Jeśli coś ci będzie groziło, uciekaj. Wróć tu. Wróćcie we dwoje. We troje. Skombinujemy dla Virka ludzkie ciało albo coś. Obiecaj, że jak tam polecisz i wszyscy będą... – Nie dokończyła. „Martwi”. – Znikniesz, wrócisz tutaj i będziesz żyć.

Musiała przy tym wiedzieć, że Karou nie może tego obiecać, bo nie czekała na odpowiedź, tylko mówiła dalej:

– No to świetnie. Dzięki. To właśnie chciałam usłyszeć. – Karou odwzajemniła uścisk. Nienawidziła pożegnań tak samo jak słowa „jeśli”. Potem nie pozostało już nic więcej, tylko ruszać w drogę.

Moja słodka dzikuska

Czystość, wreszcie! Mik i Zuzana kapali się na zmianę, żeby jedno z nich mogło towarzyszyć Elizie, a przy okazji zerkać na wiadomości. Telewizor był wciąż włączony, a w laptopie Esther co chwilę odświeżali kilka równoległe otwartych kanałów informacyjnych. Nic się jeszcze nie stało i pewnie przez jakiś czas się nie stanie.

Zuzana wiedziała, że Karou chce najpierw wpaść do Museo Civico di Zoologia, muzeum historii naturalnej. Zamiar pójścia tam ogłosiła spokojnie, ale jakby z niedowierzaniem. Zuzanie pękało serce, bo wiedziała, o co chodzi: o uzupełnienie zapasu zębów, na wypadek, gdyby po bitwie uratowano jakieś dusze. Cokolwiek zastaną po powrocie do Eretz, Zuzana nie będzie mogła jej pomóc.

Przeklęta bezsilność spowodowała, że nasunął się jej pomysł projektu koszulki:

BĄDŹ SAMURAJEM.

NIGDY NIE WIESZ, CO CIĘ CZEKA

PO DRUGIEJ STRONIE NIEBA.

Nikt tego nie zrozumie, ale co za różnica? Zuzana będzie każdego zbyt dociekliwego mrozić wzrokiem, aż sobie pójdzie. To zawsze działało.

Nie, nie zawsze, skarciła sama siebie. Nieprawda. Bo gdyby działało, nie musiałyby być samurajem, tak?

Popatrzyła na siedzącą obok Elizę i westchnęła. Nic nie wskazywało na to, żeby potrzebowała towarzystwa czy przynajmniej je zauważała, ale pozostawienie jej samej w kącie, jakby była cicho mrużącym meblem, wydawało się nie w porządku. Zuzana nie miała zadatków na matkę miłosierdzia, ale wiedziała, że ktoś musi zadbać o podstawowe potrzeby tej młodej kobiety. Chociażby o jedzenie i picie. Cokolwiek jej zrobił Akiva, wydawała się potulniejsza. Nie niepokoiła się już i łatwiej się z nią współpracowało.

Zuzana się nie zastanawiała, co z nią zrobią później. Wymyśli coś jutro. Niech najpierw napięcie dzisiejszego dnia przejdzie do historii, a oni spędzą całą noc w prawdziwym łóżku i zjedzą coś, co nie będzie kuskusem.

Jutro.

Ale teraz cudownie było się wykąpać. Zuzana poczuła, jakby się po raz drugi narodziła. Wenus wylaniająca się spod warstwy brudu. Ciuchy, które kupił człowiek Esther okazały się świetnie dobrane, uszyte z doskonałych materiałów, niemal idealnie dopasowane i eleganckie. Brudne, łącznie z adidasami w zebnę, Zuzana starannie złożyła i owinęła w kilka warstw plastikowych toreb. Czowała się jak zdrajczyni, zwłaszcza wobec starych butów, które stały na podłodze obok nowych, zobowiązane do przeszkolenia następców. „Trochę was powyciera”, mówiły nowiutkiej skórzanej parze, ocierając gorzkie łzy z kaprawych oczu starych buciorów, „i często staje na palcach, uważajcie na to”.

– Jakaś ty sentymentalna! – zdziwił się Mik, kiedy wróciła do pokoju i wepchnęła pakunek do plecaka.

– Wcale nie – zaprotestowała. – Zachowuję je jako eksponaty do Muzeum Zaświatowej Przygody, które mam zamiar ufundować. Wystawa będzie zatytułowana: „Jak się nie ubierać na obóz w wysokich górach, gdy dwie wrogie armie zawiązują przymierze”.

– Aha...

Mik, który udał się do łazienki po niej, potraktował swoje brudne ciuchy bez sentymentów. Nie mógł się doczekać, aż je wyrzuci do kosza, ale wcześniej wetknął rękę do kieszeni džinsów i wyjął...

...pierścionek.

Może srebrny i antyczny, który kupił, kiedy świat oszalał. Obrócił go w palcach i pierwszy raz od tamtej pory przyjrzał mu się uważnie. Dotąd Zuzana zawsze była obok niego (całe szczęście), więc nie miał okazji go obejrzeć. Teraz wydawał mu się strasznie barbarzyński,

zwłaszcza w tym kuriozalnie drogim hotelu. W Ait Benhaddou był idealny, prymitywny, zmatowiały, a nawet trochę krzywy. Tutaj wyglądał jak coś, co mogło się zsunąć z małego palca jakiegoś Wizygota podczas szturm na Rzym. Biżuteria dzikusa.

Doskonale!

„Dla mojej słodkiej dzikuski”, pomyślał i zamierzał wsunąć go z powrotem do kieszeni nowych, drogich džinsów, ale zachwiał się i pierścionek wysmyknął mu się z palców. Zadzwoił o marmurową podłogę i potoczył się, jakby chciał uciec. Mik ruszył za nim, myśląc, że może to faktycznie srebro, bo ono podobno wydaje taki dźwięk. Pierścionek wtoczył się w szparę pod marmurową toaletką.

– Wracaj tu – szepnął. – Jesteś mi potrzebny.

Ukląkł, żeby go wydostać. W tej samej chwili jego słodka dzikuska przysuwała szklanekę z wodą do rozszepowanych ust Elizy Jones, żeby ją skłonić do picia, a w mniejszej sypialni na końcu apartamentu, za zamkniętymi drzwiami i mając w tle muzykę, która miała zagłuszyć jej słowa, Esther Van de Vloet rozmawiała przez telefon.

Nie była to łatwa rozmowa, ale na swoją obronę mogła śmiało powiedzieć, że miała szczerą nadzieję, że do niej nie dojdzie. Wahala się przez ułamek sekundy, ale chociaż na jej twarzy pojawił się cień prawdziwego wieku, nie towarzyszyły mu wątpliwości.

W końcu moc nie bierze się sama z siebie.

Karou i jej towarzysze lecieli nad dachami Rzymu. Zadanie w muzeum historii naturalnej zostało wykonane i przyszedł czas na Jaela. Wieczne powietrze było gęste od włoskiego lata, a miasto pod nimi składało się z dachów wyglądających jak niezamalowane płótna naciągnięte na blejtramy, pomników, świąteł i świątyń, wśród których wije się czarny wąż, Tybr. Towarzyszyło im trąbienie klaksonów, gwizdki policji, dźwięki muzyki i – tym głośniejsze, im bliżej Watykanu – śpiewy. Słów nie dało się zrozumieć, ale brzmiały zdecydowanie liturgicznie.

Docierał też do nich smród. Charakterystyczny odór ludzkich ciał zbyt długo upchniętych na niewielkiej przestrzeni. Sądząc po kwaśnej nucie, Karou stwierdziła, że kiedy już pielgrzymi dopadli do miejsc przy barierce, nie zamierzali z nich rezygnować dla czegoś tak doczesnego jak załatwianie potrzeb fizjologicznych.

Jak miło.

Programy informacyjne trąbiły o fali zachorowań. Ludzie prowadzili starszych albo chorych członków rodziny do samych barierek w nadziei, że bliski kontakt z aniołami ich uleczy. Pewnie w duchu ludzili się też, że anioły wyjdą i ich pobłogosławią. Pojawiały się wieści, choć niepotwierdzone, o cudach i skutecznie wybijały się ponad doniesienia o liczbie zgonów wynikających z takich praktyk.

Cuda mają moc.

Widziany z nieba Watykan miał kształt klina. Może trochę spłaszczony, jak rozwalający się kawałek tortu. Najbardziej rzucał się w oczy okrągły plac zwieńczony słynną kolumnadą

dzieła Michała Anioła. Pełno tam było wojskowych aut, czołgów wyglądających jak brzydkie chrząszcze, jeżdżących tam i z powrotem dżipów, a nawet transporterów opancerzonych.

Zaraz za północną kolumnadą znajdował się ich cel: Pałac Apostolski. Karou prowadziła.

Dzięki „kieszonkowemu kardynałowi” Esther znali dokładne umiejscowienie komnat, w których mieszkał Jael. Przelecieli nad dachami budynków – Pałac składał się z kilku połączonych ze sobą – i wypatrywali oznak serafińskiej obecności.

Spodziewali się, że zastaną strażę. Ludzcy strażnicy skupiali się na patrolowaniu ziemi – widzieli żołnierzy z psami – i na pewno stali przy wejściach do budynków, na zewnątrz i od środka. Liczyli się jednak z tym, że na dachu staną strażnicy Dominium, bo w Eretz, gdzie atak mógł równie dobrze nastąpić z powietrza, jak i z ziemi, była to standardowa procedura.

I mieli rację. Strażników było dwóch.

Łatwizna.

– Nie zróbcie im krzywdy – przypomniała Karou Akivie i Virkowi. Miała nadzieję, że zbytecznie. Czowała, że odlatują. Przypomniała sobie falę powietrza, za którą szedł ogień, spadającą na jej wojsko w górach Adelphas i nie było jej ani trochę żal tych żołnierzy, którzy w jednej chwili zeszytnieli, a potem zwiotczeli.

Błyskawiczne ciosy w głowę, po których nie upadli od razu. Ich ciała łagodnie się osuwały jakby w zwolnionym tempie. To Akiva i Virko ich podtrzymywali i cicho ułożyli na dachu. Będą mieli guzy jak gęsie jaja, ale nic poza tym. Nie chodziło o to, że zasłużyli na litość, po prostu takie były założenia tej misji: żadnej krwi.

Szybko i bezkrwawo, o to chodziło. Bez rzezi i rozlewu krwi, tylko perswazja. Wszystko powinno się odbyć szybko, zanim tych dwóch się ocknie i zaczną obmacywać obolałe głowy.

Karou wylądowała i przyjrzała się jednemu z nich. Nieprzytomny, wyglądał jak każdy inny Bastard, którego widywała w jaskiniach Kirinów. Przystojny, młody, zachwycający. „Jednocześnie kat i ofiara”, pomyślała, a potem przypomniała sobie propozycję Liraz, żeby odebrać im palce, zamiast życia i zaczęła się zastanawiać, czy nauczą się żyć w nowym świecie? Jeśli oczywiście kiedyś będzie nowy świat. Zasługiwali na szansę? Patrzyła na jednego z nich, śpiącego i niewinnego, i bez trudu przychodziła jej odpowiedź, że tak.

Ale może gdyby się obudził i jego oczy wypełniły nienawiść, przekonanie by zniknęło.

Nieważne, będzie się tym martwiła kiedy indziej. Dolecieli. Widzieli już okna Jaela. W górze zbiorowe śpiewy atakowały ich jak huk morza, ale tutaj było niespodziewanie cicho.

„Mam lepszy pomysł”, oznajmiła Karou wtedy, w jaskiniach, przekonana, że to sposób na uniknięcie apokalipsy. Na szybkie i ciche zakończenie tej masakry. Bez walki, bez broni, bez „potworów”.

Anioły po prostu znikną.

I już.

– No dobra – powiedziała, ale zatrzymała się jeszcze na moment, żeby wysłać SMS-a do Zuzany. – Zaczynamy.

Na pożarcie lwom

Ktoś zapukał do drzwi Apartamentu Królewskiego. Dziwne. Psy, Traveller i Methuselah, poderwały się zaniepokojone.

Zuzana i Mik co prawda się nie poderwali, ale też się spięli. Aktualnie wyglądali przez okno salonu. Przenieśli się tu, bo okna wychodziły na Watykan. Patrzyli to na ekran telewizora, to na fragment nieba, który ukazał im się po rozsunięciu czerwonych, aksamitnych zasłon. Coś mogło się wydarzyć za oknem albo w telewizji.

I coś się wydarzy, jak tylko Karou i Akiva z powodzeniem zakończą misję. „Niebiańscy goście” wzlecą w powietrze, śmigną do Uzbekistanu i przelecą przez tamtejszy portal. „Uważajcie, żebyście nie oberwali drzwiami”.

Niebo czy telewizja. Gdzie zobaczą ich wcześniej?

Komórka Zuzany leżała na podłokietniku jej fotela, żeby nie przegapiła SMS-a ani telefonu od Karou. Na razie dostała jedną wiadomość.

„Jesteśmy. Wchodzimy”.

I tyle. Więc to się już działo. Zuzana nie mogła spokojnie usiedzieć. Niebo-telewizor-komórka-Mik, w takim schemacie operowały jej oczy. I jeszcze co jakiś czas rzut oka na Elizę.

Wciąż nie było z nią kontaktu, przebywała gdzie indziej. Oczy miała szklane jak lalka, ale jednak nie do końca. Chwilę odpoczywały, wpatrzone w punkt, a potem zaczynały przeskakiwać tam i z powrotem. Źrenice to się rozszerzały, to zmniejszały, nawet gdy światło się nie zmieniało. Jej umysł funkcjonował w innej przestrzeni niż ciało, oczy widziały co innego, a usta szeptały opętańczą poezję. Zuzana się cieszyła, że nic nie rozumie. Karou trochę jej przetłumaczyła i słowa okazały się przerażające. Jak z horroru o pożeraniu. Ale nie takim, jak pożeranie Zuzany, która hojnie się częstowała czekoladowymi makaronikami z patery na fortepianie.

No dobrze, takim samym, ale tylko z punktu widzenia makaroników.

Puk puk puk.

Ktoś pukał bardzo mocno. Jak Státní Bezpečnost albo Stasi, albo Gestapo, do wyboru. Pukanie otaczała aura słów „przychodzili pod osłoną nocy”. Po takim pukaniu nikt nie sunął do drzwi beztrąsko i ochoczo.

Nikt z wyjątkiem Esther. Odkąd tamci odlecieli, siedziała w ostatniej sypialni. Teraz się wyłoniła i wciąż bosko przemierzała salon, bez rozglądania się na boki. Już miała w obstawie psów zniknąć w korytarzyku prowadzącym do drzwi, ale rzuciła jeszcze:

– Zbierajcie się, dzieci.

Zuzana zerknęła na Mika, a on na nią. Jej serce zerwało się na równe nogi tak szybko jak przed chwilą mastiffy. Ona poszła za ich przykładem i aż poskoczyła.

– Co?

W tej samej chwili Mik powiedział:

– Jezu.

– Co, Jezu?

– Pakuj się. Bierz swoje rzeczy. – Zuzana nadal nie rozumiała, o co chodzi, ale wtedy weszło dwóch rosyjskich mężczyzn w eleganckich garniturach. Na głupich, wielkich uszach mieli zawieszoną jakąś bezprzewodową rzecz i w pierwszej chwili Zuzana pomyślała, że „kurde, oni naprawdę są z tajnej policji!” Ale potem zauważyła herb wyhaftowany na kieszonkach marynarek i przerażenie zaczęło przechodzić w pierwsze bulgoty furii.

Ochrona hotelowa. Esther ich wyrzuca.

– No dobrze – odezwał się jeden z nich. – Idziemy. Na was już pora.

– Jak to? – Zuzana obrzuciła ich groźnym spojrzeniem. – Jesteśmy tu gośćmi.

– Już nie – wtrąciła Esther od drzwi. – Tolerowałam was dla dobra Karou. Ale że Karou już nie ma, to...

Zuzana się do niej odwróciła. Starsza kobieta splotła ręce na piersi, a psy szły z nią krok w krok. W jej oczach było widać, że coś bezdusznie knuje i Zuzanie przyszło do głowy, że wąż połknął słodką babcię i w jakiś sposób się w nią zamienił. Hotelowe byki nie weszły jeszcze do pokoju, gdy na Zuzaną spadła świadomość tego, co się dzieje.

Karou.

– Coś ty jej zrobiła? – zapytała. Skoro Esther ich wyrzucała, to znaczy, że nie liczyła na kontakt z Karou. Ani dzisiaj, ani nigdy.

– Zawiadomiłam obsługę hotelu, że jestem gnębiona niechcianą obecnością dwójki nieokrzesanych dzieciaków. Od razu wiedzieli, kogo mam na myśli. Zdaje się, że wchodząc, daliście popis.

– Chodzi mi o to, co zrobiłaś Karou! – Cała się gotowała i była pewna, że słowa odzwierciedlają jej stan. W tamtej chwili czuła się jak najprawdziwsza neek-neek, z jadem i wszystkim, groźna nawet dla dwóch psów wielkości młodych lwów i barczystych ochroniarzy, którzy jej stali na drodze.

Niestety, jednak nie okazała się neek-neek, bo bysior stojący bliżej jednym sprawnym ruchem złapał ją za nadgarstek i zacisnął palce.

– Puść mnie! – warknęła i próbowała się wyrwać.

Nie miała szans. Ścisnął tak mocno, jakby cały wolny czas poświęcał na ćwiczenia tymi idiotycznymi gumowymi piłeczkami. Następnie do akcji wkroczył Mik i złapał go za rękę.

– Puść ją! – zażądał, a przy okazji próbował odgiąć wstrętne paluchy, ponosząc jednak klęskę w nierównej walce skrzypka z brutalem. Zuzana aż kipiała z wściekłości, ale przeszło jej przez myśl, że oboje są w tej chwili żałośni i bardzo im daleko do samurajów. Ochroniarz bez trudu złapał Mika wolną ręką i popchnął korytarzem do drzwi – to by było tyle, jeśli chodzi o wzięcie rzeczy – a Zuzaną pociągnął za nim. Nadgarstek aż jej pulsował w miejscu, gdzie ją trzymał, ale to nic w porównaniu z tornadem wściekłości i strachu, które szalało w jej głowie.

Zuzana nie chciała, żeby ją tak traktować, więc odskoczyła na bok, obróciła się na pięcie i stanęła twarzą w pyski Travellera i Methuselaha, strzegącymi drogi do ich pani. Psy na nią spojrzały. Jeden uniósł fagle i z leniwym warknięciem pokazał zęby. „A co my tu mamy?”

„Widziałam straszniejsze”, miała ochotę im powiedzieć i odwzajemnić się obrażeniem zębów, ale się opanowała i przeniosła wzrok na Esther. Twarz kobiety była jak wykuta z kamienia, kompletnie beznamiętna. Nie wyglądała jak człowiek. „To nie jest człowiek”, pomyślała Zuzana, „to chciwość w ludzkiej skórze”.

– Coś ty zrobiła? Co zrobiłaś, Esther? Co?

Esther parsknęła.

– Jesteś kompletną idiotką czy co? A jak myślisz?

– Myślę, że jesteś socjopatką, która wbija ludziom nóż w plecy.

Esther tylko pokręciła głową, a na jej kamiennej twarzy pojawił się wyraz kpiny.

– Myślisz, że tego chciałam? Poprzedni stan rzeczy bardzo mi odpowiadał. To nie moja wina, że Brimstone umarł.

– A co to ma do rzeczy?

– Wysil się. Wiem, że nie jesteś aż taką bezmyślną laleczką, na jaką wyglądasz. Życie to sztuka wyborów, a tylko głupcy wybierają sprzymierzeńców, kierując się sercem.

– Wybierać sprzymierzeńców?! Co to jest, reality show? – Zuzanę aż zemdliło. Esther wybrała anioły. Brimstone zginął, a ona przejmowała się wyłącznie sobą. W tej chwili przypomniało jej się, ile Esther ma naprawdę lat i doznała olśnienia.

– Ty... – wycedziła, a obrzydzenie rozlało się jak gęsta maź. – Założę się, że współpracowałaś z nazistami.

Ku jej zaskoczeniu Esther się roześmiała.

– Mówisz takim tonem, jakby to było coś złego. Każdy rozsądny człowiek wybiera życie, a nie śmierć. Wiesz, co jest naprawdę głupie? Umieranie za ideę. Pomyśl, gdzie jesteśmy. Pomyśl o chrześcijanach rzuconych na pożarcie lwom, bo nie chcieli się wyrzec wiary. Tak, jakby Bóg miał im nie wybaczyć, że chcą żyć. A może zresztą, jeśli się jest pozbawionym instynktu samozachowawczego, nie zasługuje się na życie?

– Jaja sobie robisz?! Obwiniasz chrześcijan a nie Rzymian? Nie rozumiesz, że to oni rzucali na pożarcie lwom? Nie łudź się. Ty jesteś potworem.

Esther miała już dość.

– Pora na was – oznajmiła krótko. – Pamiętajcie też, że w chwili śmierci Karou cały jej majątek przechodzi na najbliższego krewnego – uśmiechnęła się, choć nie było w tym radości. – Czyli w tym przypadku na jej ukochaną babcię. Nie zwracajcie więc sobie głowy próbami wejścia na jej konta.

„W chwili śmierci Karou, w chwili śmierci Karou”. Zuzana nie chciała tego słyszeć. Jej umysł to wyparł.

Esther wskazała drzwi i ochroniarze znów pociągnęli ich w stronę wyjścia.

– Ubrania możecie zatrzymać – dodała Esther. – Nie ma za co. Aha, i nie zapomnijcie zabrać warzywa.

Warzywa.

Miała na myśli Elizę. Przez cały ten czas Eliza była cicho. Wpadła w katatonię, a Esther zamierzała wyrzucić ją na ulicę. Zuzanę i Mika też, z pustymi rękami.

„W chwili śmierci Karou”. Tornado w głowie Zuzany zostawiło po sobie szum. Co się stało? Czy to możliwe, że...?

„Zamknij się”.

– Pozwól nam chociaż wziąć rzeczy – poprosił Mik tak cicho i rozsądnie, że Zuzanę niemal trafił szlag. Jak on śmie być taki spokojny i praktyczny?!

– Dałam wam szansę – przypomniała Esther – ale woleliście tu stać i mnie obrażać. Jak już mówiłam, życie to sztuka wyborów.

– Więc chociaż moje skrzypce – błagał. – Nie mamy jak wrócić do domu. A tak przynajmniej będę mógł grać na placu i może zarobię na bilety.

Wizja ich żebrzących na ulicy musiała jakoś przemówić do jej przywiązania do hierarchii społecznej i strachu przed degradacją.

– Zgoda. – Pstryknęła palcami i Mik pobiegł. Kiedy wrócił, futerał ze skrzypcami trzymał w objęciach jak dziecko, nie niósł go jak zwykle za rączkę.

– Dziękuję – powiedział, jakby Esther wyświadczyła mu jakąś przysługę. Zuzana zionęła ogniem.

Czy on stracił rozum?

– Bierz Elizę – polecił. Poszła za nią jak lunatyczka. Zuzana zatrzymała się jeszcze tylko raz, żeby spojrzeć na Esther.

– Mówiłam to wiele razy, ale zawsze żartowałam. – Teraz już nie. Nigdy w życiu nie była tak poważna. – Pożałujesz tego. Obiecuję.

Esther się roześmiała.

– Świat nie działa w ten sposób, moja droga. Ale jeśli ci to poprawi humor, to próbuj. Zrób najgorsze, co w twojej mocy.

– Żebyś wiedziała – wycedziła Zuzana, a potem ochroniarz ją pociągnął. Prowadzili ich, z Elizą u boku, rozległym korytarzem do windy. Następnie zjechali, a w końcu przemaszerowali w tym dziwnym szyku przez lśniące lobby. Zgromadzeni patrzyli na nich i szeptali, a najlepiej się bawiła niedawna uczestniczka pojedynku na brwi, która w świetle tych czarownych okoliczności raz jeszcze poważnie się unieść wyskubaną brew w amatorskim, ale dosadnym akcie wyrażającym słowa: „A nie mówiłam?”

Upokorzenie paliło jak droga przez pole pokrzyw, tysiące mikroskopijnych ukłuc doprowadzających do gorączki, ale to było nic w porównaniu z rozpaczą i paniką Zuzany, która myślała o swoich przyjaciółach zdanych na pastwę wroga.

Co się z nimi dzieje?

Esther musiała ostrzec anioły. Co jej za to obiecali? Ale, co jeszcze ważniejsze, jak ona i Mik mogli pomóc? Jak? Nie mieli nic. Tylko skrzypce.

– Nie wierzę, że jej podziękowałeś! – warknęła, kiedy zostali wypchnięci na ulicę. Rzym zaatakował ich zgiełkiem i dusznym powietrzem, tak różnym od sztucznego chłodu wewnątrz.

– Pozwoliła mi wziąć skrzypce. – Wzruszył ramionami, wciąż przyciskając je do piersi jak dziecko albo szczeniaczka. Słyszała po głosie, że jest zadowolony. Nie, to było za wiele. Zuzana aż się zatrzymała. Przecież i tak nie mieli dokąd iść, poza tym, że byle dalej od hotelu. Stała z nim twarzą w twarz. Zadowolenie miał nie tylko w głosie, ale i w twarzy. A w każdym razie satysfakcję. Prawie od niej wibrował.

– Co z tobą?! – spytała. Była już tak zrozpaczona, że miała ochotę usiąść i się rozplakać.

– Zaraz ci powiem. Teraz chodź. Nie możemy tu zostać.

– Tak, zauważyłam.

– Nie, nie możemy być w pobliżu. Ona nie może nas znaleźć – ponaglał i to ją jeszcze bardziej zdziwiło. Objął ją, żeby nią sterować, a ona pociągnęła za sobą Elizę, istotę pogrążoną w śnie na jawie, która zdawała się niemal za nimi unosić. Połknął ich tłum gęsty jak w czasie parady. Ciżba ludzka, którą wcześniej przeklinali, stała się ich wybawieniem. Uciekli.

Nie ta brzydota

Wszystko było tak, jak zaplanowali. Ciężkie okiennice zostały odblokowane, zgodnie z umową wynegocjowaną przez Esther, i teraz Karou musiała jeszcze tylko otworzyć je po cichu. Już miały zaskrzypieć, a opór, jaki stawiały aż się prosił o popchnięcie ich raz a dobrze, niech sobie zgrzytają. Minęło już sporo czasu, odkąd lamentowała nad brakiem „niemal bezużytecznych życzeń”, traktowanych jak coś oczywistego. Chodziło o drobniaki, które podbierała z filiżanki u Brimstone’a i nosiła na szyi jak koraliki. Teraz też jeden by się jej przydał. Złapałaby koralik w palce i poprosiła, żeby okno otworzyło się bezszelestnie.

No już. Nie potrzebowała paciorka. Wystarczyła cierpliwość, popychanie okna tak nieznośnie powoli, że aż serce prawie jej wyskoczyło z piersi, ale udało się. Komnata stała otworem. Ciemna, tylko pod oknem rozciągał się prostokątny fragment zalany księżycowym światłem. Wyglądał jak wycieraczka.

Weszli do środka jedno za drugim, a ich cienie naruszyły księżycową plamę i ozdobiły ją mozaiką. Kiedy odeszli, wróciła do wcześniejszego kształtu. Zatrzymali się. Czuli, że muszą pozwolić ciemności wrócić do siebie, tak jakby czekali na uspokojenie się zmaczonej wody.

Ostatni wdech przed wejściem.

Łoże, które tu stało, wyglądało kuriozalnie. Znajdowali się w sali reprezentacyjnej, jednej z najsłynniejszych w Pałacu. Wstawiono je tutaj niedawno, a i tak trzeba przyznać, że to barokowe monstrum nieźle się odnajdywało w fantastycznym otoczeniu. Wielkie, z baldachimem i wyrzeźbionymi sylwetkami aniołów i świętych. Pod skotłowaną pościelą leżał jakiś kształt. Kształt oddychał. Na stoliku obok łóżka zobaczyli hełm, którym Jael zasłaniał przed ludzkością swoją brzydotę. Kształt lekko się poruszył i obrócił. Oddychał głęboko i równo.

Karou nie dotykała stopami podłogi. Czyniła to instynktownie; czuła się już ze zdolnością latania tak naturalnie, że ostrożność weszła jej w krew. Jeśli można nie stąpać po ziemi, to po co to robić?

Podleciała kawałek naprzód. Akiva powinien znaleźć się z drugiej strony łoża i trwać w gotowości.

To najbardziej newralgiczny moment: przebudzenie Jaela i zmuszenie go do zachowania milczenia tak długo aż zdołają mu przedstawić argument, będący kluczem planu Karou. Jeśli pójdzie gładko, być może zdołają stąd wylecieć w ciągu dwóch minut. Na wszelki wypadek trzymała w ręce pakulę z juty, żeby stłumić jego krzyki, gdyby zaszła konieczność. Potem zrozumie, że lepiej zachować ciszę. Chodziło też oczywiście o stłumienie okrzyków bólu.

Bezkrwawo nie znaczy bezboleśnie.

Karou nigdy nie widziała Jaela, ale była pewna, że po tym, co słyszała, jest w stanie sobie wyobrazić jego ekskluzywnie porażającą brzydotę. Przygotowała się na nią, kiedy śpiący anioł znów się poruszył i odrzucił poduszkę. Spodziewała się brzydoty i zobaczyła brzydotę.

Ale nie tę, co trzeba.

Otworzył oczy i przestał udawać, że śpi. Ładne oczy w okaleczonym ciele. Ale bez blizny od brwi do brody, tylko sina wzdęta twarz i wrażenie zepsucia głębsze jeszcze niż u imperatora.

– Niebieskowłosa ślicznotka – zagruchało to coś gardłowo.

Karou nie zdążyła mu zatkać ust. Ruszyła błyskawicznie, ale on tylko czekał – wiedział, że przyjdzie – i zanim zdołała do niego dotrzeć, zaskrzeczał:

– Są już nasi goście!

Dopiero potem go uciszyła, przyciskając kłęb materiału do jego wstrętnej twarzy. Umilkł, ale nie miało to już znaczenia. Alarm został wszczęty.

Otworzyły się drzwi. I do sali wleciało Dominium.

Samospelniająca się przepowiednia

Esther Van de Vloet stała w drzwiach łazienki królewskiego apartamentu w hotelu St. Regis. Zatrzymała się w pół kroku na widok leżących w wannie skrzypiec.

Skrzypiec leżących w wannie.

Skrzypiec.

...

...

...

Wrzasnęła gardłowo, zaskrzeczała jak zarzynana żaba. Podbiegły do niej przerażone psy, ale brutalnie je odepchnęła, padła na kolana i sięgnęła głęboko w szparę pod marmurową toaletką.

Nie mogła w to uwierzyć, macała coraz głębiej, zbyt przerażona, żeby choć zakląć. Później znów krzyknęła. Upadła na plecy na marmurową posadzkę i wylewał się z niej potok niewysłowionych, najczystszych emocji.

Tych akurat nie znała. To było poczucie klęski.

W ciągu następnej godziny Zuzana pracowicie doskonaliła sztukę wzdychania z wściekłością. Niebo przepelniała pustka, a to nie był dobry znak. Minęło już dość czasu, odkąd Karou, Akiva i Virko opuścili hotel. Mogli już dopaść Jaela i pokrzyżować jego plany, a jednak nic o tym nie świadczyło. Wyświetlacz telefonu Zuzany był równie pusty jak niebo. Wysyłała SMS-y z ostrzeżeniami, oczywiście, dzwoniła nawet, ale połączenia od razu trafiały do poczty głosowej. Przypomniały jej się tamte koszmarne dni po tym, jak Karou zniknęła z Pragi – i z Ziemi – a Zuzana nie wiedziała, czy w ogóle żyje.

– Co robimy?

Skręcili w wąską uliczkę, a Mik zachowywał się podejrzanie. Zuzana usadziła Elizę na schodku, a potem usiadła obok niej. Trafili do jednego z tych typowo włoskich zaułków – tak wąskich, jakby kiedyś wszyscy byli rozmiarów Zuzany – w których średniowiecze opierało się o renesans, a wszystko to na prochach antyku. Dzieło wieńczył akcent współczesny: jakiś kompletny debil nasmarował na murze paskudne graffiti o treści: *Apri gli occhi! Ribellati! Otwórz oczy, buntowniku!*

„Dlaczego”, zadumała się Zuzana, „anarchiści muszą mieć taki paskudny charakter pisma?”

Mik ukląkł przed nią i położył jej na kolanach futerał na skrzypce. Jak tylko przestał go podtrzymywać, dotarło do niej, jaki jest ciężki.

Ciężki???

– Dlaczego twoje skrzypce ważą dwadzieścia osiem kilo?!

– Zastanawiam się... – zaczął, zamiast odpowiedzieć. – Czy bohaterowie baśni czasem bywają... hm, złodziejami?

– Złodziejami?! – Zuzana podejrzliwie zmrużyła oczy. – Nie wiem. Pewnie tak. Na przykład Robin Hood.

– To nie jest baśń, ale niech będzie. Szlachetny złodziej.

– Albo Jaś i magiczna fasola. Okradł tego olbrzyma.

– Racja. Choć to już mniej szlachetne. Zawsze mi było żal olbrzyma. – Otworzył sprzączki futerału. – Ale tego akurat nie żałuję. – Zamilkł na moment. – I mam nadzieję, że zostanie mi to policzone jako jedno z zadań. – Otworzył wieko. Futerał pełen był... medalionów. Pełen! Różnych rozmiarów, od monety po spodek do kawy, w kilku odcieniach brązu, od jasnego, mosiężnego, po ciemny i nasycony. Niektóre pokryte były śniedzią, a na wszystkich wybito ten sam wizerunek: głowę barana z grubymi, zakręconymi rogami i mądrymi oczami o pionowych źrenicach.

Brimstone.

– Sama widzisz – wyjaśnił Mik niby od niechcienia. – Kiedy lipna babcia mówiła, że nie ma już więcej życzeń, kłamała. Ale wkopała się. To była samospełniająca się przepowiednia. Teraz naprawdę nie ma!

Dzisiaj nikt nie ginie

Drzwi się otworzyły i do środka wpadło Dominionum.

W pierwszym odruchu Karou chciała stać się niewidzialna. By to osiągnąć, powinna złożyć ofiarę z bólu, z czym nie miałyby problemu, bo Razgut miażdżył jej nadgarstek. Z tego samego powodu ofiara nie miała sensu.

Widzialna czy nie, została schwytana.

Szamotała się w uścisku Upadłego i to się pojawiała, to znikiała. Jego chichot brzmiał jak pomruk, a w jego uścisku była bez szans. Miała przy sobie ostrza w kształcie sierpów księżyca, ale postanowili przelewać krew dopiero w ostateczności, więc zamarła z dłonią na rękojeści i obserwowała napływ wielu nieprzejejdanych żołnierzy. Z mieczami w gotowości i twarzami bez wyrazu wypełniali pokój. Jeszcze raz, tak jak już bywało w ciągu ostatnich dni, rzeka czasu zgęstniała jak żywica. Kleista. Ciągająca się. Ile może się wydarzyć w ciągu sekundy? A trzech? Dziesięciu?

Ile trzeba sekund, żeby stracić wszystko, co najważniejsze.

To pewnie Esther ich ostrzegła. Szamotała się dziko, przesycona goryczą. Nie zdziwieniem. Oczekiwali ich. To nie było szczęście osobistych strażników Jaela, tylko trzydziestu żołnierzy. Może czterdziestu?

I ktoś jeszcze. W drzwiach pojawił się Jael. Wszedł nieśpiesznie i zajął pozycję za ścianą

aniołów. Karou go zobaczyła pierwsza. On patrzył prosto przed siebie. Jego brzydota spełniła wszystkie jej oczekiwania. Może nawet więcej. Blizna gruba jak sznur zdawała się przygniatać wystające spod niej skrzydełka nosa. Wyglądały jak zdeptyany grzyb, który powoli pokrywa się pleśnią. Usta były jedną wielką masakrą, zapadały się między połamanymi zębami, sprawiając, że jego oddech brzmiał tak, jakby ktoś chodził po błocie. Ale nie to było najgorsze w imperatorze serafinów. Najgorszy okazał się wyraz twarzy naznaczonej nienawiścią. Nawet jego uśmiech brał w tym udział, okrutny i zwycięski.

– Siostrzeńcze. – To jedno unurzane w ślinie słowo emanowało wrogością i triumfem.

Jael wyjrzał spomiędzy barków swoich żołnierzy i spojrzął na Akivę. Pomór Dzikich, na którego uśmiercenie nalegał wiele razy; po raz pierwszy, gdy ten pomiot już z ogniem w oczach płakał przed snem w obozie treningowym.

– Zabij go – radził Joramowi. Świetnie pamiętał smak tych słów, bo były jednymi z pierwszych, jakie wypowiedział po zdjęciu opatrunków. Sformułował je mimo agonalnego bólu. Usta miał jeszcze pełne krwi, a obrzydzenie, jakie widział w oczach brata – w oczach wszystkich – do dzisiaj przepełniało go wstydem. Pozwolił, żeby zraniła go kobieta. I nieważne, że on przeżył, a ona nie. Jej piętno miał nosić na zawsze.

– Jeśli masz trochę rozumu, zabijesz go od razu – dodał. Teraz widział, że przyjął niewłaściwą taktykę. Joram był imperatorem, nie zamierzał słuchać niczyich rozkazów.

– A co, ty ciągle chcesz ją karać? – zakpił i tym samym wyciągnął na światło dzienne widmo Festival. Obydwaj usiłowali na darmo zmusić steliańską konkubinę do uległości. Zginęła, ale nie złamała się. – Zabicie jej nie wystarczy? Chłopaka też musisz wykończyć? Myślisz, że ona jakoś się o tym dowie i ucierpi jeszcze mocniej?

– To jej dzieciak – upierał się Jael. – A ona się tu pojawiła jak zaraza. Nic dobrego z jej krwi nie wyrośnie.

– Dobrego? A na cóż mi dobry wojownik?! On powstał z mojego nasienia, bracie. Chcesz powiedzieć, że moja krew nie pokona dziedzictwa jakiejś parszywej szmaty?

Joram się mylił, zadufany w sobie, ślepy. Różnie można by określać lady Festival z Dalekich Wysp, ale na pewno nie była szmatą.

Więźniarką też nie.

Nie wiadomo, jak się znalazła w haremie imperatora i dlaczego zechciała w nim zostać, ale nikt by nie uwierzył, że zrobiła to wbrew własnej woli. Jako Stelianka miała moc i chociaż nigdy jej nie pokazała, Jael był tego pewien. Jak również tego, że zaplanowała swoją obecność tutaj. Ale.. czemu córa tego mistycznego plemienia zdecydowała się zająć miejsce w łóżu Jorama?

Jael powoli zamrugnął. „Czemu?” Wystarczyło spojrzeć na tego bękarta, żeby się przekonać, czyja krew się okazała silniejsza. Czarne włosy, śniada skóra – nie tak ciemna jak u Festival, ale znacznie bliższa jej, niż jasnej karnacji Jorama. No i oczy, żywcem z niej zdjęte. Upodobanie do magii. Dowodów znalazłoby się dość.

Joram powinien był posłuchać brata. Pozwolić mu wyładować gniew, jak tylko mu się podobało, ale wolał go wykpić i nakazał mu spożywać posiłki w samotności, twierdząc, że nie może znieść jego mlaskania.

Teraz Jael mógł się z tego śmiać. I ciamkać, ile tylko chciał.

– Pomór Dzikich. – Wyszedł do przodu, ale nie za daleko, trzymając się za bezpiecznym buforem dwóch dziesiątek żołnierzy, z czego dziesięciu wyposażonych było w wyjątkową broń, która już raz pogrążyła Akivę: gołe dłonie.

Nie ich własne, ma się rozumieć. Uschnięte, koloru tabaki, niektóre z pazurami, ale wszystkie noszące rysunek diabelskich oczu. Wyciągnęli przed siebie odcięte ręce chimer.

Na ich widok potwór stojący u boku Akivy zawarczał z głębi gardła. Kolce na jego szyi się uniosły i otworzyły jak śmiercionośny kwiat. Był teraz dwukrotnie większy i śmiało mógł siać postrach na polu bitwy, zwłaszcza że na tle zgromadzonych w zdobionej komnacie – którą nagle wypełnił sobą – wyglądał jeszcze bardziej przerażająco.

Jael zamarł. Stał wprawdzie za barykadą złożoną z mięśni i żywego ognia, spodziewając się przecież wizyty – dzięki ostrzeżeniu tej straszliwej kobiety, która miała zaopatrzyć go w broń – ale widok zrobił na nim wrażenie. Nie sama chimera, ale serafin i chimera stojący ramię w ramię. Potwory były celem odwiecznej krucjaty jego brata. Jael miał na oku nowego wroga, ale tak czy inaczej przymierze, którego dowód widział przed oczami, wywracało do góry nogami dokonania ostatniego tysiąclecia. To rak, który nie może się rozprzestrzenić w Eretz.

Jak już wróci, po przymierzu nie zostanie ani śladu. Zresztą, myślał z satysfakcją, pozostałe oznaki buntu zostały już na pewno stłumione. Bo niby czemu tych troje przyszło do niego bez żadnej broni? Miał ochotę się roześmiać z tych głupców, ale nie mógł nie dostrzec, jak niewiele go dzieliło od klęski. Przeszył go zimny dreszcz. Gdyby nie ostrzeżenie tej kobiety, spałby w tym łóżku, podczas gdy oni weszliby przez okno.

Niewiele brakowało. Uratowało go tylko szczęście. Na drugi raz nie będzie tak nieostrożny.

– Książę Bękartów – wymieniał dalej i czuł, jakby odprawiał rytuał, który powinien się odbyć wiele lat wcześniej: zahamowanie steliańskiej zarazy, eksterminacja ostatniego potomka Festival i zniweczenie jej dzieła, cokolwiek miała na myśli, sprowadzając go na świat. – Siódmy tego imienia. Przeklętego imienia „Akiva”. – Tutaj zamilkł, żeby zrobić większe wrażenie. – Jesteś pierwszym Bastardem noszącym to imię, który dożył dorosłości. Wiedziałaś o tym? Byon, stary zarządca, nadał ci je złośliwie. Chciał, żeby twoja matka go błagała o inne. I każda kobieta w haremie by błagała, ale nie Festival. „Gryzmol sobie co tam chcesz, starcze”, powiedziała mu tylko. „Mój syn i tak nie da się wplątać w wasze nędzne koleje losu”. – Baczenie się przyglądał Akivie, wypatrując śladu reakcji. – Odważne słowa, czyż nie? Ilu śmierci już uniknąłeś? Klątwy imienia i tych kilku, które sam dla ciebie wyszykowałem. Ile jeszcze?

Zdawało mu się, że Pomór Dzikich zeszywniał. Jael wyczuł czuły punkt.

– Inni umierają, a ty żyjesz? – spróbował. – Pewnie jakimś cudem odwróciłeś klątwę. Ty nie umierasz, bo za ciebie giną inni. – Akiva zacisnął szczęki. – Wyobrażam sobie, jaki to ciężar –

brnął Jael i pokręcił głową, udając współczucie. – Śmierć cię szuka i szuka, ale cię nie widzi. Niewidzialny dla śmierci, co za los! Wreszcie dość ma poszukiwań i bierze tego, kto jej pierwszy wpadnie pod rękę. – Zamilkł, uśmiechnął się. Starał się, żeby następne słowa wydawały się ciepłe i szczerze: – Ale mam dla ciebie dobrą nowinę, siostrzeńcze. Dzisiaj złamiemy klątwę. Dzisiaj nareszcie umrzesz.

Akiva przygotował się na widok wuja, ale nie na przeżycie raz jeszcze tamtych potwornych chwil i teraz jego słowa odczuł jak cios w serce. Echo Wieży Triumfu, gdy Jael i jego żołnierze tak samo jak teraz przejęli kontrolę nad pomieszczeniem, w którym się znajdował.

„Zabijcie wszystkich”, rozkazał wówczas Jael, a jego żołnierze o twarzach bez wyrazu usłuchali i wypatroszyli nadzorców oraz potężnych, brutalnych Szczerbulców. A Hazael i Liraz dołożyli takich starań, żeby ich rozbroić bezkrwawo! Nie oszczędzili nawet kąpielowych. Kąpiel zmieniła się w rozlew krwi, a imperator i następca tronu utonęli w powodzi czerwieni. Krew na ścianach, krew na posadzce, krew wszędzie.

Głos, twarz, żołnierze. Akiva widział niezagojone jeszcze rany na twarzach niektórych i zgadywał, że byli wtedy w Wieży i przetrwali wybuch. Grozili mu nie tylko mieczami, ale i tą samą morderczą bronią, którą wymierzili w niego tamtego krwawego dnia.

Nawet Jael odezwał się w ten sam sposób. To rozmlaskane seplenienie. „Siostrzeńcze”. Wtedy słowo to skierował do Japhetha, głupawego następcy tronu, na chwilę przedtem, zanim go zamordował. Teraz siostrzeńcem był Akiva. Potem nastąpiła jeszcze cała litania jego licznych przydomków.

Pomór Dzikich. Książę Bękartów. Siódmy Przeklętego Imienia.

Akiva wysłuchał wszystkich i zaczął się zastanawiać, czy którykolwiek faktycznie mówi o nim. Co miała na myśli jego matka, twierdząc, że on się nie wplącze w ich nędzne koleje losu? Zdawało mu się, że nawet „Akiva” nie jest jego prawdziwym imieniem, a tylko kolejnym z bastardzkich akcesoriów, jak zbroja czy miecz. Imię, tak jak wyszkolenie, zostało mu narzucone. Znał już reakcję Festival i myślał teraz: „Kim jeszcze jestem. Jaki jeszcze?”

Pierwsza odpowiedź, jaka mu przyszła do głowy okazała się bardzo prosta. Tak prosta jak cel, w jakim tu przyszedł. Prosta jak jego pragnienia.

„Jestem żywy”.

Pamiętał tamtą chwilę – wydawało mu się, że to było bardzo dawno temu, ale nie – kiedy leżał na plecach na ćwiczebnej arenie garnizonu Cape Armasin, a topór – topór Liraz – wbił się w twarde podłoże kilka centymetrów od jego policzka. Myślał, że Karou nie żyje i w tamtej chwili, dysząc ciężko i wpatrując się w gwiazdy, przyjął do wiadomości, że życie jest narzędziem do działania. Takim samym jak inne przedmioty. Życie jest instrumentem, którym kształtuje się świat.

Pamiętał też prośbę Karou, zaledwie z przedwczoraj, kiedy wcisnęli się do kabiny prysznicowej. „Nie chcę, żebyś przeproszał. Chcę, żebyś... żył”.

Miała na myśli coś więcej niż życie jako narzędzie. Znał ton, z jakim to powiedziała. Dla niej w tamtej chwili życie było głodem miłości.

I jakkolwiek miał na imię, jakkolwiek wyglądała jego przeszłość i jego dziedzictwo, żył. I też był głodny. Spełnienia ich snu, pokoju, ciała Karou przyciśniętego do jego ciała, domu, który gdzieś mogliby stworzyć oraz zmian w Eretz, które rozpoczną, a potem będą obserwować.

Żył i zamierzał pozostać żywy, więc kiedy wuj go dręczył i dźgał w czuły punkt – dla niego zadanie śmierci to za mało, musiał skazańca jeszcze torturować – Akiva rejestrował jego słowa, ale żadne nie mogło go dotknąć. Były jak ciemność, która usiłuje siać przerażenie o brzasku.

„Dzisiaj złamiemy klątwę. Dzisiaj nareszcie umrzesz”.

Akiva pokręcił głową. Przez moment się zastanawiał, czy powinien udawać słabość, której nie czuł. W łaźni Jorama te koszmarnie dłonie dały Dominium przewagę konieczną do pokonania Akivy, Hazaela i Liraz. Dziś będzie inaczej. Nie zmiotła go z nóg zniewalająca słabość. Poczł tylko mrowienie w nowej bliznie na karku. Jego magia napotkała obcą magię i odparła jej atak. Przypomnił sobie palce Karou lekko muskające bliznę, kiedy ją pokazał. Pamiętał jej dłoń na sercu, za którą nie wdarła się do jego krwiobiegu magia niosąca słabość. Działał tylko sam dotyk.

Widział jak walczy z Razgutem, jak jej niewidzialność to wraca, to zanika. Chciał rzucić się na pomoc, zmasakrować tę jego wstrętną gębę, uwolnić Karou, nawet wykręcić mu chuderlawe ramię, jeśli będzie trzeba. Zapędzić go w róg, z którego nie będzie mógł uciec i zadać kilka pytań. Upadły. Co to znaczy? Miał już raz szansę, ale ją odrzucił. Teraz też nie była dobra pora. Wiedział jednak, że Karou sobie z nim poradzi.

Jego jedyny prawdziwy przeciwnik stał przed nim.

– Nie dzisiaj – oznajmił Akiva. Odezwał się po raz pierwszy, odkąd tu wszedł. – Dzisiaj nikt nie zginie.

Jael się roześmiał, wrednie jak zawsze.

– Rozejrzyj się, siostrzeńcze. Nie wiem, jakie miałeś zamiary, zakradając się pod osłoną nocy do mojego łóżka. – Po raz pierwszy oderwał wzrok od Akivy i spojrzał na Karou. Oczy mu się zaświeciły. – Bo zakładam, że najprzyjemniejsze z możliwych wyjaśnień nie wchodzi w grę...? – zamilkł. Uśmiechnął się. – Spodziewam się raczej, że zamiary te były sprzeczne z moimi.

Dobrze się bawił. Wydawało mu się, że to będzie powtórka z Wieży Triumfu i był tego tak pewien, że nie zauważył zasadniczej różnicy: Akiva nawet nie zadrżał pod wpływem magii.

– To prawda. Ale zdziwiłbyś się, gdybyś je poznał.

– A co? Niby nie przyszliście mnie zabić?

Zabrzmiało to w jego ustach jak dobry żart. Bo po co innego by tu przychodzili? Akiva odpowiedział spokojnie:

– Nie, nie po to. Chcemy cię poprosić, żebyś odleciał. Tak, jak przyleciałeś, bez przelewu

krwi. I nie zabierając nic ze sobą. Wracamy do domu. Wszyscy. Tylko tyle.

– Ach, więc tylko tyle? – Wydobył z siebie jeszcze więcej śmiechu i rozbryzgującej się śliny.

– Stawiasz mi żądania?

– Proszę. Ale do żądań też jestem przygotowany.

Jael zmrużył oczy i Akiva zobaczył, jak kpina zmienia się najpierw w niedowierzanie, a potem w podejrziwość. Czyżby zaczął zauważać, że coś jest nie tak?

– Umiesz liczyć, bękarcie? – Starał się podtrzymać kpiarski ton. Chciał być zabawny, ale zdradził go niepokój w głosie. Nagle wywrócił oczami i Akiva wiedział, że zaczął przeliczać i upewniać się, że faktycznie ma przewagę. – Jest was dwóch przeciwko czterdziestu. – Dwóch. Zignorował Karou. Akiva nie zamierzał go poprawiać. Zresztą, nie była to jedyna pomyłka wuja, tyle że najoczywistsza. – Może jesteście silni, może jesteście cwani, ale koniec końców liczą się liczby.

– Tak, mają znaczenie – zgodził się Akiva. Pomyślał o cieniach ściganych ogniem i kłębiącej się ciemności w czasie zasadzki w Adelphas. – Ale są też inne czynniki, które potrafią odwrócić przypływ.

Nie czekał, aż Jael spyta, co to za czynniki. Tylko głupiec by pytał, bo wiadomo, że jedyną odpowiedzią będzie demonstracja. A Jael nie był głupcem. Zanim więc potworny imperator zdołał wydać swoim żołnierzom rozkaz do ataku, odezwał się Akiva:

– Myślałeś, że znów mnie zaskoczysz?

Dodał już tylko jedno słowo. Imię, chociaż Jael nie mógł o tym wiedzieć. Zdziwił się i na moment zmarszczył brwi.

Ale tylko na moment. Bo potem przypływ się odwrócił.

Supermoc na chybił trafił

Nie, nie możemy działać pochopnie – zaprotestował Mik. Trzymał w ręce jeden z medalionów rozmiaru spodka. – Co to tak naprawdę znaczy „być samurajem”? Chyba powinniśmy wiedzieć coś więcej, zanim sobie tego zażyczymy.

– Masz rację. – Zuzana trzymała na dłoni takie samo życzenie. Jej dłoń wydawała się teraz jeszcze mniejsza, a medalion był cięższy niż sądziła. – Pewnie oboje zamienilibyśmy się w Japończyków z koczkami. – Zmrużyła złowrogo oczy. – Kochałbyś mnie, nawet gdybym się zmieniła w Japończyka z koczkiem?

– Naturalnie – odparł Mik bez chwili wahania. – Ale chociaż słowo „samuraj” jest super,

chyba nie do końca o to nam chodzi. My po prostu chcemy umieć skopać wrogom tyłki?

– Na pewno nie możemy tego określić w ten sposób. Dostaniemy wtedy nadzwyczajną umiejętność kopania ludzi w tyłek. „Ej, nie odwracajcie się”, zawołała grubym głosem, „oni zawsze trafiają”.

Przy wypowiedaniu życzenia trzeba być bardzo precyzyjnym. Jeśli nawet Karou nie powtarzałyby im tego do znudzenia, można się było dowiedzieć z bajek. Zuzana miała już wcześniej do czynienia z drobniakami, ale prawdziwego życzenia nie trzymała w dłoni i ciężar tej odpowiedzialności trochę ją przytłaczał. A jeśli da ciała? W końcu to gawriel. Pomyłka może zabość.

Chwileczkę. Wróc. To przecież gawriel.

W futerale na skrzypce Mika były takie cztery.

Futerał spoczywał teraz u jej stóp. Wciąż była zachwycona Mikiem, który świsnął cały stos życzeń tuż przed nosa Niecnej Esther. Bosko! Ciekawe, czy już się zorientowała. I jak bardzo się wściekła. Jezu, zemsta nie powinna się w ogóle liczyć, jeśli nie można popatrzeć na furję wroga!

Zdecydowanie zostało mu to zaliczone jako zadanie, chociaż nie mogli się dogadać, które. Zuzana twierdziła, że trzecie i ostatnie, bo wciąż brała pod uwagę naprawienie klimatyzacji w hotelu w Ouarzazate. On się upierał, że tamto się nie liczy, bo zrobił to także we własnym interesie, żeby mieć energię do... przyjemniejszych rzeczy, więc wciąż zostało mu jeszcze jedno. Zuzana trochę się klóciła, ale potem stwierdziła, że to wygląda, jakby koniecznie chciała, żeby od razu ją prosił o rękę, więc dała spokój. Poza tym ręce miała teraz zajęte. A niebo wciąż było niepokojąco puste, a jej telefon niepokojąco milczący. Nie wiedzieli, co mogliby zrobić albo co powinni umieć. Czy nawet, gdyby zdobyli umiejętność latania albo walki, zdołaliby pomóc? Czego nie potrafili Akiva, Virko i Karou? Zresztą Zuzanie się wydawało, że nie można sobie zażyczyć doświadczenia w bitwie i zdolności stratega. Czy można?

Poza tym trzeba było pamiętać o Elizie. Nawet jeśli wybraliby sobie na chybił trafił jakąś supermoc i odlecieli, żeby ocalić przyjaciół, nie mogli jej tu zostawić, siedzącej na schodku.

Zaraz. Chwileczkę.

Zuzana spojrzała na Elizę, a potem na Mika. Szybko poruszyła brwią. Mik też spojrzał na Elizę.

– No tak. Jasne! – zareagował natychmiast.

Szybko, pod presją czasu i konieczności, dobrali jak najlepsze słowa, które mogły uleczyć młodą kobietę nie wiadomo na co chorą. Zuzana wypowiedziała życzenie uroczystym szeptem, zwracając się do trzymanego w ręce gawriela. Wydawało jej się, że mówi do samego Brimstone'a:

– Życzę sobie, żeby Eliza Jones, urodzona jako Elazael, odzyskała pełną władzę nad swoim ciałem i umysłem i poczuła się dobrze. – A potem coś ją podkusiło, żeby dodać jeszcze na końcu: – Niech stanie się najlepszą z możliwych wersji siebie. – Wydało jej się, że w tej chwili

to najprawdziwsze z życzeń. Chodziło jej o to, żeby nie chcieć być kimś innym, tylko doskonalić siebie, rozwijać tę jaźń, którą się ma. Dojrzewać.

Jeśli wypowiedziane życzenie przekracza moc danego medalionu, nic się nie dzieje. Tak jakby się poprosiło drobniaka o milion dolarów. Po prostu zostałyby w palcach. Zuzana i Mik nie wiedzieli, czy to, o co proszą, pozostaje w mocy gawriela. Przyglądali się więc Elizie bacznie, wypatrując choćby najmniejszego znaku, że coś się zmienia.

Ale go nie zobaczyli.

Bo, jakby to powiedzieć... znak nie był mały.

Nie, to ostania rzecz, jaką można by powiedzieć o zachodzącej w Elizie zmianie.

Epoka wojen

Akiva wypowiedział słowo „Haxaya”. Jael nie mógł wiedzieć, co oznacza ani nawet że to imię, ale efekt był natychmiastowy.

Jedna sekunda.

Nie było nic, a potem nagle się coś się pojawiło. Kształt, który wypełnił powietrze – smuga futra i zęby – pozostawał w ruchu. Jak tylko Jael go zobaczył, poczuł uderzenie. Dwie połowy jednej sekundy. Poleciał do tyłu.

Dwie sekundy.

Wszyscy jego żołnierze zostali przed nim. Zaczęli się odwracać, dopiero gdy poczuł na szyi stal i sapnął, a kiedy na niego spojrzeli, stał już w progu z nożem na gardle, a napastnik stał za nim, całkowicie poza ich zasięgiem.

Rozległ się skowyt. Dobrze oddawał wściekłość wybuchającą w myślach Jaela, ale nie wydostał się z jego ust. Nie ośmielił się krzyknąć, nie z nożem przyciśniętym do gardła. To Upadły się wydarł. Miotał się na łóżku, wciąż się siłując z dziewczyną.

Trzy sekundy.

Ostrze weszło głębiej. Poczuł, że przecina mu gardło i spanikował, ale mógł wciąż oddychać. Zapiękło. Czyli to tylko nacięcie.

– Strasznie przepraszam. – Tuż przy jego uchu rozległ się kobiecy szept. Nóż był ostry jak brzytwa, a ona nie uważała. Kolejne ukłucie, kolejne rozcięcie i śmiech za plecami. Rozbawiony.

A jego ludzie zdołali tylko odwrócić głowy, żeby na niego popatrzeć. Przestrzeń pomiędzy nimi wypełnił ich szok i wrzaski Razguta.

– Nie, nie, nie! – Głos upadłej istoty aż pociemniał z wściekłości. – Zabijcie ich! – kipiwał. – Zabijcie!

Jeden z żołnierzy zareagował na rozkaz Razguta, uniósł miecz i ruszył w stronę chimery. Objęła Jaela mocniej. Wbiła mu pazury w bok. Przeszły przez ubranie i wniknęły w ciało. Ostrze też się zagłębiło.

– Nie! – krzyknął. Do niej i do tego mężczyzny. Z niezadowoleniem stwierdził, że ten krzyk przypominał skomlenie. – Nie ruszać się! – dodał i usiłował wymyślić, co robić – pięć sekund – ale przecież sam wysłał wszystkich żołnierzy naprzód i nie zostawił żadnego na tyłach. Chimera miała za plecami tylko pusty pokój. Nikt nie mógł do niej podejść i to z jego winy, bo chciał się schować za ścianą żołnierzy.

– O, jak szybko wypływa ci krew – zauważyła chimera. Jej głos brzmiał zwierzęco, gardłowo. – Chyba chce, żeby ją uwolnić. Nawet twoja krew tobą gardzi.

– Haxayo – odezwał się ostrzegawczo Akiva. Teraz Jael zrozumiał, że tamto słowo to imię. – Nie chcemy krwi.

Na to było trochę za późno, szyja Jaela była od niej śliska.

– Kiedy on się wierci – wytłumaczyła się Haxaya.

Razgut wiąż zawodził. Dziewczyna już się uwolniła i stała przy boku bękart. Stali we troje, ramię w ramię: człowiek, serafin i potwór. Tych troje widział, ale co z tym czwartym? Skąd się wziął? Jak?

Kiedy Akiva odezwał się do Jaela, mówił swobodnie, jakby po prostu podejmował przerwany wątek:

– Inne czynniki – powtórzył z nieznośną swobodą i przekonaniem. Chwilę wcześniej mówił, że inne czynniki potrafią odwrócić przypływ. – Jak na przykład ceniecie jakiegoś życia bardziej niż innego. Choćby twojego. Gdyby faktycznie tylko liczby miały znaczenie, wciąż mógłbyś wygrać. No, nie osobiście. Ty zginiesz. Pierwszy, ale twoi ludzie mogliby potem zwyciężyć, gdyby twoja śmierć nie miała dla nich znaczenia. – Zamilkł i popatrzył na nich tak, jakby byli jednostkami dokonującymi wyboru, a nie szeregowymi żołnierzami. – O to chodzi?

Kogo on pytał, jego czy ich? Wizja, że odpowiedzą, że zadecydują o jego losie, wstrząsnęła Jaelem.

– Nie. – Odpowiedział szybko, plując wkoło śliną, zanim mogliby zaryzykować inną odpowiedź.

– Czyli chcesz żyć – uściślił Akiva.

Tak, chciał żyć. Ale wiedział, że wróg mu nie pozwoli.

– Koniec gierki, Pomorze Dzikich. Czego chcesz?

– Najpierw – odparł Akiva – chciałbym, żeby twoi ludzie odłożyli miecze.

Karou miała już dość gruchającego chichotu i spoconej dłoni na nadgarstku. Gdy tylko Akiva wymówił imię Haxayi, z całej siły wbiła Razgutowi łokieć w oko, a potem wykorzystwała jego

zaskoczenie, żeby się wyrwać, choć to nie było łatwe. Chociaż jego dłoń się pociła i tak miała miazdzącą moc zwierzęcych szponów, a kiedy zaparła się nogą o łóżko i z całej siły wyszarpnęła rękę, zdarła skórę i pojawiła się krew. Na szczęście się jednak udało i była wolna.

Razgut trzymał się za oko i wrzeszczał – „Nie, nie, nie!” – a drugim, wytrzeszczonym, łypał okrutnie wkoło. Karou odskoczyła, wydobyla broń w kształcie półksiężyców i zajęła miejsce u boku Akivy. Ona stała po jednej stronie, Virko po drugiej i we troje patrzyli, jak Haxaya radzi sobie z potworem.

Znów żyła, a dzięki zwiniętym z muzeum zębom wróciła do pierwotnego lisiego aspektu. Odrodziła się skoczna i bardzo szybka.

Nie była elementem strategii. Nie od początku. W jaskiniach, kiedy plan zaczął się zarysowywać w głowie Karou, ciało Haxayi – a raczej ciało Ten tymczasowo zamieszkane przez duszę Haxayi – stało się inspiracją, ale nawet przez moment nie brała pod uwagę włączenia jej do akcji. Zebrała jej duszę i pomyślała, że później się zastanowi, co z nią zrobić. Jej kadzielnica była niewielka, więc przypięła ją do paska i przed odlotem z jaskiń zapomniała odłożyć wraz z innymi. Szczęśliwy przypadek? Los? Kto wie.

W każdym razie po tym, jak Karou wyczuła u Esther negatywne wibracje, postanowiła dać lisicy szansę odpokutowania.

Mieli nadzieję, że obejdzie się bez niej. Nawet kiedy wślizgiwali się przez okno i cztery cienie, a nie trzy, padły na księżycowy dywanik i podzieliły go, liczyli, że zrealizują podstawową wersję planu. Nie udało się.

Nie byli na tyle naiwni, żeby przychodzić bez tajnej broni.

„Czy możemy jej ufać?”, zastanawiali się wszyscy troje. Ale ponieważ mieli przy sobie tylko jej duszę, była jedyną kandydatką.

„To sprawa osobista”, Akiva powtórzył słowa Liraz. Chodziło o bitwę pod Savvath i to, co Liraz tam zrobiła. Coś, co zasłużyło na tak okrutną zemstę. Stwierdzili, że Haxaya doceni powagę ich misji, zrozumie, jaka jest stawka i ofiarnie odegra swoją rolę. I wydawało się, że dobrze jej idzie. No, nie licząc zabronionego rozlewu krwi, ale kto wie, może i było to dobrze pomyślane. Jael klęczał blady jak ściana, oczy miał wytrzeszczone i głos mu drżał, kiedy wydawał rozkaz odłożenia broni.

– Rozejdźcie się – dodał Akiva, a oni posłusznie poszli pod ściany. Trudno ich było traktować jak jednostki myślące i posiadające duszę. Karou popatrzyła na nich i jednak próbowała sobie wyobrazić, jacy są naprawdę, jakimi byliby obywatelami jej świata, oni, stworzeni i wyszkoleni do walki. Którzy, być może – jeśli mógł Akiva i Liraz! – mogliby się odtworzyć i odszkolić.

Ne wiedziała tego. Jeszcze nie. Mogła mieć tylko nadzieję, że dadzą się zmienić.

Dla Jaela nie było ratunku. On nie będzie częścią przyszłości, jaką budowali. Akiva się do niego zbliżył. Karou, z obnażonymi ostrzami, strzegła jego prawego boku, a Virko lewego. Już prawie koniec.

– Posłuchajcie mnie – zwrócił się Akiva do żołnierzy. – Epoka wojen dobiegła końca. Tych,

którzy wrócą i nie będą rozlewać krwi, czeka ulaskawienie. – Mówił, jakby miał moc składania takich obietnic i chociaż Karou dobrze wiedziała, że sami nie mogą być niczego pewni, wierzyła mu. Czy uwierzyło Dominionum? Nie umiała stwierdzić. Nauczono ich milczenia. Jaela uciszył nóż Haxayi. Tylko Razgut gadał.

– Epoka wojen? – przedrzeźniał. Siedział na skraju łóżka. Jedna z bezwładnych nóg dyndała w powietrzu. Był kaleką. Oko, w które uderzyła go Karou, zamknęło się i spuchło, ale to drugie wydawało się nawet ładne. Choć szalone. I bardzo czarne. – Myślisz, że ty możesz nakazać koniec epoki? – warknął. – Zostałeś wybrany ze wszystkich ludzi? Ty klęczałeś przed mędrkami i oddałeś swoją animę na pastwę ich zręcznych palców? Ty topiłeś gwiazdy jak niemowlęta w kąpielu? Ja zakończyłem Pierwszy Wiek i ja zakończę Drugi.

To powiedziawszy, wyciągnął nóż, którego żadne z nich wcześniej nie widziało i rzucił w Akivę. Nie poruszyli się. Nie zdążyli.

Ręka Karou wystrzeliła za późno. Liczyła, że złapie nóż w locie, a przynajmniej zmieni jego kierunek, ale był szybszy.

Virko, który stał po drugiej stronie też nie dał rady zareagować.

Akiva ani drgnął.

A Razgut trafił w cel.

Ostrze. Karou zobaczyła je kątem oka. Jej ręka nie zdołała go powstrzymać, a ona nie odwróciła się dość szybko, żeby patrzeć, jak wchodzi w serce Akivy. Serce, do którego przyciskała dłoń i policzek, ale jeszcze nie serce i pierś. Nie dotknęła ustami jego ust, ani swoim życiem jego życia. Jeszcze nie. Serce, które wprawiało w ruch jego krew i które stało się połową jej serca. Widziała tylko kątem oka, ale to wystarczyło. Widziała.

Nóż przebił serce Akivy.

Na ostrzu noża

Łód, koniec. Błyskawiczne zlodowacenie. Niewyobrażalne. Prawdziwe.

Całe istnienie może zmienić się w głos. Z prędkością, z jaką się obraca mknący w powietrzu nóż. Tak się stało z Karou. W tej chwili nie składała się z ciała i krwi, była tylko wdechem zmieniającym się w krzyk, który mógł się już nigdy nie skończyć.

Argumenty

Konający anioł we mgle. Dawno, dawno temu.

I diablica, która powinna była go wykończyć bez sekundy wahania.

Ale tego nie zrobiła. A gdyby jednak? Karou analizowała to na sto różnych sposobów. Kiedyś nawet żałowała, że tak się nie stało, wtedy, w kasbie, pogrążona w najczarniejszej żałobie. Jedyne, co wtedy widziała, to rzeź, jaką umożliwiła jej litość sprzed lat.

Gdyby tamtego dnia zabiła Akivę albo przynajmniej go zostawiła, żeby umarł, wojna toczyłaby się dalej. Kolejne tysiąc lat? Może. Ale go nie zabiła i tak się nie stało. „Epoka wojen dobiegła końca”, ogłosił przed chwilą i chociaż widziała, co się potem stało i cała zamieniła się w krzyk, jej serce nie chciało się z tym pogodzić. Epoka wojen dobiegła końca i Akiva nie zginie.

Ostrze przeszło serce.

Ale ten krzyk się nie zrodził. Rozległ się inny, ale dziwny dźwięk. Ułamek sekundy po tym, jak nóż wszedł w serce Akivy, usłyszeli... stuk. Karou już zdążyła odwrócić głowę, a jej oczy wykonały szalony taniec, usiłując pojąć, co widzą.

Obok niej stał Akiva, nieporuszony.

Nie zachwiał się, nie pociekła krew, nóż nie sterczał z jego piersi. Mrugała jak opętana, ale nie tylko ona, chociaż nikt poza nią nie doświadczył rozpacz, która ją rozszarpywała sekundę wcześniej i radości, która nią zawładnęła zaraz potem, na widok noża wbitego w ścianę. Nikt oprócz niej nie poczuł też smaku cudu, który miała w ustach, gdy zorientowała się, co się właśnie stało. Ale nawet oni doznawali podobnych emocji.

Pierwsza odezwała się Haxaya:

– Niewidzialny dla śmierci... – mruknęła, bo co do tego nikt nie miał wątpliwości. Przecież Akiva ani drgnął, a trajektoria noża była ewidentna.

Patrzył Karou w oczy. Widziała, że jest oszołomiony i trochę przerażony. Chciała go zapytać, jak to zrobił. Bo przecież to on. Nikt, nawet on sam, nie wiedział, do czego jest zdolny.

Razgut opadł na łóżko, zawodząc i okładając się pięściami po twarzy. Dwa susy i do niego doskoczyła. Ściągnęła go na podłogę i sprawdziła, czy w pościeli nie ma więcej broni. Upadły nawet nie zauważył jej obecności.

Żołnierze Dominium byli czujni, ale wstrząśnięci obecnością Akivy i Karou nie przypuszczała, żeby musiała się martwić atakiem z ich strony. Ale to nie wystarczyło, żeby się odprężyć. Życie Akivy w mgnieniu oka się skończyło i rozpoczęło się na nowo. Chciała już stąd iść, ale zostało im jeszcze zaprezentowanie argumentów. W całej ich prostocie.

Przecież po to przylecieli.

Raz jeszcze Akiva stanął twarzą w twarz z wujem. Jael milczał, twarz miał ściągniętą i pobladałą, a jego obrzydliwe usta drżały. W zetknięciu z taką mocą nie miał już nawet odwagi szyderczo się uśmiechać.

Akiva nie wyciągnął mieczy, więc miał wolne ręce. Podszedł do wuja i położył mu dłoń na piersi. Gest wyglądał na niemal przyjazny i oczy Jaela ruszały się jak na szypułkach, to w jedną, to w drugą, kiedy usiłował się zorientować, co się dzieje. Dowiedział się bardzo szybko.

Karou obserwowała dłoń Akivy i przypominała sobie tę chwilę w Paryżu, kiedy przyszła do drzwi Brimstone'a, kompletnie wykończona po ciągnięciu przez pół miasta ciosów słońca i po raz pierwszy zobaczyła odcisk dłoni wypalony na drzwiach. Kiedy przesunęła po nim palcem, na ziemię spadł popiół. Pamiętała też Kishmisha, osmalonego i konającego w jej dłoniach. Jego serce, które najpierw się tłukło w panice, zwalniało, aż całkiem się zatrzymało. Dźwięk syren straży pożarnej, który wyrwał ją z rozpacz. Potem bieg z mieszkania do drzwi Brimstone'a, żeby zastać je w ogniu. Niebieskim, piekielnym ogniu, w którym widać było kształt skrzydeł.

Dokładnie w tej samej chwili płonęły w tym nienaturalnym ogniu dziesiątki innych drzwi naznaczonych czarnymi dłońmi.

Dzieło Akivy. Wszyscy serafini byli istotami ognia, ale podpalanie śladów dłoni na odległość to jego wynalazek. Dzięki temu mógł bez ostrzeżenia podpalić wszystkie drzwi do świata Brimstone'a, jednocześnie odcinając mu drogę ucieczki.

Na widok pokrytej pęcherzami skóry na piersi Ten, tam gdzie Liraz odcisnęła dłoń, od razu o tym pomyślała.

Spod ręki Akivy wydostał się dym. Jael wcześniej poczuł smród niż temperaturę. Choć może i nie, bo nie miał zbroi, tylko strój paradny, którym zamierzał podbić serce ludzkości. W każdym razie Karou widziała w jego jaśniejących oczach, że zrozumiał. Zaczął się w panice miotać, żeby się uwolnić. Miała nadzieję, że Haxaya nie poderżnie mu przez przypadek gardła.

Zawył rozpaczliwie. Akiva się cofnął, a Karou zobaczyła znak, cuchnący i zwęglony. Czarne płyty już zaczynały odpadać i odsłaniać surowe mięso pod spodem. Odcisk dłoni wypalony w ciele.

Argument.

– Wracaj do domu – polecił Akiva. – Albo podpalę ten znak. Gdziekolwiek polecisz, znajdę cię. Odległość nie będzie miała znaczenia. Jeśli nie zrobisz tego, co mówię, spłoniesz. Nie zostanie po tobie nawet garstka popiołu.

Haxaya puściła Jaela i odsunęła się. Nóż nie był już potrzebny, więc wytarła go do czysta w biały rękaw imperatora. Jael upadł na posadzkę, jakby nogi nie dawały już rady go utrzymać, a na jego twarzy zastygł wyraz bólu, wściekłości i bezradności. Analizował sytuację, w jakiej się znalazł i myślał o tym, co stracił.

– A wtedy co? – wypalił w końcu. – Jak już wrócę do Eretz naznaczony przez ciebie? Spalisz mnie tam? Czemu mam robić, co każesz mi teraz?

Akiva odpowiedział spokojnie.

– Daję ci słowo. Zrób to. Wracaj do domu. Zabierz ze sobą armię i nic ponad to. Nie rób zamieszania. Odleć, a ja nigdy nie podpalę tego znaku. Obiecuję ci to.

Jael parsknął z niedowierzaniem.

– Obiecujesz? Darujesz mi życie, tak po prostu?

Karou obserwowała Akivę. Zachował kamienny spokój odkąd Jael wpadł do sali, zdołał w sobie stłumić pokłady żywionej do niego nienawiści.

– Tego nie powiedziałem.

Myślał o Hazaelu? Czy o Festival? A może o przyszłości, której starali się uniknąć? Tej, w której ludzka broń zmieniałaby Eretz w miejsce jeszcze brutalniejsze, niż ktokolwiek mógł przypuszczać?

– Nie spalę cię. – Pozwolił, żeby to, co myśli o wuju, odmalowało się na jego twarzy. – To moja jedyna obietnica. Nie oznacza, że będziesz żył. – Dał wyobraźni Jaela pole do popisu. – Może dostaniesz szansę. – Lekki uśmiezek. – Może zauważysz, że się zbliżam. – Cisza zawisała w powietrzu, a on nie śpieszył się, żeby ją przerwać. Nagle ni z tego, ni z owego zniknął. – Ale nie sądzę.

Karou poszła za jego przykładem i też zniknęła. Virko i Haxaya rozmyli się w powietrzu sekundę później, kiedy Akiva objął ich swoim czarem. Jael i żołnierze Dominionium obserwowali cienie zbliżające się do okna, które po chwili zniknęły i nie było już nic poza urywanym, ciężkim oddechem imperatora, łkaniem oszalałego potwora i dwiema dziesiątkami żołnierzy, którzy nie mieli pojęcia, co ze sobą począć.

Wybrani

Był jednym z dwanaściorga, wtedy, Dawno Temu, i opromieniła go chwała.

Ona została wybrana jako jedna z dwanaściorga. Tak, chwała, wiadomo...

Byli jednymi z tysięcy; kandydaci przybywali z każdego zakątka, młodzi i pełni nadziei. Dumni i wyposażeni w marzenia. Piękni i tacy silni. We wszystkich barwach, od najjaśniejszej perły do najczarniejszego gagatu. Poza tym czerwienie, kremy, brązy, a nawet – z Usko Remarroth, gdzie zawsze panował zmierzch – niebieskości. Tacy byli wówczas serafini. Największa na świecie różnorodność. Jak klejnoty wysypane na arras. Niektórzy przybywali w okryciach z piór, inni w jedwabiu, jedni w ciemnych metalach, kolejni w skórze. Mieli na sobie złoto lub tatuaże. Włosy splecione w warkocze lub rozpuszczone w burze loków, złote, czarne lub zielone, a nawet przycięte tuż przy skórze na kształt płomienia.

Razgut nie rzucił się w oczy. Ani ze względu na strój – ładny, ale nudny – ani na kolor, który aż do tego dnia nie wydawał mu się nigdy tak ponury. Jego skóra miała odcień średniociemnego beżu, a włosy i oczy miał brązowe. Oczywiście, wówczas był piękny, ale po prostu taki jak wszyscy. Jednak nikt nie zniewalał aż tak jak Elazael.

Przybyła z Chavisaery, ojczyzny najciemniejszych serafinów. Skórę miała czarną jak skrzydło kruka w mroku słonecznego zaćmienia, a włosy gładkie, w kolorze wschodzącego na różowo słońca, opadające jasnymi wstęgami na ciemne ramiona. Na każdym policzku wymalowała biały pasek, nad każdym okiem kropkę, a jej oczy! Brązowe, nie czarne, jaśniejsze niż reszta ciała i niepokojące. No i białka. Nie spadł jeszcze śnieg tak biały jak białka oczu Elazael.

Każde z plemion przysłało najlepszych spośród siebie.

Wszystkie z wyjątkiem jednego. Kogoś brakowało w tym tłumie. Wśród najświetlejszej młodzieży ich świata zabrakło płomiennych oczu. Stelanie sprzeciwiali się eliminacjom i ich przyczynie, ale nikt się tym nie przejmował. Jeszcze nie. Tego dnia całkiem o nich zapomniano, wyparto ich istnienie. A wręcz odrzucono.

Później miało się to zmienić.

O, gwiazdne bóstwa, jak bardzo miało się zmienić.

Tylko mędrzy wiedzieli, czego szukają, ale nie chcieli zdradzić. Ich decyzje owiane były tajemnicą. Z dnia na dzień zostawało coraz mniej kandydatów. Nadzieja, duma i marzenia wracały tam, skąd przybyły. Dla nich zabrakło chwały. Ale ktoś przecież został. Ci rośli w siłę, podczas gdy inni odpadali i wreszcie zostało ich przed obliczem mędrców dwanaścioro. A mędrzy wreszcie się uśmiechnęli.

Tego dnia dwunastu wybranych pożegnało się z życiem, jakie dotąd wiedli. Zostali Posłannikami, pierwszymi i jedynymi. Podzielono ich na dwa sześciuosobowe zespoły, które miały polecieć w dwie różne strony. Zostali przeszkoleni na okoliczność tego, co mogło ich czekać i po tym treningu nie byli już tymi samymi osobami. Zrobiono im... pewne rzeczy. Ich animom. Ich absolutnym, bezcielesnym jaźniom, dla których ciało jest jedynie wizerunkiem zawieszonym w przestrzeni. Mędrzy grzebali i zgłębiali i z każdego Posłannika zrobili kogoś nowego. Pasowało, jako że także dzieło było nowe i wielkie.

Posłannicy mieli być odkrywcami, nieść światło swoich przodków, podróżować po wszystkich warstwach Kontinuum, czyli najwyższego Wszystkiego. Mędrzec Regent Kolegium Kosmologii wyjaśnił im:

– Wszechświaty układają się jeden na drugim jak karty książki. Jednak w Kontinuum każda z kart jest nieskończona, a książka nie ma końca. – Oznaczało to, że każda ze stron ciągnie się w nieskończoność w płaszczyźnie poziomej. Nie można dotrzeć do krańca wszechświata. Bo nie miał końca. Odkrywca podróżujący równoległe do płaszczyzny mógł lecieć w nieskończoność i nigdy nie natknąć się na żaden kres. Planety i gwiazdy, tak, zdarzały się, światy i próżnie też, raz za razem, ale nie było granic. Nic, co można by przekroczyć.

Trzeba więc się było przebić w dół albo w górę. Lecieć nie równoległe do stronicy, tylko przelecieć przez nią na wylot. Tak jakby ostry koniuszek pióra przedziurawił kartę i napisał coś na następnej. Po tysiącach lat studiów mędrzy nauczyli się, jak to zrobić i na tym polegała praca z Posłannikami: przedzierać się na przestrzał i zostawiać podpis oraz potomków rasy w każdym nowym świecie, jaki napotkają.

Jedna Szóstka podąży w jedną stronę, druga w przeciwną. Przez resztę ich życia odległość między zespołami będzie się zwiększać, aż osiągnie maksimum, jakie nigdy przedtem nie dzieliło przedstawicieli jakiegokolwiek rasy. Będzie to szczyt możliwości starego świata: przenikną ogrom najwyższego Wszystkiego i zepną całe Kontinuum swoim światłem. Otworzą drzwi i będą parli naprzód, wszechświatem przez wszechświat do następnego wszechświata. Żeby je poznać, a tym samym w jakiś sposób osiąść.

Członkowie Szóstek będą dla siebie wszystkim: towarzyszami, rodziną, obrońcami, przyjaciółmi i kochankami. Oprócz zadania zasadniczego, powołano ich też do zostawiania dziedziców wiedzy. Każdy zespół składał się z trzech mężczyzn i trzech kobiet, w ten sposób mędrzy zadbali o realizację zadania dodatkowego: płodzenia, ale nie „dzieci”, a „dziedziców wiedzy”.

Mieli zapoczątkować plemię. Nikt nigdy czegoś takiego nie zrobił. Elazael i Razgut trafili do tej samej Szóstki, a oprócz nich Iaoth i Dvira oraz Kleos i Arieth. Wyznaczono im kierunek podróży. Nocą paliło się oślepiające światło, żeby zwrócić na nich uwagę gwiazdnych bóstw. Podjęli to wielkie wyzwanie na chwałę serafinów. Dla nich rozłożyli skrzydła, których widoku nikt nie zapomni, ich odlot miał się odbić echem w czasie. A później, w przyszłości tak odległej, że niewyobrażalnej, oni albo ich potomkowie powrócą do domu. Do Meliz.

Meliz, pierwsze i ostatnie, Meliz wieczne. Ojczyzna serafinów.

Zostaną zapamiętani na zawsze. Czczeni. Staną się bohaterami swoich współbraci. Tymi, którzy otworzyli drzwi i zanieśli światło pogrążonym w ciemności. Chwała przyćmi wszystko.

O krnąbrny losie! O żałości! Śmiech, który kąsa jak paszcza pełna zębów. Nie tak się stało. Nie, nie, nie i nie, na zawsze.

Wydarzył się Kataklyzm.

To ten sen. Po prostu, zwyczajnie i straszliwie.

„Patrz na niebo”.

„Stanie się?”

„Nie może. Nie wolno”.

Ale się stało.

Nie każda warstwa Kontinuum była gotowa na otwarcie drzwi i nie każdy z nieskończonych światów z wdzięcznością powitał światło. O tym, ku swej wielkiej rozpaczy, przekonali się Posłannicy.

Istniała ciemność nienazwana, w której pływały potwory wielkie jak światy.

Wpuściły ich. Razguta i Elazael, Iaotha i Dvirę oraz Kleosa i Arieth. Ale oni tego nie chcieli. To nie była ich wina.

Tylko że niestety ich. Przecież oni wycięli to przejście, o jedno za dużo.

Ale skąd mieli wiedzieć?

Stelianie ostrzegali...

Ale skąd mieli wiedzieć, że trzeba słuchać Stelian? Za bardzo byli zajęci byciem Wybranymi. Chwało, och!

Och, nędzo...

Ile przejść zdołali wyciąć do tamtej pory? Ile światów „spięli swoim światłem”? Ile zostawili bez ochrony, otwartych dla Potworów, kiedy tak pędzili i uciekali, z jednego świata przez drugi? Zamykali za sobą każde przejście, kiedy w panice i rozpaczycy mknęli do Meliz i za każdym razem widzieli, jak Potwory rozrywają portal i ich gonią. Nie potrafili ich powstrzymać. Nie nauczono ich, jak to robić i dlatego, w świecie za światem, na stronie za stroną w księżde, która wyobrażała najwyższe Wszystko, zapadła ciemność. Zaczęło się pożeranie.

Nigdy, specjalnie czy przez przypadek, nie uczyniono nic gorszego. Nigdy w czasie, nigdzie w przestrzeni. I oni byli temu winni.

Aż w końcu nie było już żadnych światów między Katakлизmem i Meliz. Meliz pierwszym i ostatnim, Meliz wiecznym. Posłannicy wrócili do domu, a potwory wpadły za nimi.

I pożarły świat.

O wiele więcej niż ocalenie

Eliza się obudziła, ale od razu się zorientowała, że wciąż śni. Znalazła się bardzo głęboko, miała tego świadomość, i na powierzchnię musiała się wydostawać przez całe pokłady snów, tak jakby wygrzebywała się z głębi ziemi, z jednej z tych otwartych kopalni, które sprawiają, że piekło wydaje się istnieć naprawdę. Każda zaliczona warstwa zbliżała ją do przebudzenia.

A jednak to też musiał być sen, choćby dlatego, że stał w zupełnej sprzeczności z rzeczywistością.

Siedziała bowiem na schodku. To przynajmniej wydawało się dość realne. Obok niej siedziała dziewczynka: mała, ale nie dziecko. Nastolatka, śliczna jak laleczka, z wytrzeszczonymi oczami. I wpatrywała się w nią.

Z głośnym gulgotem przełknęła ślinę i odezwała się niepewnym, starannie akcentowanym

angielskim:

– Mhm. Przepraszam. Albo... nie ma za co? Nie wiem, jak się na to zapatrujesz.

– Przepraszam? – powtórzyła Eliza. Miało to brzmieć jak krótsza wersja „Ale za co przepraszasz?”, jednak dziewczyna potraktowała to jako odpowiedź na swoje pytanie.

– W takim razie przepraszam. – Posmutniała. Oczy wciąż miała wytrzeszczone i nie mrugała. Eliza zerknęła na młodego mężczyznę, który siedział obok niej. W jego oczach zauważyła takie samo zdumienie.

– Nie chcieliśmy – odezwał się. – Nie wiedzieliśmy, że... Stanie się coś takiego. One po prostu... wyrosły.

Miał na myśli skrzydła. Skrzydła ze snu wyrastające z łopatek Elizy. Kiedy się obudziła – jeśli przebudzeniem można było nazwać ten krótki moment między jednym snem a drugim, chociaż chyba nie, jak jej się zdawało – uświadomiła sobie zmianę, jaka w niej zaszła. Nie musiała szukać potwierdzenia i nie była też zdziwiona, no wiecie, jak to zwykle bywa w snach. A jednak teraz odwróciła głowę, żeby zobaczyć to, co już wiedziała.

Skrzydła z żywego ognia. Poruszyła nowymi mięśniami w ramionach i skrzydła zareagowały, rozsypując wokół przesłiczny deszcz iskier. Eliza nigdy wcześniej nie widziała czegoś tak pięknego. Zachwytyt rozkwitał w niej jak kwiat.

Nie była przyzwyczajona do tak przyjemnych snów.

– Przepraszam za koszulkę – dodała dziewczyna.

Najpierw Eliza nie wiedziała, o co chodzi, ale zaraz się zorientowała, że z ramion zwisają jej strzępy bluzki. Pewnie poszarpały ją skrzydła, kiedy wyrastały. Wydawało się to naturalne, gdyby nie jedno: w śnie nie powinny się pojawiać takie szczegóły.

– Jak się czujesz? – spytał troskliwie młody człowiek. – Jesteś... z powrotem?

Z powrotem? Ale gdzie? Ostatnie wspomnienie... Samochód, Maroko, poniżenie.

Rozejrzała się. Zaulek, w którym siedzieli, równie dobrze mógł być fragmentem scenografii filmowej. Kocie łby i marmur, doniczki obowiązkowego czerwonego geranium na parapecie. Sznurki do suszenia prania rozciągnięte nad ich głowami. Wszystko wkoło podszeptywało „Włochy” tak samo wyraźnie, jak widok z samolotu lecącego nad pustynią podpowiadał „na pewno nie Włochy”. Starszy pan w spodniach na szelkach oparł się ciężko na lasce i zmarł. Gapił się na nią jak wycięta z kartonu postać.

Podejrzanie, że to jednak nie sen, przypominało początkowo bardzo subtelne mrowienie. Rączkę laski ochraniała srebrna folia izolacyjna. Jedno geranium całkiem wyschło, a wkoło było trochę brudno i głośno. Ciche trąbienie, krótka awantura psów, a ponad tym jakieś stłumione buczenie: dźwięk głosów dochodzących z pewnego oddalenia. Znój i zgiełk świata we śnie? Wtedy Eliza zaczęła rozumieć.

Ale żeby zrozumieć do końca, musiała się wsłuchać w swoje wnętrze.

To wrażenie, że coś w niej buzuje, zniknęło. Sprawy znane i pogrzebane nie próbowały się już wydostać na powierzchnię. Chwilę zajęło jej zrozumienie, dlaczego, choć odpowiedź była

tak prosta. Nie były już pogrzebane.

Zostały odkopane na nowo.

Eliza zrozumiała, kim jest. To zrozumienie można było porównać do filmu odtwarzanego od końca: koszmarny bałagan podrywa się z podłogi i wlatuje na stół, by spocząć w nienagannym porządku. Kałuże herbaty w locie wlewają się do filiżanek, które grzecznie lądują na tacy. Książki trzepoczą okładkami jak skrzydłami i równo ustawiają się na półkach.

Z szaleństwa rodzi się ład.

Odnalazła wszystko i chociaż wciąż było to straszliwe – i straszliwe, i straszliwe – ale już spokojne i jej własne. Została ocalona.

– Co mi zrobiliście? – spytała.

– No właśnie nie wiemy – dziewczyna odparła zatroskana. – Nie wiedzieliśmy, co ci dolega, więc wypowiedzieliśmy dość ogólne życzenie i liczyliśmy, że magia będzie wiedziała, co z tym zrobić.

Magia? Życzenie?

– Ja wiem, co mi dolegało – oznajmiła Eliza i olśniło ją, że naprawdę rozumie. Istniało wytłumaczenie i to wcale nie takie, że była wcieleniem anielicy Elazael.

Euforia i tragedia zwały się w nowe uczucie, którego jeszcze nie nazwała. Jeszcze nie umiała się zachować w tej sytuacji. Wiedziała, co z nią było nie tak. I okazało się, że wcale nie to, czego się najbardziej bała.

– To nie byłam ja – powiedziała na głos i to była ta część euforyczna. Poczucie winy ze snu nie należało do niej i nigdy nie będzie jej.

Ale Kataklizm wydarzył się naprawdę. Teraz to rozumiała i to była tragedia.

Złapała się za głowę i poczuła pod palcami znajome ciało – „Jestem mną, Elizą” – ale w jej wnętrzu ona i to coś wspólnie badali nowe, rozległe przestrzenie.

Młody mężczyzna i młoda kobieta patrzyli na nią ze zmarszczonymi brwiami. Pewnie się zastanawiali, czy przypadkiem nie jest jeszcze bardziej szalona niż wcześniej. Ale nie. To wiedziała na pewno. Jej mózg, ciało i skrzydła były do siebie perfekcyjnie dopasowane, jak jedno z doskonałych dzieł natury. Podwójna helisa. Galaktyka. Plaster miodu. Istoty tak niebywale i tak zdumiewające, że można by się aż pokusić o wizję Dzieła Stworzenia obdarzonego wolą i inteligencją.

Ale nie, tak nie było.

Nie chodzi o to, że rozumiała. Nikt nigdy nie zrozumie. Ale... przynajmniej znała źródło.

Wszystkiego.

Znajdowało się wśród rzeczy znanych i odgrzebanych. Wszystkie one były teraz częścią niej, uporządkowane i posplatane z sobą. Tak piękne, że miała ochotę je czcić, chociaż dobrze wiedziała, że nie miały świadomości. Miałoby to taki sam sens jak oddawanie czci wiatrowi. Wiedziała już, że magia i nauka to awers i rewers tej samej lśniącej monety.

Patrzyła na Czas, który się przed nią otworzył, rozpiął się jak łańcuch DNA. Poznawalny. A

może nawet umożliwiającą podróżowanie w nim.

Jej umysł drżał na skraju tego nowego ogromu. Kilka chwil temu myślała, że została uratowana. Teraz zrozumiała, że to nie tylko ocalenie. To o wiele, wiele więcej.

– No a teraz – nie chciała się rozplakać, tylko obdarzyć swoich wybawicieli największym ciepłem, jakie potrafiła z siebie wykrzesać – powiedzcie, kim jesteście?

Deszcz iskier

Po wydostaniu się z Pałacu Apostolskiego Karou leciała za Akivą. Oboje byli niewidzialni, więc zbliżyła się do niego nieporadnie. Ale trwało to tylko przez kilka pierwszych sekund.

Nie planowała tego. Chociaż nie można też powiedzieć, że to był wypadek. Przecież nie zderzyli się twarzami. Tyle tylko, że ciało wyrwało się, zanim mózg zdołał zaakceptować plan.

Wiedziała, gdzie on jest, bo wydzielał ciepło i czuła ruch powietrza. Miała polecieć za nim na kopułę Bazyliki św. Piotra. Stamtąd zamierzali obserwować odlot Jaela i pod osłoną czaru niewidzialności eskortować Dominium aż do przejścia nad Uzbekistanem i dalej do Eretz.

Ale Karou nie otrząsnęła się jeszcze z wizji noża Razguta i wciąż słyszała krzyk, którym prawie się stała. Nie widziała Akivy, nie mogła się upewnić, że nic mu nie jest, więc nie mogła też złapać tchu. Jeszcze nie mieli czego świętować. No, poza tym, że żyli. I nic więcej jej nie interesowało, kiedy do niego podlatywała. Znajdowali się akurat nad placem. Łuk kolumnady autorstwa Michała Anioła rozkładał się pod nimi jak otwarte ramiona.

Złapała powietrze w miejscu, gdzie powinna być jego ręka, ale natrafiła na skrzydło. Rozsypał się deszcz iskier, a on się odwrócił, zdziwiony jej dotykiem. Nachyliła się i więcej nie było już trzeba, bo złapał ją i przyciągnął do siebie. To wystarczyło.

Magnesy na siebie trafiły i od razu złączyły się w jedno.

Odnalazła go dłońmi, a za nimi poszły usta. Niezdarnie obsypywała pocałunkami jego niewidzialną twarz. Ze zmęczenia nie trafiała w odpowiednie miejsce, całowała więc brwi, kości policzkowe, nos. Nie zwracała uwagi na reakcję jego skóry: ciepło i drżenie, nareszcie pod jej wargami.

Zsunęła rękę na jego serce, chciała się upewnić, że to nie iluzja, że naprawdę jest cały i nieuszkodzony. Był, więc zaraz jej usatysfakcjonowana dłoń wróciła do drugiej i przytrzymała jego głowę w miejscu, gdzie szyja łączy się ze szczęką, żeby spokojnie namierzyć jego usta.

Ale on nie czekał.

Jeden ruch skrzydeł i przyłgnęła do niego bliżej niż pod prysznicem. Tym razem jej twarz nie

dotykała jego piersi ani stopy ziemi.

Spletli się nogami. Przesunęła dłonią po jego szyi i wplątała ją we włosy, żeby przytrzymać jego głowę. Unosili się w powietrzu, wirowali.

Wreszcie. Wreszcie mogli się całować.

Usta Akivy były głodne, słodkie, pełne, powolne i gorące, a pocałunek długi, głęboki i taki, jaki powinien być udany pocałunek pod każdym względem z wyjątkiem jednego. Nie był nieskończony. Bo pocałunek musi się skończyć, żeby mógł się zacząć następny. Więc kończył się i zaczynał. I od nowa.

A potem znów. Karou zamknęła oczy i cała zatopiła się w jego objęciach. Odnosiła wrażenie, że nowy pocałunek zawiera w sobie poprzedni. Jak we śnie: pocałunek w pocałunku w pocałunku. Coraz głębiej i głębiej, słodziej, goręcej, bardziej uderzająco do głowy. Miała nadzieję, że wewnętrzny kompas Akivy pilnuje kierunku, bo ona kompletnie straciła poczucie przestrzeni. Nie było góry ani dołu, tylko usta, biodra, ręce...

...teraz dopiero poczuła jego ciepło. Gładkość, szorstkość, prawdziwość.

Pocałunek w locie nad placem Świętego Piotra. Brzmiało niewiarygodnie, ale jednak się działo.

Poczułi, że się uśmiechają, a potem zaczęli się śmiać. Odczuwali taką ulgę, że aż brakowało im tchu. Brakowało im też powietrza. Bo kto w takiej chwili miałby czas na oddychanie? Oparli się o siebie czołami, zetknęli się czubkami nosów i zatrzymali się na chwilę, żeby wszystko sobie jakoś poukładać. Pocałunek, oddech i to, co do tej pory zrobili.

Żołnierze patrolujący plac pod nimi szukali źródła niespodziewanego deszczu iskier, a Karou i Akiva wirowali, utrzymywani w powietrzu dzięki magii i powolnym ruchom skrzydeł. Przy sobie utrzymywało ich to przyciąganie, które poczułi w chwili pierwszego spotkania, dawno temu na polu walki.

Karou znów dotknęła jego serca, żeby jeszcze raz się przekonać.

– Jak to zrobiłeś? – spytała cicho. W głowie cały czas jej się kręciło od pocałunków.

– Nie wiem. Ja nigdy nie wiem. To po prostu przychodzi.

– Nóż przeszedł prosto przez twoje serce. Czuleś to? – Chciałaby go widzieć, ale ponieważ nie mogła, dotykała dłońmi jego twarzy, a czołem opierała się o jego czoło.

Kiwnął głową, a potem jego oddech owionął jej usta.

– Czulem i nie czulem. Nie umiem tego wyjaśnić. Byłem tam i jednocześnie mnie nie było. Widziałem, jak nóż we mnie uderzył, a potem leciał dalej.

Przez chwilę milczała, zastanawiała się.

– Czyli to prawda, co powiedział Jael? Że jesteś niewidzialny dla śmierci. Nie muszę się przejmować, że kiedyś umrzesz?

– Nie, to chyba nieprawda. – Prześledził ustami owal jej twarzy, jakby mógł ją w ten sposób zobaczyć. – Ale przecież zawsze możesz mnie wskrzesić.

Tak by się stało, gdyby Akiva umarł? A może straciliby kontrolę nad sytuacją i zostali

pokonani? Nie chciała nawet o tym myśleć.

– Pewnie – odparła z wymuszoną swobodą. – Ale nie szastajmy za bardzo tym ciałem, dobra?

– Teraz ona dotykała ustami jego twarzy. – Kocham twoją duszę, jasne, ale jej opakowanie też nie jest mi obojętne.

Powiedziała to ciszej, a i on zareagował głosem niższym i trochę chrapliwym.

– Nie będę udawał, że mi z tego powodu przykro. – Otarł się o jej twarz i pocałował miejsce pod uchem, co wywołało deszcz wyładowań elektrycznych.

Wymruczała, zaskoczona, coś, co miało brzmieć jak „O rany”, ale zabrakło „rany”, bo w tej samej chwili zobaczyła nad ramieniem Akivy wlatujących w niebo pierwszych żołnierzy Dominium. Armia Jaela wracała do nieba.

Upadli

To nie nasza wina! – wrzeszczał Razgut, gdy Posłannicy usłyszeli wyrok, ale to nie była prawda. Byli winni, a rozpacz wywołana świadomością tego wytrzebiła w nich wszelkie inne uczucia i kompletnie ich odmieniła.

Wrócili do Meliz zdruzgotani i przerażeni. Wszczęli alarm. Zostało ich już tylko czworo, bo Iaoth i Dvira zatrzymali się, żeby walczyć z Katakлизmem i zostali pożarci.

Wpadli do stolicy i wrzeszczeli: „Nadchodzą potwory! Uciekajcie! Potwory nadchodzą!”

Niektórym udało się uciec tylnymi drzwiami. Światy ułożone były warstwowo, jak stos kartek. Potwory nadchodziły z jednej strony, niszcząc wszystko, co stało na ich drodze. Ci, którzy zdołali, uciekali do świata leżącego z przeciwnej strony, do sąsiedniego Eretz. Nie było czasu na organizowanie ewakuacji. Udało się tysiącom z milionów. Nawet nie dziesięciu tysiącom. Cała reszta została.

Tylu ich, w tylu barwach! Klejnoty wysypane na arras. Największa na świecie różnorodność. Straceni.

Wielu pokonało drogę do przejścia po to tylko, żeby się nie przedostać na drugą stronę. Portal był mały. Mogły się przez niego precyzyjnie przecisnąć góra trzy anioły naraz, więc ucieczka następowała powoli, a Potwory nadchodziły. Z drugiej strony dobiegały krzyki i Razgut do dzisiaj słyszał w głowie wrzask konającego świata. Pamiętał, jak zapadła cisza i że niektórzy jeszcze wyciągali ręce po swoich ukochanych uwięzionych tutaj.

Przejście zostało zamknięte, ale przecież Posłannicy robili to już dziesiątki razy podczas odwrotu i to nigdy dotąd nie powstrzymało Potworów. Raz zadraśnięta skóra między światami

nigdy się nie goiła do końca. Mało brakowało, a ta metoda znów by zawiodła i Kataklyzm dotarłby do Eretz, na Ziemię i do pozostałych światów przez przejścia wycięte przez drugą Szóstkę. Zależy tylko, jak daleko udało im się zalecieć.

Ale Stelianom udało się uciec z Meliz i oni byli przygotowani na obcą inwazję. Od zawsze sprzeciwiali się misji Posłanników, więc przez lata, które minęły od wyruszenia obu Szóstek, udało im się coś, czego nikt inny nie umiał dokonać: spowodowali zagojenie rany, welonu, membrany, energii, skóry między warstwami najwyższego Wszystkiego. Zamknęli przejście i nie pozwolili mu się otworzyć. Eretz zostało uratowane, Ziemia także, a z nimi wszystko inne.

Zrobili to Stelianie.

A Posłanników przeklęto, okryto hańbą. I skazano na unicestwienie.

Z celi więziennej słyszeli, co zrobiono ze wspomnieniami tych, którzy uciekli. Mędrzy jeszcze się nie nauczyli, żeby się nie wtrącać bez potrzeby. Każdemu z ocalonych odebrali przeszłość, nie tylko Kataklyzm, ale i Meliz, żeby mogli zacząć od nowa. Według Razguta chodziło o to, żeby inni nie obudzili się pewnego ranka i nie zdali sobie sprawy, po czyjej stronie leżała tak naprawdę wina: że to mędrzy wymarzyli sobie Posłanników i wybrali najlepszych spośród młodych, by im powierzyć to wielkie zadanie. To także ich wina. Ale oni nie zostali ukarani. O nie, oni nie.

Iaoth i Dvira mieli szczęście: zostali pożarci, zginęli szybko.

Reszcie wyrwano skrzydła. Na początek. Nie odcięto. Wyrwano. Łamanie kości. I ból, taki ból, jakiego nie umieli sobie nawet wyobrażać. Razgut widział okaleczanie pozostałej trójki. Mocne łapy chwytające ich piękne skrzydła u podstawy i wykręcające. I ich twarze krzywiące się w nieznośnej agonii, a on to czuł. Wszyscy tak reagowali, bo tacy teraz byli, tak ich przerobiono. Zostali połączeni. Jeśli jeden cierpiał, wszyscy cierpieli. O, gwiazdne bóstwa. Zsumowane męki... Za dużo.

A i to jeszcze nie było najgorsze. Wyobrażacie sobie? To była sól nasypana na ranę, którą było wygnanie.

Chociaż może nawet i to by zniesli. Urządziliby sobie jakieś kalekie życie w nowym więzieniu, na Ziemi, ale nie. Och, rozpaczy!

Rozdzielili ich. Ich było czworo i tyle samo przejść, jakby jakiś okrutny umysł to zaplanował. Zaciągnęli ich jedno po drugim w te odległe od siebie zakątki Eretz i wyrzucili. Każde z osobna. Pozbawione skrzydeł. Z nogami zmiażdżonymi przez ciężkie buty. Cisnęli nimi do innego świata, cztery złamane istoty spadające na obcą ziemię. Rozdzielone.

Razguta przenieśli nad Zatoką Potworów. W pewien pogodny dzień. Woda była zielona, a niebo bezchmurne. Piękny dzień na agonię. Trzymając go pod pachy, zaciągnęli na skraj poszarpanego, trzepoczącego cięcia w niebie i wyrzucili. A on wypadł.

I spadał. I spadał.

Ale nie umarł, bo trwał. Kiedyś został poddany wielu próbom i przeżył chwilę chwały. Pewne rzeczy mu zrobiono i został Posłannikiem, więc miał więcej siły niż inni. Był za silny, żeby

zginąć od samego spadania, więc żył, jeśli można to nazwać życiem. Nigdy nie odnalazł pozostałych w tym świecie, do którego zostali zesłani, ale odbierał ich ból, rozpacz i poczucie winy, czuł wszystko cztery razy mocniej, aż ich więź uległa naturalnemu osłabieniu. Czuł też, jak umierali. Nie wiedział jak ani gdzie, ale rozpoznawał, które odchodziło. Odebrano mu wszystkich, którzy byli jego częścią. Kleos, Arieth i Elazael odchodzili jedno po drugim i został naprawdę sam. Mała istota unosząca się na powierzchni wielkiej nieobecności. Żył z pękniętym umysłem, wygnany przed tysiącem lat.

Och, nędzo. Och, rozpaczy. A on wciąż żył.

Może i Esther Van de Vloet straciła – tymczasowo – swoje życzenia, ale pieniądze i wpływy pozostały nietknięte. Nie umiała długo rozpaczać na posadzce łazienki. Wykonała kilka telefonów, w Internecie znalazła zdjęcia tej hołoty – bez problemu, co za idioci, żadnego poszanowania dla prywatności – i przesłała je mailem, ale nie na policję, która miała i tak dość pracy z pilnowaniem, żeby nie rozpętało się piekło, tylko do pewnej prywatnej firmy, która знаła jej reputację na tyle dobrze, żeby z jednej strony się ucieszyć, a z drugiej przerazić.

– Są w Rzymie – oznajmiła. – Znajdźcie ich. Wynagrodzenie w dwóch ratach. Pierwsza: milion euro. Spodziewam się, że wystarczy? – Oczywiście, zapewnili, oszołomieni aż tak wielką kwotą, ale bardziej przerażeni tym, co jak przeczuwali, miało się zdarzyć później: – Jeśli wam się uda – kontynuowała Esther – nie zniszczę was.

To powiedziawszy, zaczęła krążyć. Czekanie było dobre dla żon marynarzy, ona nim gardziła. Traveller i Methuselah ustępowali jej z drogi, skołowani i odrzuceni. Zasłony były wciąż rozsunięte, ale nie dlatego że Esther się przejmowała niebem, po prostu nikt ich nie zasłonił. Krocząc tam i z powrotem, mijala okno, ale ani razu w nie nie spojrzala. Głowę by dała, że emanuje wściekłością jak fluorescencyjnym światłem. Została okradziona, ogołocona. Nie dostrzegła w tej sytuacji ani śladu ironii losu. Czuła tylko furję: rozdygotaną, oślepiającą, gotową do wypowiedzenia wojny.

Bóg jeden wie, ile razy przemaszerowała obok okna, zanim wreszcie zauważyła zamieszanie na niebie. Wtedy jej nastrój zmienił się z fatalnego na wręcz koszmarny.

Pojawili się aniołowie

Ulica pod nią wypełniła się wrzaskiem. Esther szarpnęła szklane drzwi i wypadła na balkon.

– Nie... – Czuła w głębi siebie głos, jęk, który wzbierał, rozwijał się i wydostawał na zewnątrz, kawałek po kawałku, materializując się w postaci wciąż tego samego słowa: „Nie, nie, nie”. Słowo jak obdarty ze skóry kawałek mięsa.

Anioły odlatywały?

A co z nią? Co z umową? Dała im Karou i obietnicę, że dostaną znacznie więcej. Wszystko, czego potrzebowali, żeby podbić świat znajdujący się za membraną nieba. Broń, amunicję, technologię, a nawet ludzi. I o co prosiła w zamian?

O niewiele. Tylko o wyłączne prawo do eksploatacji złóż. Na całym tamtym świecie.

Nieodkrytym świecie wyposażonym od ręki w populację niewolników oraz armię, strzegącą jej interesów. Esther upewniła się, że nie będzie miała konkurencji i inna propozycja nie dotrze do aniołów. Żadna łapówka nie zdoła przebić jej oferty. Przeprowadziła negocjacje wszech czasów. Ale ustalenia okazały się, jak widać, nieaktualne. Esther Van de Vloet mogła tylko patrzeć, drżąc i nie mogąc wydobyć z siebie ani słowa, jak odlatywali.

„Niewiele”, odpowiedziała jej Karou wymijająco. „Przekonamy ich, żeby wrócili do domu”.

Czyli chyba przekonali...

Niebo znów było puste. Esther dopadła do telewizora i razem z resztą świata śledziła przekaz z helikoptera. „Niebiańscy goście” odbywali podróż powrotną do Uzbekistanu, skąd przybyli trzy dni wcześniej.

– Zdaje się, że Przybysze nas opuszczają – zauważali co przytomniejsi komentatorzy telewizyjni, ale przytomność nie była tego dnia górą. „Porzucają nas”, ten refren przewijał się wszędzie. Takiego rozwoju wypadków nikt się nie spodziewał. Gdy tylko anioły pojawiły się na niebie, zgromadzone wokół Watykanu tłumy przestały śpiewać i zaczęły krzyczeć i wiwatować w ekstazie. Gdy lud się zorientował, że anioły ustawione w równym szyku zbierają się do odlotu, okrzyki umilkły i rozpoczął się lament.

Papież był nieuchwytny.

Telefon Esther zadzwonił w momencie, gdy przekroczyła już granice furii i znalazła się w zupełnie nowym, pełnym echa miejscu rozświetlonym białym światłem. Czowała, że to ostatni przystanek przed całkowitym szaleństwem. Była tak blisko władzy i straciła ją tuż przed schwytaniem w dłoń... Dźwięk telefonu zadziałał jak wyrwijące z zamyślenia pstryknięcie palców.

– Tak? Czego? Halo? – odebrała zdezorientowana. Nie wiedziała nawet, kogo się spodziewać.

Pewnie to ktoś z agencji, którą zatrudniła do szukania złodziei życzeń. Na to liczyła. Anioły odleciały. Esther przegrała i nie była na tyle głupia, żeby nie rozumieć, że to na zawsze. Kiedy więc na drugim końcu linii odezwał się Spivetti – służący, który na polecenie kardynała Schotte działał w jej imieniu w Pałacu Apostolskim – zapłonęła w niej nadzieja. Na wybawienie.

– O co chodzi? – dopytywała. – Co się stało, Spivetti? Czemu odlatują?

– Nie wiem – odparł. Był roztrzęsiony. – Ale coś zostawili.

– Co takiego? Mów!

– Nie wiem... – Przeżył szok, ale gdyby Esther zażądała, mógłby jej podać szczątkowy opis tego czegoś. Ale nie chciała. Gnana chciwością pędziła już do drzwi.

Dotarcie do Watykanu zajęło jej kilka godzin. Brnęła przez rozedrgany, cuchnący, zawodzący tłum i mijala kolejne bramki pilnowane przez wojsko. Godziny drogi, dziesiątki telefonów, przysługi wypłacane z góry albo tylko obiecywane, a kiedy wreszcie dotarła na miejsce, rozczochrana i z dzikimi oczami, przerażone spojrzenie Spivettiego poczytała za reakcję na jej stan. Tymczasem on był wstrząśnięty już od kilku godzin i pozostał w tym stanie

jeszcze przez parę następnych po jej wyjściu.

– Zaprowadź mnie tam – warknęła.

W ten sposób Esther Van de Vloet trafiła wreszcie do apartamentu Jaela i zbliżała się powoli do wielkiego, rzeźbionego łóżka. Panował półmrok. Wypatrywała skrzynki ze skarbem, czegoś cennego. Albo chociaż wiadomości, a może mapy zwiniętej w rulon. Nie zauważyła, że nie jest sama. Niemal wpadła na tę istotę, ale wtedy było już za późno. Cień zbliżył się do niej i poczuła na sobie ręce. Ramiona żyłaste jakby z rzemienia obejmowały ją niemal czule. Jakby kochanek otulał ją szalem. Ta myśl pojawiła się na moment. Uścisk stał się mocniejszy i okazało się, że to nie cień, tylko ciało i Esther po raz pierwszy ujrzała istotę, która miała jej towarzyszyć aż do ostatnich dni.

Istota miauknęła niegrzecznie, jakby ubawiona:

– Już nigdy nie będziesz sama.

Przybycie + 72 godziny

Jak będziecie wychodzić, uważajcie, żebyście nie oberwali drzwiami

Dnia 12 sierpnia o godzinie 9.12 GMT tysięczny anioł zniknął w szparze w niebie.

Nie było świadków ich przylotu, wyobrażano sobie jednak, że białe obłoki się rozstały, a z nieba spłynęły promienie światła, wyglądające jak na obrazkach ze szkółki niedzielnej. W rzeczywistości wyglądało to znacznie mniej zjawiskowo. Po prostu jeden za drugim znikali w szparze. Przypominali niemal zwierzęta gospodarskie. Owce do strzyżenia, krowy na rzeź, prosimy się nie przepychać! Średnio przypadało sześć sekund na żołnierza, więc całość zabrała ponad dwie godziny, dość czasu, żeby doścignęła ich eskadra helikopterów.

Światowym liderom, wciąż niezdecydowanym, jak się zachować wobec aniołów, nie udało się wysłać za nimi misji. „Co by to znaczyło dla świata? Jakie byłyby konsekwencje dyplomatyczne? Czyje głowy za to polecą?”

Próbę ścigania ich podjął niezależny miliarder, pilotujący własny, supernowoczesny helikopter. Zawisł tuż na wysokości przejścia, mając je cały czas na oku i już się szykował do dodania gazu, kiedy zapłonął ogień.

Ogień na niebie.

Uskoczył w samą porę, ale i tak miał pierwszorzędną widok na płomień. Jasne, pojawiające się znikąd i równie szybko niknące, tak jak i jego szansa na zdobycie czwartego rekordu świata. Tym razem w kategorii pierwsza udana wyprawa... do nieba? Kto wie?

Nikt nie wiedział, jak tam jest. A teraz nigdy się już nie dowie.

Zuzana, Mik i Eliza obserwowali niebo na telewizorze w małym narożnym barze w Rzymie i wznosili toast prosecco.

– O co się założycie, że Esther nie wypila tego szampana, którego zamówiła? – spytał triumfalnie Mik i łyknął kolejną porcję bąbelków.

Mimo wszystkich zmartwień i nieudanych prób sabotażu podjętych przez Niecną Esther, Karou, Akiva i Virko zrobili to, co zaplanowali. Aniołowie odlecieli, z całą pewnością bez broni.

– I co powiesz, lipna babciu! – zawołała Zuzana, ale jej triumf przyćmiony był smutkiem.

Przejście zostało zamknięte, a futerał pełen życzeń nie umożliwi jej dostania się do Eretz, gdzie wszystko mogło się jeszcze zdarzyć. A ona będzie się tu martwić, a może i użalać się nad sobą.

– Co chcesz teraz robić? – spytała Mika. – Wracamy do domu?

Westchnął.

– Chyba tak. Spotkamy się z rodzinami. A poza tym na pewno twoja wielka marionetka czuje się bardzo samotna.

Zuzana parsknęła.

– Niech się czuje. Ja już nie będę baletnicą.

– No to przynajmniej zrób mu żonę, żeby miał z kim pogadać na emeryturze.

Na dźwięk słowa „żona” coś w Zuzanie zawrzało, ale stłumiła te emocje.

Eliza patrzyła na nich z dumiona.

– Wracacie do Pragi?

Zuzana wzruszyła ramionami, prawie zdecydowana zatopić się w starej, dobrej, żalosej popijawie na smutno. „Może się nawet rozplączę”, pomyślała.

– A co z tobą?

– Mogę wam powiedzieć, czego na pewno nie zrobię – oznajmiła. Skrzydła ukryła pod czarem niewidzialności, co przyszło do niej nagle, jak olśnienie, a podarta koszulka wcale nie wyglądała teraz dziwnie. W zasadzie można by uznać, że to nowy styl. – Na pewno nie dokończę pracy doktorskiej. Sorry, Danaus plexippus.

– Kto? – spytał Mik.

Eliza się uśmiechnęła.

– Danaid wędrowny, motyl. Prowadzę nad nim badania. – Zaraz się poprawiła: – Prowadziłam. Nie mogę wrócić do tamtego życia, chociaż strasznie mnie korci, żeby przywalić Morganowi Tothowi tak, żeby nie wstał. A co zamierzam? – Spojrzała na nich znacząco, oczami wielkimi i jasnymi. – Polecę do Eretz.

Zuzana i Mik tylko się w nią wpatrywali. Zuzana zerknęła wymownie na ekran telewizora, gdzie przed chwilą widzieli płonące przejście.

Eliza podjęła ten dialog na gesty, uniosła brwi i wzruszyła ramionami, jakby mówiła: „I co z tego?”

Mik niepewnie odetchnął. Zuzana nawet nie śmiała budzić w sobie nadziei, a gdy Eliza podjęła monolog, nie dotyczył już Eretz.

– Wiedzieliście, że danaidy przebywają co roku osiem tysięcy kilometrów? Żaden inny owad nie robi czegoś takiego. A co najbardziej niesamowite, ta droga jest rozłożona na kilka pokoleń. Te, które wracają na północ to nie te same, które przed rokiem wyruszyły na południe. W międzyczasie ma miejsce kilka cykli życia, ale jakimś cudem nowe motyle odtwarzają trasę.

Przez chwilę milczała, a po jej ustach błąkał się dziwny uśmieszek, jakby nie była w stanie się zdecydować, czy to, o czym myśli, jest śmieszne czy nie. Tak naprawdę Zuzana nie

wiedziała, co myśleć o Elizie teraz, kiedy nie była już warzywem. Nie chodziło tylko o to, że stała się komunikatywna. Była jakby... kimś więcej niż człowiekiem. I nie tylko dlatego, że miała skrzydła. Po prostu czuło się emanującą od niej energię, nieznaną i elektryzującą. Co oni jej, na litość boską, zrobili tym jednym gawrielem?

– Nie pamiętam już, jak to było, że się nimi zainteresowałam. Na pewno chodziło o tę migrację i teraz to nabiera sensu. Chyba zawsze wiedziałam więcej, niż przewidywałam, że wiem, jeśli coś z tego rozumiecie.

– Nie bardzo – przyznała słabo Zuzana.

– Jestem motylem – oznajmiła Eliza, tak jakby to wszystko wyjaśniało. – Przeleciało ileś cykli życia. Tylko że znacznie więcej niż kilka. Minęło jakieś tysiąc lat. Nie wiem, na ile pokoleń się to przekłada.

Zuzana zmarszczyła brwi i czekała na coś, co będzie miało sens. Za to Mik, z taką samą swobodą, jak kilka miesięcy temu, kiedy Karou mówiła im, że jest chimerą, rzucił tylko:

– Super.

Eliza się roześmiała i opowiedziała im o Elazael. Prawdziwej Elazael. O tym, kim była i co zrobiła. I o śnie, który ją prześladował przez całe życie i co oznaczał. Zuzana, która myślała, że nie jest już w stanie się niczemu zdziwić, w tym narożnym barze w Rzymie stwierdziła, że jednak tak. Nie, to nawet nie było zdziwienie. Coś większego.

W tym małym barze przeżyła wstrząs. Wszechświaty. Wiele. Rozdarcia w podszewkach kontinuum czasoprzestrzeni. Czy czymś w tym stylu. I anioły jak kosmonauci tylko bez statków kosmicznych. Istne science fiction, tylko z magią zamiast nauki.

– Mędracy zrobili coś Posłannikom – wyjaśniła Eliza. – A właściwie ich animom. To więcej niż umysł, to jaźń. Jednym z ich obowiązków w czasie tej podróży było płodzenie dziedziców. Powinni się rodzić z zapisanymi w nich mapami i wspomnieniami. Tak jakby w genach mieli zakodowaną wiedzę przodków. Szaleństwo! Ale chodziło o to, żeby pewnego dnia odnalazły drogę do domu.

– A ty jesteś jednym z tych dzieci – dopowiedział Mik.

– Jednym z praprapradzieci.

– I masz wdrukowane mapy. Wspomnienia.

Eliza pokiwała głową. To napięcie w głosie Mika zwróciło Zuzanie uwagę, że dzieje się tu coś więcej niż tylko snucie opowieści. Mapy, wspomnienia...

Mapy. Wspomnienia.

– Mam tu wiele informacji. – Eliza poklepała się po głowie. – Jeszcze ich nie przeanalizowałam. Historia mojej rodziny jest naznaczona szaleństwem. Myślę, że ludzki umysł nie dawał rady tyle znieść. Przeładowywali serwery i im wysiadały. Po prostu padały. Ale wy mój naprawiliście. Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam się wam odwdziżyć.

Zuzana zerwała już z planami starej, dobrej, żalösnej popijawy na smutno. Wyprostowała się.

– Jeśli mówisz to, co myślę, że mówisz, bez problemu się odwiedzisz.

Eliza zrobiła dzióbek, jakby się nad czymś zastanawiała.

– To zależy. Myślisz, że co mówię? – W jej oczach zabłyśły wesole iskierki.

Zuzana lekko złapała ją za gardło, jakby ją dusiła.

– Mów!

– Znam inne przejście – ogłosiła Eliza. – No, ba!

Już nie białe

Jael wrócił do Eretz, tłukąc wściekle skrzydłami. Nie było w tym ani trochę gracji. Niemal wdarł się przez przejście i żałował, że nie może go rozedrzeć na strzępy. Pałał żądzą zniszczenia czegokolwiek. Najchętniej Akivy. Tak, przeszyć go strzałami jak kukłę ćwiczbą dla łuczników. Zobaczyć go tańczącego na Zachodniej Szubienicy, na oczach gapiów.

Rozejrzał się niepewnie. Przeklęty bękart, mógł być wszędzie. Przeszedł za nim przez portal? Miał go tuż za plecami? Zgodnie z warunkami ich umowy w chwili, gdy Jael znajdzie się w Eretz, Akiva będzie mógł go zabić w dowolny sposób z wyjątkiem podpalenia ropiejącego śladu dłoni na piersi. Co i tak dawało wiele możliwości.

Ale Jael nie był gorszy. Nawet lepszy od Akivy, bo jego nie obowiązywał kodeks honorowy znacznie ograniczający zakres postępowania wobec wroga.

Owszem, brał pod uwagę, że jego życie zależy od tego, czy jego wróg będzie grał fair, ale w żadnym razie nie czuł się zobowiązany do odplacenia tym samym. Poza tym to tamten pierwszy upuścił krwi. Jael nie spocznie, póki nie wykończy tego bękartą.

Przedostał się przez portal, ale nie czekał, żeby obserwować nudny jak flaki z olejem powrót swoich żołnierzy. W otoczeniu najbliższej straży poleciał prosto do obozu. Na bocznych flankach lecieli łucznicy przygotowani na pojawienie się Akivy.

Wszystko wyglądało tak jak przy odlocie: bure pasma górskie i nic poza tym. Obóz znajdował się u podnóża, jakieś pół godziny lotu stąd. Wśród traw przygiętych do ziemi przez wiatr, na planie czworoboku stały równe rzędy namiotów, z wieżami strażniczymi na rogach, obsadzonymi przez łuczników na wypadek ataku z powietrza. Choć tak naprawdę to tylko obrona na pokaz. Tutaj nie było się przed czym bronić. Większość sił Jaela została wysłana na południe i na wschód, gdzie wykańczali buntowników.

Jak im szło? Wkrótce się dowie.

A nawet prędzej niż się spodziewał.

Obóz ledwie się majaczył w oddali, ale on już widział, co na niego czeka na palisadzie.

Karou też to zobaczyła, choć ze znacznie większej odległości. Nie zdołała stłumić westchnienia. Na palisadzie, powiewając na wietrze, wisiał sztandar. Niegdyś biały, a teraz splamiony krwią i popiołem. Od razu go rozpoznała. Napis był wyraźny, nawet jeśli wizerunek Wilka pośrodku został... zakryty. „Zwycięstwo i Zemsta”, głosił po chimeryjsku. To sztandar Białego Wilka, nie kopia, którą powiesił w kasbie, ale oryginał, widocznie zrabowany z Loramendi po upadku miasta.

Ale to nie sztandar wywołał westchnienie Karou. Sam w sobie mógłby oznaczać, że Biały Wilk podbił i zajął obóz. Ale to, co wisiało przed nim, dowodziło bez żadnych wątpliwości, że tak się nie stało.

Karou myślała, że stłumiła nadzieję. Gdy przelatywała przez przejście, była pewna, że jest przygotowana na najgorsze.

Ale myliła się.

Czasem, odkąd zostawiła tutaj towarzyszy, zdarzało jej się wierzyć – chociaż nie przyznawała się nawet przed sobą – że wszystko będzie dobrze. Bo przecież musiało. Tak?

Ale nie było. Nie było ani trochę dobrze.

On też był kiedyś biały, ale i to się zmieniło. Nad palisadą wisiało splamione i pokonane ciało Thiaga.

Oto szybsza niż się spodziewali odpowiedź na pytanie, co się działo, kiedy odłączyli się od bitwy rozgorzałej w górach Adelphas i podjęli trudną decyzję o kontynuowaniu kluczowej dla sprawy misji.

„Czy zrobiłam dość?“, pytała się wtedy Karou, choć przecież znała odpowiedź. „Zrobiłam wszystko, co się dało?”

„Nie”.

Jej towarzysze przegrali. I zginęli.

Akiva ją objął i przytulił. Nic nie mówili, tylko patrzyli bezradnie. W powietrzu utrzymywały ich spokojne ruchy skrzydeł Akivy. Jael wylądował przed ciałem Białego Wilka i zaczął się śmiać.

Nieobecność

Zaraz po odejściu Jaela Karou zbliżyła się do ciała. Tylko na moment, tylko na wszelki wypadek. Podlatując, przypomniała sobie, jak krwawiło po raz ostatni. Wówczas odebrał mu życie jej mały nożyk, a ona zszyła elegancką ranę równym ścięciem, żeby przygotować to naczynie na przyjęcie duszy Ziriego.

Ta rana nie była ani trochę elegancka.

„Nie patrz!”

To nie była łatwa śmierć, a dusza Karou aż krzyczała na wspomnienie sierotki o brązowych oczach, która dawno, dawno temu laziła za nią po całym Loramendi, nieśmiała i patykowata jak jelonek. Pocałowała go kiedyś w czoło, ale przypomniała sobie dopiero, kiedy jej o tym opowiedział. Aż się zarumieniła.

Ziri. Poznała dotyk jego duszy, kiedy przenosiła ją do tego ciała, a nadzieja, nadzieja, niczego się nie uczy.

Oczywiście, że po jego duszy nie będzie już śladu. Nie ma mowy, żeby przetrwała tyle czasu na otwartej przestrzeni, nie przeżyłaby nawet podróży. Jasne, że została unicestwiona. Ale mimo wszystko Karou otworzyła na nią zmysły, bo przecież nie mogła nie spróbować.

„Zrobiłam wszystko, co się dało?” Wstrzymywała oddech, a niewidzialne łzy płynęły po jej niewidzialnych policzkach. I cały czas miała nadzieję.

Czasem nieobecność jest namacalna. Teraz to czuła. Jak połamana trawa w miejscu, gdzie coś stało, ale już nie stoi. Jak poszarpany szew, po którym została dziura niemożliwa do zaszycia.

To właśnie czuła.

Przelotny imperator

Jael miał już trochę lepszy humor i podążając za świtą, zbliżył się do swojego namiotu. Żołnierze na wieżach strażniczych zaszalutowali mu, kiedy nadleciał, a jeden gładkim ślizgiem wylądował u jego boku.

– Raport! – warknął Jael. Zdjął hełm i cisnął nim w stronę żołnierza. – Co z buntownikami?

– Uwięziliśmy ich w Adelphas, panie...

Jael obrócił się do niego gwałtownie.

– Panie? – powtórzył. Nie poznawał tego chłopaka. – A od kiedy to nie jestem twoim imperatorem? Twoim generałem?

Żołnierz się speszył i schylił głowę.

– Wasza eminencjo? – zaryzykował. – Lordzie imperatorze? Przyskrzyniliśmy ich w górach Adelphas. Bastardów i buntowników razem, jeśli może pan to sobie wyobrazić.

O tak, Jael świetnie to sobie wyobrażał. Zaśmiał się.

– Nie kłamię, panie – przekonywał żołnierz, znów się myśląc w tytule. „Panie”.

Jael tak zmrużył oczy, że zostały z nich tylko szparki.

– I?

– Bronili się bardzo dzielnie – zaczął żołnierz, a Jael resztę wyczytał z jego uśmiešku. Mężna obrona dała się zmiażdżyć. Tego się spodziewał, zwłaszcza zobaczywszy ciało Białego Wilka. Więcej nie musiał w tej chwili wiedzieć. Krew aż mu dudniła od tłumionej frustracji, a mięśnie miał napięte jak przed wybuchem wściekłości. Przez te wszystkie dni w koszmarnym pałacu był potulny jak króliczek – wykastrowany króliczek – i nie śmiał zaryzykować reputacji, czyniąc zadość swoim zachciankom. I po co mu to było? Żeby go przegonili jak psa z kulawą nogą! Ze strachu przed złamaniem narzuconej przez Akivę zasady bezkrwawości nie śmiał nawet zarżnąć Upadłego.

Rozejrzał się w poszukiwaniu osobistej służby.

– Gdzie Mechel?

– Nie wiem, lordzie imperatorze. Może mógłbym go zastąpić?

Jael mruknął opryskliwie.

– Przyślij mi kobietę – rzucił i odwrócił się, żeby pójść dalej.

– Nie ma potrzeby, panie. Jedna czeka już w namiocie. – Wciąż się uśmiechał. – To na uczczenie zwycięstwa.

Jael obrócił się na pięcie i z całej siły uderzył żołnierza w twarz. Choć jego głowa przeleciała ze wschodu na zachód, nie zmienił wyrazu twarzy. Z wargi popłynęła mu krew, ale nie zrobił nic, żeby ją zatamować.

– Czy ja wyglądam na zwycięzcę?! – warknął Jael. Podniósł do góry puste ręce. – Widzisz gdzieś moją nową broń? Aż się uginam pod jej ciężarem! Oto moje zwycięstwo! – Czuł, że twarz mu poczerwieniała i przypomniał sobie brata znanego z morderczych wybuchów furii. Jael szczylił się, że nim rządziła przebiegłość, nie agresja. Co oznaczało, że zabija nie w gniewie, tylko z wyrachowania.

Odepchnął więc żołnierza – choć zapamiętał sobie ten jego uśmiešek, żeby w dalszej kolejności wymierzyć mu odpowiednią karę – i pomaszerował do swojego namiotu, zrywając po drodze tę idiotyczną białą szatę. Aż syknął z bólu, kiedy oderwał od zasychającej rany warstwę jedwabiu i na nowo ją otworzył.

Zaklął. Ból przypominał o klęsce i bezradności. Musi na nowo wzbudzić w sobie potęgę. Musi wprawić krew w ruch, pogłębić oddech, żeby udowodnić, kim...

Zatrzymał się w progu. Łoże było puste.

Zmrużył oczy. Gdzie ta kobieta? Ukrywa się? A może się krępuje? Ładnie, ładnie! Apetyt

rósł. To może być dobry początek.

– Chodź, chodź, gdziekolwiek jesteś – wysapał i powoli obrócił się wokół.

W namiocie panowała ciemność. Płócienne ściany zawieszono futrami chroniącymi przed wiatrem i światłem. Lampy się nie paliły. Jedyнным źródłem światła były jego skrzydła...

...i skrzydła tej kobiety.

Jak to?

Nie kryła się. Nie okazywała strachu. Zauważył ją przy biurku. Zjeżył się. Siedziała za biurkiem, przy którym planował strategie wojenne. Leniwie rozparła się na jego krześle, a mapy i plany rozwijały się przed nią, gdy od niechcienia turlała przycisk do papieru z jednego końca biurka na drugi.

– Co ty tu robisz? – warknął.

– Czekam na ciebie.

Nie bała się. Nie wstydziła się go ani nie chciała się przed nim ukorzyć. Oświetlały ją jedynie skrzydła, poza tym spowijał ją cień. Widział tylko jej sylwetkę, więc ruszył naprzód, żeby wyciągnąć ją zza biurka za włosy. Pomyślał, że to nawet lepsze, niż gdyby się chowała albo płaszczyła. Może nawet spróbuje się opierać...

Ujrzał jej twarz i zatrzymał się jak wryty.

Miał problem z przewidzeniem konsekwencji jej wizyty, ale tylko dlatego, że sytuacja była wręcz nie do pomyślenia. Wysłał cztery tysiące żołnierzy Dominium, żeby zmieśli buntowników liczących mniej niż pięćset sztuk. I przecież to zrobili, przywlekli tu truchło Białego Wilka jako dowód! A poza tym ten strażnik...

Który właśnie się odezwał zza jego pleców. Wszedł bez pozwolenia i bez pytania.

– Zapomniałem sprecyzować – oznajmił, cały czas uśmiechając się ironicznie – że nie miałem na myśli twojego zwycięstwa. Panie. Chodziło mi o nasze.

Jael aż zabalgotał.

A Liraz jednym posuwistym ruchem dobyła miecza i wstała z krzesła.

– Karou? – szepnął Akiva, gdy po cichu lecieli nad obozem.

– Tak? – odszepnęła. Było tu tak pusto, że aż dziwnie, ale wiedziała, że to nie potrwa długo. Powinni się jak najszybciej stąd zmywać. Jeśli mają zamiar wykończyć Jaela, muszą to zrobić od razu.

Akiva gwałtownie zrzucił czar niewidzialności. Zszokował ją tym.

– Co ty robisz?! – szepnęła przerażona. Strażnicy na wieżach doskonale go widzieli, a osobista straż Jaela dopiero co się rozpierzchnęła. Mogli być wszędzie. Dlaczego w ogóle się tym nie przejmował?

Dlaczego był... zachwycony?

– Ten żołnierz – wskazał na namiot imperatora, do którego przed sekundą wślizgnął się anioł – to Xathanael.

Liraz. Jael zamrugał, bo ten dziwny smolisty woal wyszedł zza biurka razem z nią i zmienił położenie. Długie nogi, sprężyste kroki, brak pośpiechu. Liraz, Bastardka, przybyła pod osłoną mroku. Czarne ręce miała naznaczone stygmatami istnień, które unicestwiła, a otaczająca ją aura w kolorze sadzy zapisała na swoim koncie tyle samo mordów. Albo i więcej. Przemieściła się zwinnie i ustawiła się u jej boków.

Towarzyszyły jej dwie uskrzydłone kocice z głowami i szyjami kobiet. Sfinksy. Uśmiechały się.

– Bastardzi i buntownicy razem, jeśli może pan to sobie wyobrazić – powtórzył stojący za nim żołnierz.

– To mój brat, Xathanael – oznajmiła Liraz tak spokojnie, jakby była tu gospodynią i dokonywała prezentacji zaproszonych gości. – Tangris i Bashees powinieneś znać. Nie? A może słyszałeś przydomek, pod jakim częściej występują: Żywe Cienie.

Jael nie pojmował, co się dzieje, chociaż widział to na własne oczy. Liraz, równie niebezpieczna jak zniewalająca, stojąca między Żywymi Cieniami. Podczas kampanii chimery w takich obozach, jak ten, nic nie budziło większego przerażenia niż te dwie tajemnicze skrytobójczynie.

Czuł, jak krew mu zamarza. Ale wszystko ułożyło się w całość, dopiero gdy przyszło mu do głowy zawołać strażę. Z opóźnieniem zrozumiał, co się stało, ale w żadnej mierze nie zmniejszyło to jego przerażenia: obóz został zajęty, a on i jego strażnicy pojmاني.

Może oni tak, odżyła w nim jednak nadzieja, ale armia nie! Stała się jego nadzieją, zmierzała już w tym kierunku, w liczbie, która bez trudu pokona tych kilkoro mizernych sabotażystów. Wielka armia. Ulęknie się przed nią nawet Akiva. Jael nie może popełnić tego samego błędu jak ostatnio i dać się wziąć podstępem. Spojrzał na sfinksy. Jeden do niego mrugnął, a on zadygotał.

– Brawurowa taktyka – oznajmił, żeby zyskać na czasie. – Zjednoczenie wrogów.

– To twój podarunek dla Eretz – odparła Liraz. – Zadbam o to, żebyś został tak zapamiętany. Będą cię nazywać Przelotnym Imperatorem, bo miałeś niewiele czasu, a jednak zdołałeś rozwiązać Imperium, a na dodatek dokonałeś nadzwyczajnego dzieła i połączyłeś śmiertelnych wrogów, dając im pokój.

– Pokój – mruknął. – Jak tylko zginę, na nowo sobie skoczycie do gardeł.

Źle dobrał słowa.

– Zginiesz? – Liraz przyglądała mu się z zaskoczeniem. – Jak to, wujaszku, czyżbyś się źle czuł? Szykujesz się na rychłą śmierć? – Zmieniła się. Nie była już tą syczącą, dziką kotką, którą miał ochotę okiełznać w Wieży Triumfu. Brakowało w niej wściekłości, furii. Emanowała spokojem, ale on jej wcale nie osłabiał. Przeciwnie, wydawała się jeszcze silniejsza. Nie była już tylko bronią, na którą ją wychowano i wytrenowano. Stała się kobietą panującą nad swoją siłą, niepokonaną i nieugiętą. A to wydawało się bardzo niebezpieczne.

Jael się spał i nasłuchiwał dźwięków, mogących zwiastować zbliżającą się armię. Widocznie to zauważyła. Przechyliła ze smutkiem głowę, jakby go pożałowała, a potem pytająco zerknęła

na tego durnia od uśmiezków, który przytaknął.

– Świetnie. – Odwróciła się z powrotem do Jaela. – Chodź. Chciałabym ci coś pokazać.

Jael nie chciał oglądać niczego, co miała do zaprezentowania. Zamierzał sięgnąć po miecz, ale wtedy sfinks, który do niego mrugnął, zbliżył się błyskawicznie jak pół kot, pół dym, i otoczył go smugą. Jaela ogarnęła senność, słodki, łagodny stupor. Stracił moc. Liraz rozbroiła go z taką łatwością, jakby był dzieckiem albo pijakiem. Odrzuciła jego miecz i popchnęła go do wyjścia z namiotu, a potem poprowadziła przez obóz.

Pomór Dzikich. Zobaczył go w oddali. Odruchowo się skurczył. Przyszedł go zabić, tak jak zapowiadał, a jego straży nie ma.

Ale ten nawet na niego nie spojrział.

– Liraz! – krzyknął z radością, a w głosie miał taki żar, że Jael powinien od razu splonąć. Ale on skupił się na widoku, który miał zobaczyć.

Nad jego głową, niczym chmura burzowa, zbierała się armia. Ogromna, przesłaniająca niebo. I nie byli to jego żołnierze.

Wpatrywał się w nich z odchyłoną do tyłu głową, zapominając o całym świecie, bo chciał ich koniecznie przeliczyć. Dowiedzieć się ilu ich jest. Nawet jeśli wszyscy Bastardzi przeżyli atak w Adelphas, powinno ich być nie więcej niż trzystu. Nawet jeśli...

Uśmiezek żołnierza. „Bronili się bardzo dzielnie”. Tak, na to wyglądało. Wielu z żołnierzy wiszących nad jego głową odzianych było w przypisaną Bastardom czerń. A reszta? Chimery. Nie trzymały tak ścisłego szyku jak serafini, czego można się było po nich spodziewać: zdziczałe senne mary, bez mundurów, bez godności. Żywe bestiarium wytrąsnięte z księgi potworów. Niech gwiazdne bóstwa otoczą opieką aniołów, którzy się z nimi sprzymierzyli.

Także tych z Drugiego Legionu, bo ich właśnie wypatrzył. Zatrząśł się w bladej furii, że jego ludzie dołączyli do tej podniebnej hołoty! Lśniący, nienaganni w prostych zbrojach, bez barw wojennych i bez innej broni niż miecze i tarcze. Bardzo dużo mieczy i tarcz.

Ale oto znad gór nadlatywało jego odziane w biel Dominium. Piękni, ale zaskoczeni, a on nie miał innego wyjścia, niż tylko stać na ziemi i patrzeć, jak dwie armie zawisają naprzeciw siebie w powietrzu. Wysłannicy obydwu wylecieli naprzód i spotkali się pośrodku, a Jael splunął w trawę i zaśmiał się, spoglądając w kierunku bękartów i potworów.

– Dominium się nie poddaje! To nasze credo! Sam je stworzyłem!

„Niech walczą”, pomyślał z zapalczywością bliską modlitwie. „Niech giną. Nieważne, czy wygrają, czy nie, niech zabiorą z sobą do grobu zdrajców i buntowników”.

Z tej odległości nie widział, kto reprezentuje jego aniołów, nie mówiąc już o słyszeniu słów, ale efekt rozmowy stał się jasny, gdy Dominium zaczęło powoli opadać na ziemię i skryło się w wysokiej trawie. Jakby skapitulowali.

– Może wcale się nie poddają – pocieszył go nieszczercze żołnierz od uśmiezków. – Tylko wszystkim naraz zachciało się siku.

Jael nie widział, jak odkładają miecze. Nie musiał. Zrozumiał, że przegrał.

Jego Eminencja, Jael Drugi w Kolejce do Tronu, Jael Przecięty na Pół, Przelotny Imperator, stracił armię i imperium. A teraz z całą pewnością i życie.

– Na co czekasz? – krzyknął, odwróciwszy się do Liraz. Zbliżyła się i jednym ruchem powaliła go na trawę, a następnie celnym wymierzonym kopniakiem odwróciła na plecy.

– Zabij mnie! – wykrztusił, ciężko dysząc. – Wiem, że tego chcesz!

Ale ona z uśmiechem pokręciła głową, a Jaelowi chciało się wyć, bo widział po jej minie, że ma inne plany. I że nie skończy się tak łatwo.

Motyl w butelce

Karou i Liraz spotkały się przypadkiem przy palisadzie. Okazało się, że obie chciały zdjąć ciało Thiaga.

Po tym, jak Dominion złożyło broń, w obozie ciągle się coś działo i wcześniej nie miały czasu. Jedni widzieli się po latach, inni się dopiero poznawali, jedni krzyczeli, inni wyjaśniali, trwały też dyskusje dotyczące planów i przewidywanych strategii. No i wspólne świętowanie, ale przyćmione żalobą, bo wielu straciło w Adelphas życie. Niektórzy bezpowrotnie.

Kilka kadzielnic wróciło jednak z placu boju i Karou otwierała każdą, a potem czekała, aż dusza otrze się o jej zmysły, ale w żadnej nie było tego, kogo szukała.

Z trudem zbliżyła się do jego ciała. Miała prawo go nienawidzić, ale okazało się, że nie może. Czy to z powodu Ziriego i żałoby po nim? A może choć trochę ze względu na Białego Wilka, który mimo całego zła, tak wiele – tyle lat, tak wiele śmierci, tyle bólu – oddał swoim ludziom?

Kiedy przyszła, ku swojemu zaskoczeniu zastała tam Liraz, patrzącą na zwisające z palisady zwłoki.

– Och – wyrwało jej się. – Cześć.

Nie usłyszała powitania. Zamiast tego Liraz, nie odwracając nawet głowy, rzuciła oschle:

– To ja go tu powiesiłam.

Karou zrozumiała, że anielica opłakuje Ziriego. Nie miała pojęcia, jak to się stało i jakim cudem znaleźli czas, żeby uczucie mogło się między nimi narodzić, ale nie dziwiła się. Już wiedziała, że Liraz jest nieprzewidywalna.

– Zrobiłam to, żeby Jael, nic nie podejrzewał, wracając do obozu. – Teraz zerknęła na Karou, a jej spojrzenie było zimne. – Nie zbezczeciłam go – wytłumaczyła się.

– Rozumiem. – Zabrzmiało to dziwnie, więc łagodnie dodała: – To przecież nie Ziri. Ani trochę.

– Wiem – burknęła Liraz. Później w milczeniu przecięły liny i sprowadziły ciało na ziemię. Sztandar też ściągnęły. Te słowa, „zwycięstwo i zemsta”, należały do innej epoki. Karou nakryła nim ciało, żeby zasłonić oznaki męki, w jakiej ginęło.

– Spalisz je? – spytała. Powiedziała „je”, nie „jego”, bo to nie był Ziri. Tylko pusta skorupa, muszla wyrzucona na brzeg.

Liraz kiwnęła głową i uklękła, a potem położyła dłonie na szerokiej, martwej piersi. Pierwsze smugi dymu wydostały się spod jej palców i...

– Czekaj! – Karou coś sobie przypomniała. Ona też uklękła, z drugiej strony, i sięgnęła do kieszeni munduru generała. Wyjęła niewielki przedmiot, długości małego palca. Czarny i gładki, z jednej strony ostro zakończony.

– To kawałek rogu z pierwszego ciała Ziriego. – Podała go Liraz. – Mam tylko tyle.

Potem Thiago spłonął. Ogień strzelił wysoko, przejrzysty, zjawiskowy, nienaturalnie gorący. Został tylko popiół. Wiatr go porwał, zanim jeszcze wygasły płomienie.

Dopiero wówczas Karou zauważyła, że w obozie zapadła cisza. Odwróciła się i zobaczyła zebranych w bramie żołnierzy. Z przodu stał Akiva, obok niego Haxaya. Patrzyła na Liraz, a Liraz spojrzała na nią i nie było między nimi wrogości.

– Chodźcie – zawołał Akiva i zabrał wszystkich. Znów zostały same. Nie było już ciała. Nawet prochów. Karou nie mogła się zdecydować, czy spytać. Walczyła z sobą.

– Nie widziałam, jak umierał – odezwała się Liraz. Zamknęła kawałek rogu w dłoni i przycisnęła do żeber.

Karou nie odpowiedziała, nie poruszyła się nawet, bo czuła, że zaraz pozna odpowiedź na swoje pytanie.

– Jak wróciłam od przejścia, wszędzie panował chaos. Wypatrzyłam go, ale nie zdołałam do niego dotrzeć. Kiedy znów spojrzałam, już go nie było. Potem... – Nie umiała o tym mówić. Spojrzała spode łba i kontynuowała jakby pozbawiona emocji: – Nie wiem, jak to się stało, że wygraliśmy. Nie widzę wytłumaczenia. Widziałam, jak na ziemię lecą ich żołnierze. Nie od ran, nie od strzał, w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby ich zabić. Ale na ich miejsce nadlatywali inni. Wydawało się, że nadlatuje ich więcej niż pada. Nie wiem. – Pokręciła głową jakby na wsparcie swoich słów.

Karou już słyszała jedną taką relację. Elyon, wspierany przez Balierosa, złożył raport Akivie. Tajemnicze, niemożliwe, zwycięstwo. Co to mogło oznaczać?

– W końcu znalazłam jego ciało. Spadło do parowu. Do strumienia. – Zerknęła szybko, napięta, czujna. Chciała chyba, żeby Karou coś odpowiedziała.

Bała się, że ją obwini?

– To nie przez ciebie!

Ale nie na to czekała. Parsknęła z niecierpliwością:

– Tam była woda – zaczęła. – Czy woda może przyśpieszyć... unicestwienie duszy?

Karou wpatrywała się w nią, a słowa powoli do niej docierały. Zamarła. Wstrzymała oddech.

O to właśnie chciała zapytać, ale nie potrafiła. Czy to znaczyło, że...? Karou dobrze pamiętała rozpacz na twarzy Liraz, kiedy jej powiedziała, najdelikatniej jak umiała, że dusza Hazaela uleciała. Że na darmo dźwigała jego ciało przez dwa nieba, bo w czasie podróży do wskrzesiciela dusza uleciała, zamiast cierpliwie czekać.

Przecież nie po to sprowadziła tu ciało Thiaga, niosła ten cały kawał...?

Spojrzała na miejsce, gdzie wcześniej leżały zwłoki. Liraz to zauważyła.

– Myślisz, że niczego się nie nauczyłam? – spytała z niedowierzaniem.

Karou pozwoliła sobie wyrazić nadzieję.

– Nauczyłaś się? – spytała bardzo cicho.

„Nauczyłaś?”

„Zebrałaś duszę Ziriego?”

„Na bogów i gwiazdny pył, zebrałaś?!”

Liraz zaczęła się trząść.

– Nie wiem – odparła. – Nie wiem. – Głos jej drżał, jakby się miała rozplakać. Sięgnęła do pasa, a potem drżącymi rękami podała coś Karou. Swoją manierkę.

– To nie jest kadzielnica, ale ma szczelne zamknięcie. Nie miałam kadzidla i nie mogłam nic w pobliżu znaleźć, ale pomyślałam, że lepiej nie zwlekać. Tylko nie wiem, czy się udało. Nic nie czułam, nic nie widziałam, więc boję się, że... już jej nie było. – Zaczynała się, zaczynała coś mówić, przerywała, a w jej oczach toczyła się walka nadziei i rozpacz. – Śpiewałam mu – szepnęła wreszcie. – Ale nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie.

Karou poczuła, że serce pęka jej na milion kawałków. Ta bękartka, wojowniczką, najdziksza ze wszystkich, klęczała w lodowatym strumieniu i śpiewała chimeryjskiej duszy, żeby ta wślizgnęła się do jej manierki, bo nie wiedziała, co robić.

Śpiewanie na nic nie miało wpływu, ale nie zamierzała jej tego mówić. Za to, jeśli dusza Ziriego będzie w manierce, Karou postanowiła nauczyć się tej piosenki i uczynić ją obowiązkowym elementem rytuału wskrzesicielskiego, żeby anielica nie poczuła się nigdy jak idiotka.

„Bo w końcu, kto wie?” – pomyślała Karou i wyciągnęła ręce po manierkę. „Kto wie, tak naprawdę? Bo ja nie wiem, za cholere!”

Wciąż drżącymi rękami otworzyła manierkę. Starła się uspokoić rozedrgane palce, zaciskając je na szyjce butelki. Powinna być lodowata, ale rozgrzała się od ciała Liraz.

Potem, tak delikatnie jak mogła w tym stanie, odkręciła nakrętkę.

Znieruchomiała i wyostrzyła zmysły. Szukała, przepełniona nadzieją. Tak, jakby nachylała się nad manierką i głęboko wciągała powietrze, chociaż oczywiście tego nie robiła. Tylko jakaś część jej jaźni ruszyła do przodu, niezatrzymywana, poszukująca. Jak to powiedział Akiva? Układ energii, więcej niż umysł i dusza. Ta energia, czymkolwiek była, sięgnęła do przodu i poczuła...

...dom.

Jej dom i Ziriego. A teraz może ich wszystkich. Chętnie się podzieli. Stworzą wielkie, zwariowane plemię. Jedno za wszystkich, wszyscy za jednego, anioły i diabły, spędzające razem czas, zakochujące się w sobie, pojedynkujące się albo uczące się od Mika gry na skrzypcach. Będą szkolili swe mieszane dzieci w lataniu na skrzydłach, które nie będą ani kirińskie, ani serafińskie. Pierzaste i ogniste skrzydła nietoperza, tak by to mogło wyglądać. A może nie, może będzie jak z kolorem oczu, który dziedziczy się albo po matce, albo po ojcu. Jezu, czy ona myślała o dzieciach?! Roześmiała się i pokiwała głową, a Liraz zaczęła szlochać i śmiać się i nagle padły sobie w ramiona, trzymając bezpiecznie zamkniętą manierkę między sobą. Ich ulga była jak wspólna ziemia, bo o zmysły Karou otarły się dobrze znane skrzydła burzołowców, wiatr ze szczytów Adelphas oraz piękne, smutne i wieczne pieśni z korytarzy jaskiń, ale i nuta, której nie pamiętała z poprzedniego spotkania. Ogień, trzymany w złożonych dłoniach. Chyba już wiedziała, co oznacza.

Liraz złapała duszę Ziriego do butelki jak motyla, ale to była tylko formalność. Bo ta dusza już do niej należała.

I zdaje się, sądząc po tym, że jednocześnie szlochała i śmiała się w ramionach Karou, jej dusza należała do niego.

Rozdział pierwszy

No więc tak: Jael został zdetronizowany, portale zamknięte, a do Eretz nie sprowadzono żadnej broni, która znowu wywołałaby chaos. Dominium rozbrojono, a Drugi Legion – albo tak zwane Wojsko Powszechne – stał się główną siłą wojskową w kraju. Ich było najwięcej i zawsze znajdowali się pośrodku, między ekskluzywnym Dominium i wyklętymi Bastardami. Jeśli mieliby wybierać – gdyby oczywiście kiedykolwiek dostali wybór – trzymaliby z bękartami.

Teraz dowodził nimi komandor Ormerod, którego Akiva znał i szanował, i tak właśnie zrobili. Tym samym uchylili wyroki śmierci wydane na Bastardów i ogłosili koniec wzajemnej wrogości.

Choć ogłoszenie i realizacja to oczywiście dwie zupełnie różne sprawy, a pomijając nawet odwieczne napięcia między armiami, Drugi Legion był jak najdalszy od uznania chimeryjskich wrogów za sprzymierzeńców. Aktualnie sytuacja wyglądała tak, że burkliwie i niechętnie złożyli tę samą obietnicę jak Bastardzi kilka dni wcześniej: nie zaatakują pierwsi. Karou gorąco liczyła, że ich słowo nie zostanie poddane takiej samej próbie jak wcześniej.

Zawieszenie broni to nie przymierze, ale od czegoś trzeba zacząć.

Okazało się, że po tajemniczym zwycięstwie w Adelphas Elyon wziął na siebie zadanie Akivy, poleciał do Cape Armasin i wystąpił w imieniu buntowników. Najwyraźniej dobrze mu poszło. Teraz on i Ormerod zamierzali zabrać Jaela do Astrae, gdzie miała się rozpocząć nowa epoka w jego życiu. Od kapitana, przez imperatora do... eksponatu.

Przelotny Imperator zostanie gwiazdą własnego ZOO.

Nikt nie winiłby Liraz, gdyby go zabiła i nikt by po nim nie płakał. Ale kiedy już stanęła nad tym wijącym się i wrzeszczącym ochłapem, odkryła, że jej się odechciało. Nie tylko ze względu na zniechęcony rejestr na dłoniach i kolejną śmierć, którą musiałaby zadać, ale po prostu dlatego, żeby zrobić mu na złość.

Wtedy, w Wieży Triumfu, to ona wołała śmierć zamiast losu, który dla niej szykował.

– Zabij mnie razem z braćmi albo pożałujesz. – Splunęła mu w twarz, a on udawał urażonego.

– Wołałabyś zginąć niż umyć mi plecy?

– Po tysiackroć – wykrztusiła.

– Moja droga. Ale czy nie widzisz, że dzięki temu moja przewaga jest jeszcze słodsza?

Teraz do niej należała słodycz odmowy.

– Tak sobie pomyślałam – zaczęła, patrząc na niego z góry – że ludziom dobrze zrobi ujrzanie, spod czyjej tyranii się wyzwolili. Słyszeć, jaki byłeś obrzydliwy to jedno, ale zobaczyć na własne oczy, to co innego.

Przestał się wyrywać i spojrzał na nią z przerażeniem.

– Chodźcie i zobaczcie, to coś się nazywało imperator! – zawołała, coraz bardziej przekonana do swojego pomysłu. Przypomniała sobie teraz, co widziała w Hintermost, jak Jael przebił dłonie Ziriego mieczami i siłą nakarmił go prochami towarzyszy. – Przyjdźcie i zobaczcie, przed kim was ocaliliśmy, a padniecie na kolana, żeby nam podziękować! Choć możliwe, że przy okazji się pochorujecie.

Zareagował furią, wyrzucił z siebie serię unurzanych w ślinie inwektyw i skrzywił się, jak jeszcze nigdy dotąd, co sprawiło, że stał się jeszcze obrzydliwszy. Zareagowała spokojnie:

– O, świetnie! Kiedy przyjdą cię oglądać, rób właśnie w ten sposób! Doskonale ci idzie!

Prawda była jednak taka, że imperium nie miało nowego systemu sprawiedliwości i nikt nie wiedział, jak go zbudować. Nie mówiąc już o nowych rządach na miejsce tych, które właśnie obalili. Czekali ich jeszcze przecież wyzwolenie niewolników oraz znalezienie zajęcia dla wszystkich tych kobiet i mężczyzn, którzy nie znali innego życia niż wojna.

Tego wieczoru w obozie Veskal Range, zrozumieli, jak mało wiedzą. Napisali w nowo otwartej księdze: „Rozdział pierwszy”, ale wszystko, co miało się wydarzyć potem – wszystko! – jeszcze nie zostało wymyślone. Karou miała nadzieję, że to będzie długa i nudna księga.

– Nudna? – powtórzył sceptycznie Akiva. Siedzieli obok siebie przy ognisku i jedli racje żywnościowe Dominium. Karou z zaciekawieniem obserwowała Liraz w towarzystwie Tangris i Bashees, na odległym skraju obozowiska i stwierdziła, że są dla siebie stworzone.

– Tak, nudna – potwierdziła z rozmarzeniem. Wiedza historyczna zmusza do bycia

przygotowanym na najgorsze. Gdy w szkole przerabiała bitwy pierwszej wojny światowej, złapała się na myśli: „Tu zginęło tylko osiem tysięcy żołnierzy. Nie tak dużo”. Bo porównując to z milionem ofiar znad Sommy faktycznie nie było. „Potworne” liczby zmieniały się co najwyżej na „zaledwie” tragiczne, historia nie łagodziła dramatów chwilami spokoju. „Ale tego dnia nikt na świecie nie został zamordowany. Lwica urodziła lwiątko. Biedronki zajadały mszyce. Zakochana dziewczyna cały ranek poświęciła marzeniom, zaniedbując obowiązki, ale nie została za to zrugana”.

Cóż może być lepsze od nudnego dnia?

– Ale przyjemnie nudna – sprecyzowała. – Bez żadnej wojny. Bez napaści i niewolników. Tylko zdrowienie i budowanie.

– A to może być nudne? – zdziwił się.

– Pewnie! – Karou odchrząknęła i odezwała się głosem, który w jej mniemaniu odzwierciedlał skostniały głos historii: – Jedenasty stycznia roku... Neek-Neek. Garnizon w Cape Armasin został rozebrany, a drewno zostanie ponownie wykorzystane. Niedaleko budowane jest miasto. Mieszkańcy nie mogą się zdecydować, jaką ma mieć wysokość wieża z zegarem. Rada miasta spotyka się i obraduje. .. – Zamilkła, żeby podgrzać emocje. – Osiągają konsensus co do wysokości wieży. I zostaje wzniesiona bez dalszych przeszkód. Warzywa rosną i są jedzone. Zachody słońca są podziwiane.

Akiva się roześmiał.

– Ależ to sromotna klęska wyobraźni! Na pewno w twoim mieście dzieje się mnóstwo ciekawych rzeczy.

– No to sam spróbuj.

– Dobrze. – Zamilkł, żeby się zastanowić. Po chwili przemówił takim samym tonem jak ona: – Jedenasty stycznia roku Neek-Neek. Garnizon w Cape Armasin został rozebrany, a drewno zostanie ponownie wykorzystane. Niedaleko budowane jest miasto. To pierwsze w Eretz miasto, w którym mieszkają i serafini, i chimery. Jedno obok drugiego, na równych prawach. Niektórzy nawet... – Zamilkł, a kiedy znów się odezwał, mówił własnym głosem, ale jakby łagodniejszą i czulszą jego wersją. – Niektórzy nawet mieszkają razem.

Mieszkają razem. Czy miał na myśli, że...?

Tak. To miał na myśli. Patrzył jej w oczy ciepło i zdecydowanie. Ona też to sobie wyobraziła, a przynajmniej starała się. Mieszkanie razem. Nie rozmawiali o tym nigdy, więc myśl tę otaczała złotawa nierzeczywistość właściwa snom.

– Niektórzy – kontynuował – leżą razem pod kocem i we śnie wdychają swój zapach. Śnią o świątyni zagubionej w mrocznym gaju i o życzeniach, które zostały tam wypowiedziane. I które się spełniły.

Pamiętała mroczny gaj, każdą chwilę i każde życzenie. Pamiętała, że ją do niego ciągnęło jakby stała w fali przyływu. Pamiętała jego ciepło. Jego ciężar. Ale nie w tym ciele. Dla tego wcielenia każde doznanie będzie nowe. Zarumieniła się, ale nie odwróciła wzroku.

– Niektórzy – dodał, teraz już bardzo cicho – nie będą musieli długo na to czekać.

Przełknęła ślinę i odzyskała głos.

– Masz rację – przyznała szeptem. – To nie jest nudne.

Nie będą musieli już długo czekać. Ale trochę muszą. I nawet wydawało jej się, że da się to znieść.

Ale nie: dwie noce spędzili w obozie Dominion, a Elyon, Ormerod i kilkoro innych, w tym centauro byk Balieros, który przejął dowodzenie po Thiagu, prowadzili obrady aż do świtu, więc Karou, która zamierzała wykraść Akivę do jednego z pustych namiotów, nie miała na to szansy.

Ale: trzeciego ranka nastąpił odlot, wreszcie! Bo lecieli razem.

Nie obeszło się jednak bez różnicy zdań. Ormerod utrzymywał, że Akiva będzie potrzebny w stolicy, którą trzeba poinformować, subtelnie albo nie, o nowej sytuacji i upadku Imperium. Akiva twierdził, że lepiej im pójdzie bez hysterii, jaką wzbudzi jego obecność.

– Poza tym – dodał – mam wcześniejsze zobowiązania.

Twarz mu złagodniała, a potem spojrzał na Karou, jakby się prosił, żeby te „wcześniejsze zobowiązania” zupełnie źle interpretować.

– To na pewno może poczekać – upierał się naiwnie Ormerod.

Karou się zarumieniała, kiedy do niej dotarło, o czym myślą. Chociaż wcale się nie mylili. „Kiedy wreszcie przyjdzie pora na ciastko?” Pocałunek nie ułatwiał oczekiwania, przeciwnie, wzbudził tylko większy głód. Ale to nie o tej umowie myślał Akiva. „Pomogę ci”, zapewnił wtedy, w jaskiniach, gdy mu opowiedziała, jakie ją czeka zadanie. „Chcę tylko tego. Być obok ciebie, pomagać ci. Jeśli to nam zajmie wieczność, tym lepiej, bo to będzie wieczność z tobą”.

Wtedy wydawało się to niemożliwe, ale proszę bardzo! Udało się. Praca, ból, a na deser ciastko.

Desery, postanowiła, będą sute. Bo co, może nie zasłużyli?

Liraz rozwiązała sprawę, oświadczając, że chimery i tak będą potrzebowały serafińskiej eskorty, bo jeszcze trochę potrwa, nim zapanuje niebudzący niczyjego niepokoju pokój. A mają przed sobą ważne zadanie. Mówiła w ten sam spokojny i irytujący sposób jak na naradzie wojennej. I z tym samym skutkiem: kiedy odzywała się Liraz, rodziła się prawda.

To się nazywa moc, pomyślała Karou i spojrzała na nią z rosnącym szacunkiem, choć anielica jeszcze nie zaczęła tej mocy używać. Ale Karou zdecydowanie wolała, gdy moc działała na jej korzyść, a nie przeciwko niej.

Ale to nie Liraz sprawiła, że każdy z serafinów zaoferował pomoc, gdy tylko usłyszał, co ma do zrobienia Karou.

To wtedy, gdy patrzyła na ich twarze, w głowie Karou zarysował się pisany jeszcze na brudno pierwszy rozdział nadziei na przyszłość Eretz. Serce rozpadło jej się na kawałki, tak jak wtedy, gdy Liraz przyznała się do śpiewania duszy Ziriego.

Każdy z Bastardów, który dowiedział się o duszach spoczywających w Loramendi, był gotów do pomocy przy ich wykopywaniu.

Wszyscy byli wojownikami, których prześladowały bolesne wspomnienia i dręczył wstyd. Nikt nie miał jeszcze szansy na... odmasakrowanie miasta. A w pewnym sensie właśnie to by zrobili, odkopując dusze pogrzebane w katedrze Brimstone'a. Tysiące chimer, które zdecydowały się na śmierć, wierząc w ponowne narodziny. Brimstone i Wielki Wojownik mieli nadzieję, że dziewczyna wychowana w świecie ludzi, niepamiętająca o swojej prawdziwej tożsamości i niemająca pojęcia o magii, którą w sobie nosi, jakimś cudem, pewnego dnia odnajdzie drogę i zwróci im życie.

Mało tego: że będzie istniał świat wartý dalszego życia.

Wiara w to wydawała się szaleństwem i chociaż właśnie stała pośród kilku setek żołnierzy, którzy odegrali rolę w tym dziele odnowy, jej spojrzenie jakby kuszone blaskiem biegło prosto do Akivy, bo bez niego nic by się nie zaczęło. Rozwidlona kostka. Życie Ziriego. Kadzielnica z duszą Issy. Propozycja przymierza. Wszystko. Stał przy niej na każdym etapie tej drogi. A wcześniej, dużo wcześniej, był ich wspólny sen. Wypowiedziane przez nią kiedyś życzenie. Inny sposób życia.

W jej ludzkim życiu, kiedy była artystką, co jakiś czas zdarzało jej się stworzyć rysunek o wiele lepszy od wszystkiego, co narysowała do tej pory. Który ją zachwycił. Nie mogła przestać na niego patrzeć. Spoglądała na niego wiele razy w ciągu dnia, a czasem nawet budziła się w nocy, żeby spojrzeć, zaskoczona i dumna.

Na Akivę patrzyła w ten sam sposób.

On czuł to samo. Gdy spotykały się ich oczy, był w nich głód. Nie tylko pożądanie, ale coś więcej, wiele innych uczuć. Jednocześnie głód i nasycenie, tęsknota i posiadanie, niewykluczające się wzajemnie.

Nie wiadomo, czy pod wpływem interwencji Liraz, czy tego ich spojrzenia, ale nikt się więcej nie kłócił. Zresztą, komu podlegał Akiva? Kto śmiałyby mu mówić, co ma robić? Po prostu stanęło na tym, że będzie towarzyszył Karou.

**Dawno, dawno temu
była tylko ciemność.**



A w niej pływały potwory wielkie jak światy.

Chęć

Zostały dwa dziesięcioosobowe oddziały Bastardów i tyle samo chimer. Reszta, te same zjednoczone siły, od których pociemniało niebo nad Veskal Range, poleciała na południe, pokazać się w Astrae.

– Będziemy potrzebowali kadzielnic i kadzidła – oznajmił Amzallag, który miał kierować odkopaniem katedry. W Loramendi stracił całą rodzinę, więc nie mógł się doczekać rozpoczęcia prac. Łopaty, kilofy, namioty i jedzenie wzięli z obozu Dominion, ale trudniej było o specjalistyczny sprzęt, więc postanowili zahaczyć po drodze o jaskinie Kirinów. Zdecydowały też i inne względy.

Karou nie mogła się doczekać spotkania z Issą, niepokoiła się też, czy pozostałym w jaskiniach wystarczyło jedzenia. Większość nie miała skrzydeł, co utrudniało zdobycie zapasów.

Na dodatek był jeszcze Ziri. O tym wiedzieli tylko ona, Liraz i Akiva. Nikt oprócz nich – no i Haxayi – nie miał pojęcia, że dusza Ziriego została zebrana z ciała Białego Wilka, więc Karou miała nadzieję, że całą mistyfikację uda się dyskretnie przemilczeć i udawać, że nic się nie stało. Że to Thiago, pierworodny Wielkiego Wojownika, najzacieklejszy wróg serafinów, zdołał stłumić nienawiść, zjednoczyć się z rebeliantami Imperium i wspólnie z nimi wytyczyć nową drogę. W tej sytuacji Ziriego ominą wszelkie zaszczyty związane z rolą, jaką odegrał w ich zwycięstwie.

Ale Karou wątpiła, żeby się tym zmartwił. Zresztą, może za jakiś czas będą mogli wyjawić prawdę. Teraz najważniejsze było sprytne uzasadnienie niespodziewanego powrotu ostatniego z Kirinów. Tak, żeby w żaden sposób nie skojarzyło się to ze śmiercią Białego Wilka. Na szczęście ostatnia misja, w jaką wyruszył Ziri na rozkaz Thiaga, owiana była tajemnicą. Po prostu nigdy z niej nie wrócił i nikt oprócz Karou nie widział jego ciała, więc wydawało jej się, że uda się to wszystko załatwić. I dobrze się składało, że po raz pierwszy pojawi się w domu swoich przodków. I w jej domu przy okazji też.

Może tym razem Karou znajdzie czas na powrót do rodzinnej wioski, położonej w głębi góry?

I wreszcie jeszcze jedna przyczyna, dla której tak bardzo chciała wrócić do jaskiń, ostatnia, ale nie najmniej ważna: sływały z ciemnych i krętych korytarzy, w których – jeśli się bardzo chciało – można było bez trudu zniknąć na godzinę albo na trzy. Albo nawet na siedem.

A ona bardzo chciała.

Liraz tęskniła. Klęło ją w sercu, ale nikomu o tym nie mówiła. Odłamany róg schowała głęboko w kieszeni, ale manierkę nosiła teraz Karou i Liraz brakowało ciężaru na biodrze.

Kiedy go wskrzesi? Nie spytała. Nie rozmawiały o tym. Wtedy, przy palisadzie, wydawało się to niepotrzebne. Łzy i śmiech! Gdyby ktoś jej powiedział, że będzie łkała w te niebieskie włosy... Zmroziłaby go wzrokiem. Tylko tyle, bo wszystko poza tym byłoby zbyt brutalne.

„Nie bądź brutalna”, wyobraziła sobie Hazaela i jego powolny sposób mówienia, zawsze na granicy śmiechu. „Odstraszysz wszystkich absztyfikantów”.

Na ten temat tylko on ośmielał się żartować. Liraz nigdy nie spojrzała na mężczyznę – ani na kobietę – w ten sposób. Jeśli wiedział, że przerażała ją sama myśl o tym, nigdy się nie zdradził. Chciał, żeby była silna.

„Każdy, kto będzie się starał o rękę mojej siostry”, zapowiedział raz, zgrywając groźnego brata, „będzie miał do czynienia z... moją siostrą”. A potem kulił się za jej plecami.

Haz. Co by mówił teraz, kiedy tak strasznie tęskniła za... powietrzem zamkniętym w manierce? O to chodziło? O tęsknotę? Obserwowała porywy serca swoich braci. Tak różne, jak oni dwaj. Miłostki Haza były częste, przelotne i zabawne. Bastardom broniono rozkoszy ciała, ale on się nigdy tym nie przejmował. Zauroczenia traktował jak hobby, zakochiwał się i odkochiwał bez trudu. Liraz podejrzewała, że w związku z tym nie miało to nic wspólnego z miłością.

A Akiva? Tylko raz. Na zawsze.

Milczący, cierpiący Akiva. Chyba nigdy nie była z nim tak blisko jak teraz. I to nie dlatego, że się zmienił. To ona się zmieniła. Jakie to ciekawe. Tęsknota i wpisany w nią lęk. Powinna nienawidzić tego uczucia. I jakaś jej część nienawidziła. „Uczucia są głupie”, upierał się głosik w jej wnętrzu, ale wydawał się coraz cichszy. Za to w tym głośniejszym ledwie rozpoznawała siebie.

„Chcę tego”, mówił. Wydobywał się z głębi, gdzie być może cierpliwie czekało na odkrycie wiele innych uczuć. Na przykład szczerzy śmiech. Haz się tak śmiał: dudniąco, bez wysiłku, swobodnie i po prostu. Albo dotyk. Chociaż na samą myśl serce zaczynało jej nerwowo przyspieszać.

Wiedziała, jak by zareagował Haz. Spojrzyłby na nią przeciągle i powiedział: „Widzisz? Są lepsze sposoby na szybsze bicie serca niż walka”. A potem by dodał, była pewna, bo mówił to już milion razy: „I błagam cię, rozpuść te włosy. Boli mnie samo patrzeć. Czym sobie zasłużyły na takie męki?”

Wyobraziła go sobie i zaśmiała się cicho. Może się nawet popłakała z tęsknoty, ale nikt nie widział, bo łzy zamarzły, zanim ktokolwiek zdołał je zauważyć. Lecieli nad górami Adelphas. Zerknęła na Karou, tylko na moment, żeby wypatrzeć srebrny błysk w okolicy jej biodra, gdzie wisiała manierka.

„Kiedy?”, zastanawiała się.

„I co potem?”

W czasie podróży Akiva czuł się rozdarty.

Z jednej strony wspomnienie pocałunków Karou i wszystko, co jej mówił. I to, co pomyślał, ale nie wypowiedział – tego było znacznie więcej. Wrzenie, które odczuwał, obserwując jej ciało w locie. I mrowienie w dłoniach, które też chciały je śledzić. Chciał myśleć tylko o niej. Czeka ich noc w jaskiniach Kirinów i to niejedna. Koniec już z rozstaniem. Myśl o wspólnym życiu wzbierała w jego piersi jak balon pełen radości, pragnienia. Pozbawionego słów okrzyku radości, który w każdej chwili gotów był wyrwać się z jego ust i zawisnąć w powietrzu jako echo.

Marzył o wylądowaniu u wejścia do jaskiń. Chciał szybko się przywitać z czekającymi, rzucić sprzęt na pokryty lodem kamień, chwycić Karou za rękę i pociągnąć za sobą. I biec w głąb jaskiń, dalej i dalej, a tam ją złapać, przytulić, śmiać jej się w szyję z niedowierzania, że jest wreszcie jego, że świat wreszcie jest ich, tego tylko pragnął.

Nie, inaczej: chciałby tylko tego chcieć.

A jednak coś mu nie pozwalało. I to od jakiegoś czasu. Ostatnio, kiedy słuchał o zwycięstwie w Adelphas i widział szok i niedowierzanie na twarzach opowiadających. Mówili, jakby to był sen i zaakceptowali swój triumf tak, jak się akceptuje sny: po prostu. Pierwsze starcie tu, w jaskini, kiedy żądni krwi rzucili się sobie do gardeł, ale nic się nie stało, też przyjęli jako fakt.

Ale intruz czaił się w jego myślach już wcześniej. Podczas ostatniej bitwy wezwał sirithar, ale tylko upadł na ziemię. I wcześniej, gdy czuł czyjąś obecność w jaskini, a w każdym razie myślał, że ją czuje. I jeszcze dawniej, w czasie pierwszego prawdziwego siritharu, stanu, którego jego umysł nie był w stanie w żaden sposób wytłumaczyć. Po wszystkim czuł się jak pozbawiona znaczenia istota ciągnięta przez jakąś katastroficzną siłę. Powódź albo huragan. Nie potrafił nad tym panować. W jakiś sposób mógł tę moc przywołać, ale nic ponad to.

Opowiadał Karou o „układach energii” i one faktycznie istniały, znalazł w sobie miejsce, po którym mógł się przemieszczać – choć na ślepo – już od pierwszych prób obcowania z magią. Poznawał tę przestrzeń, ten bezmiar i odczuwał wobec niej pokorę, ale to nie była jego moc.

To go trapiło najbardziej: podejrzenie, że kiedy osiągał sirithar – czy też stan, który postanowił tak nazywać, bo nie znał innego słowa na określenie tak wyjątkowej koncentracji – nie wypływał on z wewnątrz, tylko przychodził z zewnątrz. A to, co odpowiadało na jego wezwanie – źródło tej mocy – nie znajdowało się w nim i nie należało do niego.

Tylko... czym w takim razie było?

Oczekiwanie na magię

Czekali na nich.

Ci, którzy pozostali w jaskiniach, musieli wystawić strażę wypatrującą ich powrotu, bo jak tylko się zbliżyli, niespokojni, czy w czasie ich nieobecności nic się nie stało, wszyscy zjawili się, żeby ich powitać. To było przyjemne. Jakby wrócili do domu.

Karou wleciała prosto w objęcia Issy i została w nich tak długo, że zmije, które członkowie plemienia Naja zaprosili do towarzystwa – ślepe węże żyjące w dusznych przejściach pod jaskiniami, blade i lśniące – zebrały się wokół nich.

– Moja słodka – wyszeptala Issa – wszystko dobrze?

– Nawet lepiej – odparła Karou aż zarumieniona z emocji. Nie było Brimstone’a i nie mogła mu opowiedzieć, że spełnia się najfantastyczniejszy i najśłodczy ze snów. Została jej Issa, nie miała nikogo mu bliższego.

Najpierw odbyły się powitania, a potem przekazywano wieści, mnóstwo wiadomości, chociaż mówili tak zwięźle, jak się dało. Zaczęły się niekończące się rozmowy, ale Issa przechwyciła spojrzenie błędzące między Karou i Akivą. Jedno z tych spojrzeń, rozpalonych jak lont, skrzących się niemal od żaru. Nie mogła się nie uśmiechnąć. Oni nic nie zauważyli – nie widzieli niczego poza sobą – a kiedy oznajmiła: „Nasi bohaterowie są pewnie bardzo zmęczeni” i zaczęła rozpędzać zgromadzenie, nie domyślili się, że zrobiła to dla nich.

Wszyscy się cieszyli, że ktoś na nich czekał. Poczuli się jak u siebie, nawet Bastardzi. Ruszyli całą grupą, razem z tymi, którzy wyszli im na powitanie, a kiedy dotarli do wielkiej jaskini, z której chimery powinny ruszyć dalej w głąb, do wiosek, które wcześniej zajmowały, nie zrobiły tego. Zostały z aniołami, żeby wspólnie przygotować posiłek pod kocami stalaktytów.

Karou nie była głodna. W każdym razie na pewno nie miała ochoty na kradzione zapasy Dominium.

Czuła się jak w Boże Narodzenie. Nie miała za sobą zbyt wielu świąt z prawdziwego zdarzenia, ale wiedziała, jak powinny wyglądać. Te spędzone z Esther były jak przedstawienie: błyszczące i cudowne, ale przeznaczone raczej do podziwiania niż uczestniczenia w nich. Dwa razy zaprosiła ją rodzina Zuzany i tam bawiła się znacznie lepiej. Chociaż nie były już dziećmi, robiły wszystko, żeby się tak poczuć. Państwo Novákowie kultywowali tradycje świąteczne i nawet starszy brat Zuzany, który wychodził z siebie, żeby zrobić na Karou wrażenie swoją wątpliwą męskością, zbiegł po schodach na złamanie karku, żeby jako pierwszy zajrzeć pod choinkę.

Miała wrażenie, że oczekiwanie dobiegało końca. Nie wyczekiwanie na wyrok, tylko czekanie najlepsze z możliwych: na magię.

Ta, na którą czekała Karou, po którą wyciągała rękę – i czuła, że bliźniaczka z lustrzanego odbicia podaje ją z drugiej strony zwierciadła – była tylko dla dorosłych.

Nie mogła oderwać od Akivy wzroku. Kiedy na niego patrzyła, okazywało się, że i on na nią patrzy, a jeśli akurat nie spoglądał, instynktownie wyczuwał jej spojrzenie i je odwzajemniał. Wszystko, co się pomiędzy nimi działo, było intensywne, pełne życia i treści. W kąciку ust

błąkał mu się uśmiech, bo to rzeczywiście robiło się zabawne, nareszcie, teraz, kiedy już oczekiwanie się kończyło. W tej chwili każdego, kto nie był... nimi, odbierali jako przeszkodę. Odbywało się wzajemne kuszenie, zwlekanie, gra w to, kto wytrzyma dłużej, jeszcze choćby minutę. Trwał taniec. Tylko ich dwa ciała, spośród wielu, reagowały na magnetyczne przyciąganie, bez względu na to, co ich od siebie oddzielało.

Karou czuła, że jej skóra się budzi. Nawet nie zauważyła, że wcześniej spała, dopiero pocałunek w niebie, ten, który wylądował pod jej uchem, coś w niej przełączył. Teraz po całym jej ciele kursowały błyskawiczne, rozkoszne wyładowania elektryczne, wywołujące gęsią skórę, dreszcze i fale gorąca. Nie potrafiła sprawić, żeby ręce przestały jej się trząść. To chemia miłości, której nazwy pamiętała ze szkoły: dopamina, nonadrenalina. Pamiętała, że na jakichś zajęciach prowadzący nazwał ich mieszankę „koktajlem miłosnego uniesienia”, a ona i Zuzana śmiały się tak, że nie mogły przestać. Teraz w tym koktajlu tonęła. Była zarumieniona, rozedrgana, a w jej brzuchu trzepotało stado motylio jelitusów. Bicie jej serca zbliżało się rytmem do stepowania, oddychała płytko. Usiłowała wciągnąć powietrze głęboko do płuc, żeby się uspokoić, ale te wdechy były jak boja, która nie chce dać się wepchnąć pod wodę. Groziła jej hiperwentylacja, ale to nic, bo przewijała się w niej cała gama doznań i emocji, od rozchichotanych dreszczy po pełne, przeszywające tony basu, zwiastujące przyjemność powolną i słodką jak miód.

Wystarczy powiedzieć, że Karou niemal stała w płomieniach.

Akiva znów podchwycił jej wzrok. Iskra i wybuch. Światło i ogień, od którego zajął się łączący ich lont. Patrzyła na jego dłonie, spuszczone przy bokach, których nie był w stanie uspokoić. Zacisnął je w pięści. Potem rozluźnił, ale wiedział, że i tak nie zaznają ukojenia, aż pozwoli im zrobić to, czego chciały: aż jej dotkną. Cały był napięty. Ona też. Przypominali struny skrzypiec gotowe do wydania dźwięku.

Pytanie w jego oczach, w przechylonej głowie, w skuleniu ramion. Cały był pytaniem.

A przecież odpowiedź była taka prosta. Karou kiwnęła głową i niewidzialny przełącznik sterujący doznaniem jej skóry natychmiast przeskoczył na wyższy poziom, bo aż zawibrowała.

Nareszcie. Nareszcie!

Skręciła trochę, żeby wślizgnąć się w korytarz prowadzący do źródeł – do źródeł? Dlaczego tam? Nieważne. Zrobiła się czerwona. Dobrze się składało, że kompas tam ją prowadził – ale skręcając, zauważyła Liraz.

Stała z dala od wszystkich, wysoka, nieruchoma i jak zawsze tak cholernie wyprostowana, jakby ktoś – może Ellai? – przytroczył jej sznurek do czubka głowy i trzymał, nie dając się rozluźnić. Sztywna, z twarzą naznaczoną rozdzierającym oczekiwaniem. Kontrolka przy dopiero co odkrytym przełączniku Karou zgasła. Siadło napięcie. Elektryczne wyładowania zanikły, temperatura ciała wróciła do normy, koktajl miłosnego uniesienia się zneutralizował. Koniec dreszczy, oddech wylądował w płucach jak spuszczone w morze kotwica.

Jeżu, co jej odbiło? Zamrugwała. Dusza Ziriego zwiślała z jej paska, a ona zamierzała...?

Mocno i szybko pokręciła głową, żeby się opamiętać. Czekający po drugiej stronie jaskini Akiva zmarszczył brwi. Popatrzyła na niego bezradnie, dotknęła manierki, a on natychmiast zrozumiał. Zerknął na Liraz, a ona, zobaczywszy, co się dzieje między nimi, zeszywniała jeszcze bardziej.

Spotkali się przy drzwiach, do których Karou i tak zmierzała, choć w innym celu.

– To nie potrwa długo – zapewniła.

– Pomogę ci – odparł, a ona skinęła głową.

Przygotowywała się do tej chwili, odkąd Ziri poderżnął sobie gardło, żeby zostać Wilkiem. Zaginał, z misji wróciły wszystkie patrole oprócz jego, a ona zebrała elementy potrzebne do powołania do życia ciała Kirina, tak silnego i prawdziwego, jak tylko się uda. Zęby człowieka i antylopy, kostki nietoperza, żelazo i jadeit. A nawet brylanty trzymane specjalnie dla niego. Schowała to wszystko w małym, aksamitnym woreczku na biżuterię, który trzymała wśród akcesoriów wskrzesiciela i zostawiła w jaskini razem z kadzielnicami i kadzidłem.

Składniki potrzebne do wykonania Ziriego.

Poza tym najważniejszym, który przebywał w manierce. Chciała, żeby nowe ciało było jak najbliższe pierwszemu, kirińskiemu. Wtedy coś jej przyszło do głowy.

– Zaczekaj chwilę – rzuciła do Akivy i wróciła do stojącej samotnie Liraz.

– Nie musisz... Teraz... – zaczęła anielica.

Karou tylko machnęła ręką.

– Masz ten kawałek rogu, który ci dałam?

Liraz oddała go niechętnie, bo szkoda jej się było z nim rozstawać. Karou przyłapała się na nadziei, głębokiej i przyjemnej, że jej uczucia zostaną odwzajemnione. Nie tylko ze względu na nią, ale i na Ziriego. On przecież był jeszcze bardziej samotny niż ona kiedyś. Ona miała w końcu Brimstone'a, wspomnienia o rodzicach i o ich plemienu. A kogo miał on?

Niech to będzie jeszcze jeden nieprawdopodobny, cudowny początek.

– Chcesz iść ze mną? – spytała, ale Liraz pokręciła głową, więc ją zostawiła, samą poza kręgiem żołnierzy, i poszła zrobić ostatnią rzecz, która do niej należała.

My się chyba nie znamy?

Liraz nie mogła wytrzymać w wielkiej jaskini. Czowała się za bardzo na widoku, więc wałęsała się to tu, to tam, aż w końcu wylądowała przy głównym wejściu. Na straży stała jedna z bezskrzydłych chimer, więc ją zwolniła i przejęła wartę. Usiadła na kamieniu.

Słońce już zachodziło, ale przez wejście w kształcie sierpa wpadały ostatnie promienie. Obserwowała, jak topnieje, natykając się na odległe szczyty i zalewa horyzont płynnym złotem. Cały świat między nią a słońcem zatopiony był w pomarańczowym świetle. Sięgało nawet dalej, poza nią, w głąb jaskini i oślepiająco prześlizgiwało się po zamrożonej posadzce.

A później zbladło i oziębiło się, odcienie złota ustąpiły miejsca szarościom, a niebo miało kolor najintensywniejszego granatu, jak zawsze na kilka sekund przed zapadnięciem czarnej nocy, która na pierwszy plan wypycha gwiazdy. Usłyszała za sobą ruch, ale bała się odwrócić.

Nieśpieszne kroki. Klik, kłok, Dzwonienie kopyt. Poznała, że to on – po kopytach, jak romantycznie – ale nic nie mogła poradzić na odruch niepokoju czy nawet obrzydzenia. Zbyt długo jej to wmawiano. Był chimera. Co ją napadło?! Nie trzeba się od razu w kimś zakochać, tylko dlatego że ci uratował życie!

Zakochać się? O gwiazdne bóstwa. To słowo po raz pierwszy ośmieliło się zwerbalizować i to od razu w ten sposób. W negatywnym kontekście. Zdziałało jak zwykle: strach, zaprzeczenie i odruch ucieczki.

Walczyła z sobą, żeby zostać na miejscu. Upominała się, że przecież nic nie zrobiła. Do niczego go nie zachęcała. Ani kiedy umierał w skórze Wilka, ani nigdy wcześniej. Nie wydarzyło się między nimi nic, czego mogłaby żałować ani czego powinna się wyprzeć i nie ma powodu do ucieczki. Był tylko towarzyszem, jedynie...

– My się chyba nie znamy?

Serce Liraz zaczęło walić jak oszalałe. Przyzwyczaiła się do głosu Wilka, ale to nie znaczyło, że go polubiła. Nawet, gdy mówił do niej jako on, jeden, jedyny raz, kiedy stali zanurzeni prawie po szyję w tych dziwnych gorących wodach, głos miał szorstki, jakby w każdej chwili na skraju oddechu mógł się zrodzić warkot. Dobrze pasował do pazurów na dłoniach i kłów. Skrywana brutalność.

A ten głos? Dźwięczny jak wietrzna muzyka Kirinów, naturalnie wyrazisty i gładki.

Znała swoją kwestię. Zdołała zebrać się w sobie i chociaż skrzywiła się, słysząc, że jej głos drży, odparła:

– Dobrze wiesz, kim jestem, ja ciebie też znam. Na tym...

– ...nie poprzestaniemy.

Wpadł jej w słowo, oplótł jej słowa głosem i zmienił scenariusz. Potem zapadła cisza, a ona słyszała jego oczekiwanie. Czy można słyszeć oczekiwanie? Nigdy się nad tym nie zastanawiała, ale okazuje się, że można. Ona słyszała. Czekał aż się odwróci i nie mogła już dłużej tego odkładać.

Przed nią stał Ziri z plemienia Kirinów, a Liraz nie mogła oddychać.

Był wysoki. Wiedziała o tym, już kiedy obserwowała jego walkę z żołnierzami Dominium, którzy wyglądali przy nim na podrostków. Ale widzieć z oddali, a widzieć tuż przed sobą i musieć odchylić głowę, żeby zobaczyć twarz, to dwie różne rzeczy. Odchyliła więc głowę. I jeszcze bardziej, żeby przyjrzeć się dobrze rogom, które do maksimum wydłużały jego

sylwetkę. Długie jak jej ręce, jeśli nie lepiej, były czarne i lśniące. Żaden – od razu zauważyła – nie miał ułamanego końca. Zaczęła się zastanawiać, co się stało z tym koniuszkiem, który tak dobrze pasował do jej dłoni.

Poza tym był smukły, nie tak barczysty jak Akiva i większość Bastardów, ale to współgrało z jego wzrostem. Przy czym nie miał wcale wąskich ramion. Czarne skrzydła złożył. Liraz wyobraziła sobie, jakie muszą być rozłożyste, żeby go unieść. Miał na sobie białe ubranie, co zupełnie do niego nie pasowało. Musiał zauważyć, że zmarszczyła czoło, bo złapał materiał w palce i wyjaśnił:

– Należy do Wilka. Nie mam nic swojego. Oprócz... – uśmiechnął się i wskazał na siebie obiema dłońmi – całej reszty.

To ten uśmiech. Ziri się uśmiechnął i Liraz go zobaczyła.

Nie kopyta, nie rogi, którym się tak uważnie przyglądała, tylko jego jaźń. Kirińskie piękno należało do dzikiego, wrogiego gatunku. Ostre rogi, ostre kopyta i ostry kształt skrzydeł. Był istotą mroku i kątów ostrych, w przeciwieństwie do niej. Księżycowa postać kontra słoneczna, cień kontra blask. Ale to tylko ciało. To w jego uśmiechu, oczach i pragnieniu – wciąż jeszcze pragnął – zobaczyła go i w nich go poznała. Siłę, wdzięk, samotność i tęsknotę.

I nadzieję.

I wahanie.

Stał bez ruchu i wystawiał się na jej ocenę, co ją zawstydziło. Widziała nieruchome oczekiwanie, strach, że ona zobaczy w nim potwora. Jak miała go przekonać, skoro jeszcze pięć sekund temu sama nie była pewna? Jak mu powiedzieć, że jest piękny i że ją zachwyił, że milczy nie z powodu obrzydzenia, tylko podziwu?

Postanowiła spróbować:

– Ja... Ty...To...

I koniec. Nic więcej. Nie wychodziło jej. Nie umiała. A na co niby liczyła? Że nagle wykrzesze z siebie trochę ciepła, choć spędziła całe życie na tłumieniu go? No nie, on zaraz pomyśli, że ją mdli od jego obecności! Stała sztywna jak kulek i milcząca, więc równie dobrze mógł gadać z jednym ze stalagmitów. Musiała się bardziej postarać.

Pokiwała głową.

„Tak, świetnie! Idź bardziej w tę stronę! Stalagmity niczym nie kiwiają”.

Jedną ręką objęła się na wysokości żeber, mocno, a drugą podniosła, jakby zamierzała powstrzymać głowę przed kiwaniem, ale w końcu zakryła nią usta.

„Serio?!” Na więcej jej nie stać? Patrzył, jak splata się w supeł, z zakrytymi ustami, co tak łatwo można było źle zinterpretować. W jego wielkich – słodkich, brązowych – oczach pojawiła się niepewność. Pytanie. Podjęła ostatni, heroiczny wysiłek.

– Podoba mi się – wyszeptała. Dłoń na ustach nie powstrzymała jej przed bezsensownym kiwaniem głową, ale całkiem stłumiła słowa, więc Ziri i tak nic nie zrozumiał.

Pytająco nadstawił ucha.

– Słucham?

Zabrała rękę i najwyraźniej jak mogła oświadczyła:

– Podoba mi się. Znaczący, ty. – Potem znowu zakryła usta i zrobiła się cała czerwona. Już miała wzywać jedną z tych dziwacznych chimeryjskich bogiń od skrytobójców, żeby skróciła jej męki, kiedy z oczu Ziriego zniknęła niepewność.

Szeroki, szczery uśmiech powinien ją rozwścieczyć, bo nie znosiła, kiedy ktoś się z niej nabijał, a on się śmiał z jej totalnego, żalostnego niepozobierania. I na tym nie poprzestał! Uśmiechał się dalej. Najpierw był rozbawiony. Potem zachwycony. A na końcu zobaczyła wielką, wielką ulgę. Uśmiechał się tak ślicznie, że czuła to w głębi serca.

– To dobrze – odezwał się. – Ty też mi się podobasz.

Zarumieniła się jeszcze bardziej, ale teraz i on się rumienił, więc nie była już tak załamana.

Chociaż nie, była nadal. Bo co teraz? Czy powinna próbować wygłosić kolejne bezsensowne zdanie? A może trzeba by wymienić inne rzeczy, które jej się podobają. Stwierdziła, że to by było dziecinne, a poza tym... No cóż, jej się podobało niewiele rzeczy, więc to zajęłoby tylko moment, a potem co?

Poza tym ona nie chciała tracić czasu. Chciała żyć chwilą. Wieloma chwilami.

„Ale, jak się, na litość gwiezdnych bóstw, do tego zabrać?!” A może już za późno na naukę?

– Hm – odezwał się Ziri. Poruszał rękami, pokręcił nimi, a potem rozłożył skrzydła. Rozbłysły, a z bliska wydawały się rozłożyste jak skrzydła burzołowców. Potem odchrząknął i dodał: – Jedną z najgorszych rzeczy w byciu Wilkiem było to, że nie mogłem latać. Więc polatam teraz. – Denerwował się, zacinał się, mówiąc, a potem wskazał na księżycowe wycięcie w skale, gdzie najczystszy granat ustąpił już miejsca czerni, a gwiazdy rozsypane były gęsto jak cukier.

„Och. Aha”. Liraz prawie – prawie! – ulżyło, że to już koniec i że będzie mogła sobie pójść. Rozpłynąć się. Nawrzeszczyć na siebie w samotności. A może i trochę umrzeć.

Ziri znów odchrząknął i na nią popatrzył. Szczerze. Z nadzieją.

– Może... chcesz lecieć ze mną?

Latanie? O tak, to potrafiła. Nawet nie musiała się spinać i formułować tej jednej sylaby, która oznaczałaby zgodę. Po prostu kiwnęła głową.

(Oddychaj)

Karou rozczesywała włosy. Spokojnie. Z tym, że spokój był wymuszony. („Oddychaj”).

Odłożyła grzebień. Znalazła go tutaj, pochodził z czasów kirińskich. Rzeźbiona kość z prymitywnym wizerunkiem burzołowcy wyciętym na rączce. Zamierzała go zatrzymać.

(„Oddychaj”).

Spojrzała na siebie w rozmigotanym świetle płonącego skohlu. Ciuchy od Esther były jeszcze w niezłym stanie, ale nie dawała jej spokoju myśl, że na rękawie jest ślina Razguta. Przed odlotem zostawiła tu kilka rzeczy, ale brudnych. Czy kiedyś jeszcze będzie posiadaczką szafy pełnej ubrań i zazna przyjemności wybierania ciuchów – czystych! – w które się ubierze na spotkanie z... Z kim? Jak miała nazywać Akivę?

„Chłopak” brzmiał zbyt ziemsko. „Kochanek” – pretensjonalne. Poza tym to słowo wywoływało szok. „Znasz już mojego kochanka? Czy nie jest boski?” Nie. To znaczy tak, był boski. Ale nie będzie go tak nazywać, chociaż aż kręciło jej się w głowie od pragnienia uczynienia go kochankiem.

(„Oddychaj”).

Partner? Za sucho.

Bratnia dusza?

Poczuła ciepło. Czy istniało prawdziwsze określenie na to, co łączyło ją i Akivę? A samo słowo nie niosło żadnych patetycznych skojarzeń. „Też lubisz Pixies??? Rany, spotkałam bratnią duszę!”

Zresztą, teraz w ogóle nie musiała go nazywać. Musiała po prostu do niego pójść i dawała głowę, że nie będzie miało dla niego żadnego znaczenia, co ma na sobie.

Ostatni wdech. Jej serce zrobiło koziołka i poczuła, że wreszcie przyszedł czas, tym razem naprawdę.

Akiva pomógł jej stworzyć ciało Ziriego. Złożył ofiarę z bólu i nawet nie potrzebował zacisków, co się dobrze składało, bo chyba nie dałaby rady dotknąć jego nagiej skóry i nie poczuć dzikiego głodu, który opętał ją wcześniej, w jaskini. Zapadła w trans ze świadomością, że jest obok, a kiedy skończyła i gotowe ciało – niezamieszkane jeszcze przez duszę – leżało na podłodze przed nimi, ocknęła się i zobaczyła, że Akiva na nią patrzy. Wyglądał na pijanego ze szczęścia i natychmiast to samo uczucie rozkwitło i w niej.

– Jeszcze nigdy nie patrzyłem na ciebie tak długo.

– Myślałam, że będziesz obserwować wskrzeszenie? – Wskazała na ciało i poczuła rozpierającą dumę. Wyglądało niemal jak to pierwsze i stwierdziła, że jak dobrze pójdzie, nikt nie zauważy, że jest nowe. Nie dodała mu nawet hams, bo raz, że prawdziwy Ziri ich nie miał, a dwa – zależało jej na powrocie do korzeni.

– Zamierzałem patrzeć – Akiva tłumaczył się speszony i rozgarnął krótkie, gęste włosy, jak to miał w zwyczaju. – Ale mi przeszkadzałaś.

– Nieładnie! Ja nie mogłam na ciebie patrzeć.

– Obiecuję, że później ani drgnę, żebyś się napatrzyła do woli. – Później? Czyli potem. Potem, jak już dla odmiany przestaną się ruszać.

(„Oddychaj”).

– Zgoda.

I wtedy, wtedy wreszcie, uśmiech.

Jeszcze go nie widziała swoimi oczami, wspominała tylko to, co widziały oczy Madrigal. Uśmiech ciepły i pełen zachwytu, tak piękny, że aż bolało. Oczy marszczyły mu się w kącikach, a jego piękno osiągnęło dzięki temu kolejne stadium doskonałości. Podszyte szczęściem, a szczęście odmienia każdego. Sprawia, że serca stają się całością, a życie warte jest przeżywania. Karou poczuła, jak wypełnia i ją, kręciło jej się w głowie i nogi miała jak z waty. Zakochała się jeszcze bardziej.

Zaproponował, że wyjdzie, żeby mogła sama dokończyć, ona się zgodziła, bo chciała spędzić z Zirim chwilę sam na sam. Czuła, że musi. Widok Ziriego otwierającego nowe oczy – brązowe, nie błękitne i zimne, bez arogancji właściwej Thiagowi – był najpiękniejszą chwilą w jej dotychczasowej karierze wskrzesicielki. Uściskała go, trzymała w ramionach, powiedziała, że już po wszystkim, że nie musi się dłużej chować, a jego ulga okazała się tak wielka, że jeszcze bardziej doceniła to, na co się dla nich wszystkich naraził.

Wymyślili najprostsze z możliwych wytłumaczenie jego nieobecności i nieoczekiwanego powrotu, a potem sobie poszedł. Karou pomyślała, że tak się cieszył z bycia znów Kirinem, że chciał polatać. A może wyczuł jej niecierpliwość? Albo chodziło o wieści, które mu przekazała, o tym, kto nosił jego duszę w manierce, a teraz czekał gdzieś w jaskiniach.

W każdym razie zmył się szybko, a ona, wykonawszy wreszcie wszystkie obowiązki, miała czas dla siebie. Zatrzymała się, odetchnęła głęboko. Z kieszeni torby wyjęła mały przedmiocik, który nosiła przy sobie już kilka dni, od czasu sułtańskiego pikniku na podłodze pustynnego hotelu w Maroku. Miała zachciankę, żeby to zabrać.

Rozwidlona kostka życzeń. Uśmiechnęła się i zacisnęła ją w dłoni. Od pierwszej wspólnej nocy mieli taki pożegnalny rytuał w świątyni Ellai: wypowiadali życzenie. Była gotowa na kolejny, ale nie mający nic wspólnego z pożegnaniem. W poprzednich życiach mieli ich dosyć.

Ruszyła. Szła i przyciskała kostkę do serca. A w każdym razie zaczęła iść, ale wkrótce już podlatywała, w powietrzu sunęła naprzód, nie dotykała już podłogi. „Latanie strasznie rozleniwia”, pomyślała, ale jakoś jej to nie martwiło. Korytarze się wiły, a pochodnia błyskała na zielono i przy większych szybkościach groziła zgaśnięciem. Zresztą, niedługo i tak się wypali, ale gdy tylko spotka się z Akivą, nie będzie potrzebowała światła.

Zbliżała się do wejścia do jaskini z gorącymi źródłami. Na ostatnim zakręcie już się miała roześmiać, już była gotowa na wymruczenie w jego usta, w jego szyję, że „wreszcie, w końcu, myślałam, że umrę”, głodna, spragniona, szczęśliwa i...

Stała jak wryta.

Akivy nie było.

„No jasne”, mruknął cichy, drwiący głosik w jej sercu.

Stłumiła go. Jeszcze. Po prostu Akivy jeszcze nie było. Choć to i tak dziwne, bo mówił, że

idzie prosto tutaj. Dobra, nieważne. Nie ma się czym przejmować. Może się zgubił. No nie, w to by nie uwierzyła, nie był offermą. Może coś robił i myślał, że zdąży dotrzeć tu przed nią. A ona przyszła szybko, bo Ziriemu też się śpieszyło.

Woda była bladozielona i parowała. Kryształły lśniły, kurtyny czarnego mchu się kołysały, a najdłuższe łodygi zanurzały się w źródłach. Zastanawiała się przez chwilę, czy by nie zdjąć ubrania i nie wejść do wody, ale trwało to tylko moment, nie myślała o tym poważnie. Wrażenie, że jej nie wolno, było bardzo wyraźne, wpijało jej się palcami w ramiona. Bardziej zdecydowane i złożone niż się spodziewała. Po chwili zdała sobie sprawę, że od chwili ostatniego przejścia przez portal czekała, aż coś się zepsuje. Ale co? Nie wiedziała. Ten piskliwy głosik, który szepnął „No jasne” też nie wiedział. Przeczuwał tylko – ona przeczuwała – że poszło za łatwo.

To było takie dziwne wrażenie w kręgosłupie, jak tuż przed atakiem Dominium w górach. Miała wrażenie, że coś przegapiła.

„Powinien już być”.

Starła się myśleć racjonalnie. Przyszła tu pięć sekund temu, on w każdej chwili może wyjść zza rogu.

Ale nie wyszedł.

„No jasne, jasne, naprawdę myślałaś, że będziesz szczęśliwa?”

Puls jej przyśpieszył, oddychała płytko, ale tym razem była to tłumiona ostatkiem sił panika, nie pożądanie.

Akiva nie przyszedł.

Pochodnia zgasła, a drogi powrotnej nie oświetlały serafińskie skrzydła. Intuicyjnie odnajdywała kierunek w ciemności, a rozwidloną kostkę mocno przyciskała do serca.

Legendy

Zobacz.

Ziri pierwszy wypatrzył burzołowcę. Nie pokazał go palcem, tylko wyszeptał jak najciszej, by nie poruszyć powietrza. Te stworzenia wyczuwały mikroskopijne drgania z ogromnych odległości. Właściwie to dziwne, że leciał tak niedaleko...

A wręcz zbliżał się do nich.

Liraz spojrzała, a Ziri prawie w takim samym stopniu jak widokiem burzołowcy zdumiewał się grą światła gwiazd na jej pięknej twarzy. A może nawet bardziej. Obserwował ją, jak się

przyglądała temu dziwu i czerpał zdziwienie z jej zdziwienia.

Nagle zmrużyła oczy i stwierdziła:

– Coś jest nie tak.

Przez tę chwilę, kiedy na nią patrzył, burzołowca zmienił kurs i już nie leciał w ich stronę. Wciąż znajdował się za daleko, by Ziri mógł stwierdzić, co zaniepokoiło Liraz. Stworzenie lśniło, ślizgało się, wykorzystując prądy powietrza i wyglądało zjawiskowo.

Przyjrzał się uważnie.

– Czy to...?

– Tak.

Liraz się spięła, a on już widział, że nie bez powodu. Działo się coś osobliwego. Równie dziwnego jak... jak na przykład Kirin i Bastardka latający sobie nocą dla przyjemności. Dziwność, pomyślał Ziri, będzie się musiała w przyszłości bardziej starać, żeby po czymś takim kogoś zadziwić. Ale póki co, to faktycznie była anomalia.

Bo w oddali zobaczył błysk serafińskich skrzydeł.

Najpierw pomyślał, że jakiś anioł poluje na burzołowcę, ale na to było za spokojnie. Burzołowca leciał sobie, jakby nigdy nic, a anioł frunął tuż obok.

– Widziałaś kiedyś coś takiego?

Liraz się roześmiała, cicho, ledwie słyszalnie.

– Nie. Chociaż wiem, że Joram bardzo chciał mieć burzołowcę w kolekcji trofeów. Przez jakiś czas trwały wyścigi. Kto pierwszy mu go dostarczy. Wszyscy wazelinarze z Imperium starali się go schwytać, ale bez skutku. Nawet kilkoro zginęło. W końcu musiał wezwać myśliwych i tropicieli. Najlepszych. I wiesz, ilu burzołowców udało im się złapać?

Nie wypowiedziała tylu słów, odkąd zastał ją w progu jaskini. Dotąd zachowywała się tak, jakby ktoś jej odciął język. Ziri znów się nie mógł powstrzymać od wpatrywania się w nią. Na moment zapomniał o burzołowcy i aniele.

– Ilu? – spytał.

– Ani jednego.

– I dobrze.

– Też się cieszyłam.

Z bolesnym ukłuciem smutku uświadomił sobie, że chociaż kierunek wiatru mu sprzyjał i korzenny zapach Liraz był wyraźny jak żywy kolor, nie czuł już pozostałych odcieni jej sekretnych perfum, tak subtelnych, że przyćmił je ten dominujący. Czuł je, gdy ją niósł na rękach, ale zmysł węchu Kirina był znacznie słabszy niż wilczy i co dyskretniejsze wonie przepadły. Cóż, zostanie przynajmniej pamięć o nich. To zawsze coś. Przynajmniej tyle zyskał dzięki byciu Wilkiem.

Nie ruszali się z miejsca i w milczeniu obserwowali, jak burzołowca się przechyla i skręca, a anioł go nie odstępował, choć czasem wyrzynał do przodu, a czasem zostaje w tyle.

– Chodź – zaproponowała Liraz, kiedy odległość się zwiększyła i skierowali się na północ. –

Polecimy za nimi.

I polecieli. Po chwili zauważyli, jak chaotyczny był lot tamtych. Zawisali przy graniach, gdzie szalał i zbierał siły wiatr, potem krążyli wokół jednego z niższych szczytów, a w końcu całkiem zmienili kierunek i ustawili się znów na wprost Liraz i Ziriego.

Zaczęli się do nich zbliżać, a kiedy burzołowca dotarł już całkiem blisko, Ziri zorientował się, że anioł nie jest jego jedynym towarzyszem. Ktoś na nim siedział. Wcześniej ich nie zauważył, bo w przeciwieństwie do serafina, nie emitowali światła.

– Czy to...? – spytał zszokowany.

– Chyba tak – wysapała Liraz.

Tak, to to byli oni. A kiedy zauważyli Liraz i Ziriego, zaczęli krzyczeć w swoim dziwnym, ludzkim języku. Ziri oczywiście nic nie rozumiał, ale nawet on pojął zwycięski ton i płynącą z niego najczystsza, oślepiającą radość.

Przecież mieli się z czego cieszyć. Mik i Zuzana okiełznali burzołowcę. Zostaną legendą.

Wybór

Akiva nie rozumiał co się stało. W jaskini z gorącymi źródłami czekał na Karou z bijącym jak oszalałe sercem.

A potem nagle już go tu nie było.

Czas przeskoczył.

„Jest przeszłość i jest przyszłość”, nie tak dawno mówił swoim braciom i siostrze. „Teraźniejszość jest jedynie sekundą oddzielającą je od siebie”.

Mylił się. Jest wyłącznie ciągnąca się w nieskończoność teraźniejszość. Przeszłość i przyszłość są jak klapki na oczach, które chronią nas się przed szaleństwem.

Co się z nim działo?

Stracił świadomość ciała. Znajdował się w królestwie umysłu, w prywatnym wszechświecie, w otchłani jaźni, gdzie czasem trafiał, żeby czarować, ale tym razem nie znalazł się tu z własnej woli i nie mógł się wydostać.

Ktoś go uwięził?

Odczuwał obecność. Miał wrażenie, że otaczają go głosy, ale są tuż poza zasięgiem. Nie słyszał ich. Odbierał je jako fale burzące powierzchnię jego świadomości, jakby ktoś przesuwiał palcem po dalekim skraju jedwabnej tkaniny. Słyszał, że nie zgadzają się ze sobą.

Rywalizujące z sobą energie. Nie należące do niego.

Jego moce zostały okiełznane i stłumione. Wiedział tylko, że nie znajduje się tu, gdzie powinien. Karou przyjdzie do jaskini i go nie zastanie. Może już tam jest. Czas stał się niespójny. Jak długo to trwa? Dziesięć minut? Godzin? Nieważne. Skupić się. Istnieje tylko teraźniejszość. Wystarczy otworzyć oczy i spojrzeć w odpowiednim kierunku, żeby znaleźć się w dowolnym jej punkcie.

Tylko w którym kierunku patrzeć? Nie miał przecież kompasu. Zresztą, to nieważne, skoro i tak nie mógł otworzyć oczu. Został gdzieś wessany. Spętany. Coś mu zrobiono.

Znajdował się nie w tym miejscu, w którym powinien. Został stamtąd zabrany. Wbrew swojej woli. Kiedy akurat nie mógł w sobie pomieścić przepelniającej go nadziei. Pojmano go i pozbawiono woli, właśnie teraz gdy Karou na niego czeka i w końcu znaleźli chwilę tylko dla siebie. Nie mógł znieść bezsilności.

I pokonał ją. Zaczął się wyrwać.

Najpierw rozległ się grzmot. Ostrzeżenie. Huk w głowie. Znów się w sobie skurczył, ale nie na długo. Dźwięk spadającego gromu to nie przeszkoda. Jeśli tylko on go zniewalał, to tak naprawdę nie był spętany. Każde włókno siły, jaką miał w sobie, zmobilizował do niemego ryku i szarpnął naprzód. Coś w nim wybuchło, ale się nie zachwiał.

Przedarł się, minął zasieki i znalazł się w ciszy, która zapanowała po tym gwałtownym ataku. Dotarł do... siebie. Poczł się sobą. Odnalazł granice siebie, bo czuł, jak jego ciało przylega do skały. Leżał na ziemi, ale wcale nie było cicho. Wstrzelił się tylko w przerwę w rozmowie, a powietrze wciąż drżało od dysonansu głosów.

– To nie jest dobry sposób.

Nieznajomy kobiecy głos mówił z miększym akcentem niż znany mu serafiński, ale nie całkiem obcym.

– Dość czasu już tu straciliśmy. – Ostrzejszy, młodszy. Także kobiecy. – Mam mu pozwolić iść na umówione spotkanie? Myślisz, że łatwiej będzie odejść, jak pozna jej smak?

– Jej smak? Scarab, on jest zakochany! Musisz mu pozwolić wybrać.

– Nie ma wyboru.

– Jest. Właśnie go dokonujesz.

– Bo go nie zabijam? Myślałam, że się ucieszysz?

– Cieszę się. – Westchnienie. – Ale sam musi podjąć tę decyzję, nie rozumiesz? W przeciwnym razie zawsze będzie naszym wrogiem.

– Nie kuś mnie, staruszek. Wiesz, co bym zrobiła z takim wrogiem?

Cisza. Odbijała się echem, w którym rozbrzmiewało niedowierzanie. Akiva rozumiał, że mówiły o nim, ale nic więcej. Jaki wybór? Jaki wróg?

Jedna nazywała się Scarab. Coś mu to mówiło. Powinien skojarzyć.

Znów odezwała się ta druga. Wznosiła się ponad szok, którego doznała i jej głos także stawał się wyższy.

– Zrobiłabyś z niego strunę do harfy, to masz na myśli? To chciałabyś zrobić z moim

wnukiem?

Wnuk. Akiva to usłyszał i uznał, że w takim razie to nie o nim mówią. On nie był niczym wnukiem. Urodził się jako bękart. Jako...

– Tylko, jeśli będę musiała.

– Jakim cudem miałabyś musieć? – To już krzyk. – Wkroczyłaś na terytorium ciemności. Musisz z tym skończyć, Scarab. To nie nasze zadanie. Nie jesteśmy wojownikami.

– A powinniśmy.

Kolejna fala wstrząsu.

– Byliśmy przecież – kontynuowała ta młoda. Upierała się, zderzała zapalczywość młodości z doświadczeniem wieku. – I znowu będziemy.

– Co ty opowiadasz? – obruszyła się obrończyni Akivy. Jego... babka? Zszokowana. Wzburzona. Wiedział o tym, bo odczuwał jej emocje. Tak jak wcześniej przelał swoją rozpacz w duszę każdego żołnierza, żeby stała się ich rozpaczą. Ta kobieta nazywała go wnukiem. I kolejny element układanki. Scarab.

W odpowiedzi na wypowiedzenie wojny przez Jorama, Stelianie przysłali kosz owoców. Z niepodpisanym liścikiem, ostemplowanym tylko woskową pieczęcią przedstawiającą skarabeusza.

Stelianie.

Otworzył oczy i jednym ruchem się podniósł. Znajdowali się w jaskini, która wyglądała jak kirińska. Brzmiała też jak one, szumiała niepokojącą wietrzną melodią. Gdzieś tam, na krańcach umysłu, pojawiła się ulga. Czyli nigdzie go nie zabrały. Karou jest niedaleko. Znajdzie ją i wszystko naprawi.

Dwie stojące przed nim kobiety podeszły, gdy się nagle poderwał. To było coś, że się nie cofnęły, nie wzdrygnęły się nawet. Scarab nawet nie mrugnęła. Popatrzyła tylko, a on znów znieruchomiał, zamarł w pół ruchu i w jednej chwili powróciła do niego świadomość, której już doznał wtedy, gdy odczuwał w jaskini czyjąś obecność, choć nikogo nie widział. Świadomość, że jego życie jest odrębnym bytem.

I że jest bardzo kruche.

Unieruchomiły go i wpatrywały się w niego. Mógł tylko odpowiedzieć spojrzeniem, bo raz, że nie mógł zrobić nic więcej, a dwa, że i tak by nie chciał.

Nie widział Stalianki, odkąd skończył pięć lat i desperacko oglądał się przez ramię na matkę, kiedy go od niej zabierano. Stały przed nim dwie kobiety, a ta starsza... Nie powiedziałby, że wyglądała, jak Festival, bo nie pamiętał jej twarzy, ale kiedy na nią patrzył, miał wrażenie, że coś sobie przypominał. Scarab nazwała ją „staruszką”, ale nie była stara. Chociaż młoda też nie. Naznaczyły ją troski. Spojrzenie miała głębokie, a kąciki ust pomarszczone. Włosy splotła w warkocz okalający jej głowę jak korona, a srebrzyste pasma były tak jasne, że wyglądały jak ozdoba. W jej oczach wciąż widział echo wcześniejszego wstrząsu oraz bardzo, bardzo głębokie wzruszenie. Od pierwszej chwili czuł, że jest mu bliska.

Za to ta druga...

Włosy czarne, wzburzone i rozpuszczone. Ubrana w szarą jak niebo przed burzą tunikę upiętą na ramieniu i spływającą ze smukłego ciała. Obie ręce gołe i od nadgarstka aż do pachy ozdobione złotymi bransoletami. Jej twarz wyglądała groźnie. Nie jak twarze Liraz czy Zuzany, które robiły po prostu takie miny, ale od początku ukształtowana na srogą. Ostra, z wyraźną, drapieżną linią brwi jak u jastrzębia, skrywającą w cieniu oczy. Kości policzkowe i szczęka wyglądały jak wyrzeźbione dłutem, ale usta miała pełne i krwiste. Jedyna przyjazna część jej ciała.

W każdym razie dopóki się nie uśmiechnęła. Wtedy zauważył, że zęby ma podostrzone na kształt kłów.

Wzdrygnął się.

Wtedy też zauważył, że są tu nie tylko te dwie kobiety. Obok stała jeszcze jedna anielica i dwóch mężczyzn, w sumie pięcioro. Pozostali milczeli, ale wpatrywali się w nich intensywnie.

– Sprytnie – stwierdziła Scarab i znów zwróciła uwagę Akivy na siebie. Miała teraz normalne zęby, białe i proste. – Nie doceniałyśmy cię. – Zwróciła się do kobiety obok: – Chyba, że to ty go wypuściłaś, Nightingale?

Nightingale. Pokręciła głową, ani na moment nie odrywając wzroku od Akivy.

– Nie, Królowo. – Królowo? – Ale drugi raz go nie spętam. Należy mu się szacunek wynikający z jego urodzenia. Chcę z nim porozmawiać.

– O czym? – spytał. – Czego od mnie chcecie?

Odpowiedziała Scarab, rzuciwszy Nightingale złowrogie spojrzenie. Emanowała arogancją właściwą monarchini i Akiva pomyślał, że gdyby nie wiedział, i tak by zgadł, że jest królową.

– Podjęto w twoim imieniu decyzję. Ja ją podjęłam.

– Jaką decyzję?

– Że cię nie zabiję.

Nie zaskoczyło go to, bo podsłuchał rozmowę na ten temat, a jednak te słowa rzucone nonszalancko miały moc.

– A czym sobie zasłużyłem na ewentualną karę śmierci? – Przekonany o swojej niewinności nie spodziewał się tak gwałtownej odpowiedzi:

– Wszystkim – rzuciła, niemal się wgrzyzając w powietrze. – Nie zapominaj o tym, potomku Festival. Według prawa jesteś martwy.

Chciał wstać, ale nie mógł.

– Puść mnie – poprosił, a ona ku jego zaskoczeniu usłuchała.

– Nie boję się ciebie – wyjaśniła.

Wstał.

– A czemu miałabyś się bać? Nie jestem dla was zagrożeniem. Wiecie, ile razy myślałem o plemienu mojej matki? Nigdy nie zamierzałem was skrzywdzić.

– A jednak od tysiąca lat nikt nie był tak blisko zniszczenia nas.

– O czym wy mówicie? – nie wytrzymał. Nigdy się nawet nie zbliżył do Dalekich Wysp, nie widział żadnego Steliana na oczy. Co takiego mógł zrobić?

Wtrąciła się Nightingale.

– Nie dręcz go, Scarab. On nie wie. Skąd ma wiedzieć?

– O czym? – spytał już spokojniej, bo kiedy oskarżenia rzucała rozwścieczona Scarab, wydawały mu się absurdalne, ale smutek Nightingale czynił je bardziej wiarygodnymi. Intruz w jego umyśle. Przyływy zalewającej go mocy. Pustka, jaką czuł potem, tak jakby to moc go wykorzystała, a nie on ją. Nie miał już siły.

– Co ja zrobiłem?

Życzeniowa policja

Ziri i Liraz tego nie rozumieli, ale Zuzana krzyczała z grzbietu burzołowcy:

– Jezu Chryste, wszystkie góry wyglądają tak samo!

Zgubili się, a i tak absolutnym cudem dotarli aż tak daleko. Nie mówiąc już o stylu podróży.

To pierwsze zawdzięczali mapom przechowanym przez umysł Elizy, a drugie muzyce, bo to Mik oczarował grą na skrzypcach – nowych i znacznie lepszych niż te, które zostały w wannie Esther – latającą istotę rozmiarów niewielkiego statku. Zuzana nie miała jednak najmniejszego problemu z przypisaniem sobie części sukcesu. Była głęboko przekonana, że nie udało by się, gdyby nie jej pchający wszystkich naprzód entuzjazm.

Była gotowa do podróży już w sekundę po tym, jak Eliza zdradziła, że zna jeszcze jedno przejście. To, którym tysiąc lat temu strącono na Ziemię jej prapra – po wielokroć – pra-babkę. Nie przejmowała się, że przejście znajduje się nad Patagonią („Gdzie to w ogóle jest?! Tak daleko...? O kurczę. Naprawdę, aż tak?!”), bo mieli środki, żeby się tam dostać.

Życzenia były super.

Oraz cenne, niezastąpione i wyjątkowe, bo zrobił je Brimstone i nie można nimi było szastać jak drobnymi w sklepie z cukierkami. Poza tym Karou prawdopodobnie bardziej niż oni potrzebuje gawrieli. Muszą je tylko dostarczyć. Umówili się zatem tak: zawiozą jej. Proste. I zrobią wszystko, żeby po drodze nie sięgać do życzeń. Kiedyś, przy okazji zabawy w trzy życzenia, wtedy, w jaskiniach, Mik wymyślił „życzeniową policję”, a teraz droczył się z Zuzaną, że została jej funkcjonariuszką.

– Bez samurajskich zdolności? – Patrzył błagalnie jak szczenię. – No to może jakieś inne, precyzyjniej określone supermoce?

– Virko albo kto inny może nas nauczyć walczyć – odparła. – Stracilibyśmy życzenie. Jest niepotrzebne.

– Przede wszystkim leniwe. I na tym polega jego smaczek. Uczenie się jest trudne.

– Mówi to skrzypek artystce.

– Tak. No właśnie! – rozpromienił się. – Wiemy, jak to jest z uczeniem się. – Następnie zwrócił się do Elizy. – Naukowiec i wesoła parka wprawiona w ćwiczeniach. Chcesz się z nami uczyć bycia samurajskimi wymiataczami? Zamierzamy siać postrach.

– Wchodzę w to – odparła ot tak. Eliza była świetna.

Naprawdę. Nawet, jeśli nie złączyłby ich wybryk losu i wspólny, szalony cel, Zuzana i tak chciałyby się z nią przyjaźnić. To się rzadko zdarzało, więc tym bardziej się cieszyła, że się poznały. Gdyby Eliza była marudą albo primadonną, albo gdyby na przykład mlaskała, ta podróż byłaby koszmarem.

Ale było genialnie.

Najpierw musieli się dostać do Patagonii (a Patagonia okazała się leżeć w Argentynie, głównie, bo kawałeczek został w Chile. Naprawdę, kto mógł się spodziewać...). W tym celu potrzebowali pieniędzy, a tych im nie brakowało, bo bez żadnego problemu dostali się do kont Karou, do których najwyraźniej nie dobrała się jeszcze Niecna Esther. („Udław się jeszcze raz, lipna babciu!”). Zuzana porozpaczała jeszcze trochę, że nie ma okazji do triumfu ani nie może zadośćuczynić swojej groźbie, ale Mik nie żałował.

– Do końca życia będzie musiała przebywać w swoim towarzystwie, a to wystarczająca zemsta – przekonywał.

Och, jak niewiele wiedział o nowym towarzystwie Esther!

Ale okazało się, że Eliza też jest żądna zemsty, co sprawiło, że Zuzana polubiła ją jeszcze bardziej. Wyglądała słodko z tymi wielkimi, pięknymi oczami, ale miała charakterek. Wzbraniała się jednak przed zmarnowaniem życzenia na zemstę na swoim wrogu, który wydawał się naprawdę obrzydliwą odmianą głupiej pały, ale Zuzana ją przekonała, że miedziak – mieli ich mnóstwo, na pewno nie przydadzą się Karou do żadnych bohaterских czynów – może bez trudu przyczynić się do satysfakcjonującego zaspokojenia tej żądy.

Opowiedziała o torturach, na jakie Karou skazała Kaza, a Eliza i Mik zaśmiewali się, gdy opisywała ze szczegółami, jak nagi Adonis, prężący się na podeście dla modela, wił się w spastycznym tańcu wywołanym świadem. Ale to druga opowieść, o rosnących bez końca brwiach Svetly, podsunęła Elizie pomysł.

Ucałowała miedziaka na szczęście, a potem ogłosiła:

– Chciałabym, żeby włoski dokładnie pomiędzy nosem, a górną wargą Morgana Totha rosły w tempie dwóch i pół centymetra na godzinę, nawet zgolone, od dziś przez miesiąc.

Potem moment niepewności, kiedy jeszcze nie wiadomo, czy wypowiedziane życzenie nie przekroczyło mocy danego medalionu, ale miedziak zniknął, gdy tylko skończyła mówić.

– Zdajesz sobie sprawę – spytał Mik – że opisałaś wąsik Hitlera?

Sądząc po błysku w oku, wiedziała o tym świetnie. Zemsta jednak nie była dostatecznie słodka, gdy jej obiekt nie wiedział, kto jest za jego męki odpowiedzialny. Wysłała mu więc na służbową skrzynkę swoje zdjęcie z dwoma palcami przyłożonymi nad wargą. Maila zatytułowała: „Baw się dobrze!”

– Musimy zrobić to samo Esther – oznajmiła Zuzana. – Natychmiast!

Więc zrobili, a potem byli już gotowi do podróży. I spędzili ją w najmilszy z możliwych sposobów: wyobrażając sobie szok i przerażenie swoich wrogów.

Najpierw długi lot, potem kupowanie ciepłych rzeczy i zapasów, następnie długa jazda i marsz – w śniegu, niech to szlag, że na półkuli południowej musiała być akurat zima – i wreszcie dotarli na miejsce. Zaczęli znów rozważać zużycie gawrieli na umiejętność latania. I pewnie by to zrobili, ale na tym etapie traktowali już misję zachowania ich dla Karou jako kwestię honoru. Mik zaproponował:

– Zanim zdecydujemy, zobaczmy, co jest po drugiej stronie. Eliza może nas zabrać.

W ten sposób odkryli tajemnicę, której nie znał nikt w całym Eretz: gdzie mieszkają burzołowcy.

A przy okazji i coś, czego nikt by się nie spodziewał: że lubią muzykę.

Teraz nie było już wątpliwości: Mik wykonał swoje trzy baśniowe zadania. Pierścionek miał w kieszeni. Ten, który na tle marmurowej łazienki w Apartamencie Królewskim wyglądał tak prymitywnie.

Z perspektywy grzbietu burzołowcy – niosącego ich nad kotłującym się lodowatym morzem nakrapianym górami lodowymi i morskimi stworzeniami, które w najmniejszym nawet stopniu nie przypominały wielorybów – prezentował się idealnie. Żeby nie ryzykować kąpieli, Mik nie mógł uklęknąć, ale w tych okolicznościach nikt nie miałby żalu.

– Wyjdiesz za mnie? – spytał więc po prostu.

Odpowiedź brzmiała: „tak”.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę! – wrzeszczała teraz Zuzana, wiwatująca na widok Liraz i Ziriego. Ziri! Nie Biały Wilk, tylko Ziri! Ale... To musiało oznaczać, że on... Ale to nic, prawda? Znów miał ciało Kirina i wyglądał niemal dokładnie tak jak w naturalnym. Uśmiechał się szeroko, był bardzo przystojny, a obok niego leciała Liraz, też roześmiana i piękna, Liraz śmiejąca się na ich widok na całe gardło. Śmiejąca się. Śmiejąca się jak ktoś, kto potrafi się śmiać. Nadal mówimy o Liraz.

Kto wie, czy to nie było bardziej niesamowite niż zjawienie się tu na grzbiecie burzołowcy. Ale nie, jednak nie.

Nie istniało nic bardziej niesamowitego.

– Powiedz im – Zuzana poprosiła Elizę po pierwszych wybuchach śmiechu i okrzykach wydawanych we wzajemnie niezrozumiałych językach – że nie mogliśmy znaleźć jaskiń.

Eliza знаła serafiński, co oczywiście okazało się przydatne, ale i wkurzające, bo wytrąciło

Zuzanie z ręki argument za przeznaczeniem życzenia na przyswojenie jednego z języków Eretz. Tyle, że ona wybrałaby chimeryjski, to chyba jasne?

– Tego też się będziemy musieli nauczyć – westchnął Mik, co jej nie uradowało. – Wskrzyszanie, niewidzialność, sztuki walki i pozaludzkie języki. Co to ma być, szkoła?

Ale Eliza nie tłumaczyła. Zuzana zdała sobie sprawę, że ze zdumieniem wpatrywała się w Ziriego. No tak, jego ciało! Widziała je w grobie, przy kasbie. Wyjaśnianie tego trochę potrwa.

– To on – potwierdziła Zuzana. – Później ci wytłumaczę.

Zacząła się więc rozmowa z Liraz, która przekładała wszystko na chimeryjski i w efekcie poleciała na południe, odpowiadając w czasie podróży na pytania typu: skąd się wzięli i czy burzołowca ma imię. Gdy zbliżyli się do jaskiń i Zuzana zobaczyła wejście w kształcie sierpa księżycy, olśniło ją, że nie uda się zrealizować jej wielkiego planu, polegającego na wpadnięciu do jaskini i oszołomieniu wszystkich siłą skrzydeł burzołowcy. A ta przypominała tornado.

Po prostu burzołowca – który nie miał imienia – nie zmieści się w przejściu. Niech to jasny szlag.

Musiała przerwać zdawkową wymianę zdań i porozmawiać z nimi poważnie.

– Potrzebuję widowni. Chcę, żeby wszyscy zobaczyli nasz przyjazd i jeszcze długo o tym rozmawiali. I śpiewali. Tak, chcę, żeby napisano na ten temat pieśni! Moglibyście to jakoś zorganizować? Zawołać wszystkich? Przede wszystkim Karou.

W tym momencie Ziri i Liraz trochę się speszyli i zrobili dziwne miny, a Mik zasugerował dyskretnie, że być może Karou i Akiva są... zajęci.

Co za sprzeczne emocje! Szczęście, że wreszcie Karou i Akiva mogą zająć się sobą i poczucie głębokiej niesprawiedliwości, że zbiegło się to akurat z jej triumfalnym przybyciem.

– Trudno, raz im można przeszkodzić, tak? – jęknęła. Zataczali kręgi, odwołując chwilę, kiedy będą musieli wylądować i wkroczyć do jaskini na własnych nogach.

– Nie. – Mik był racjonalny.

– Ale...

– Nie!

– Dobra. Ale ktoś nas musi zobaczyć.

Zobaczyli ich wszyscy. Liraz poszła ich zawołać. Zgromadzili się przy wejściu, krzyczeli i gwizdali, a kiedy Zuzana usłyszała zdumiony okrzyk Virka: Neek-neek!, poczuła, że może już zsiąść i zakończyć podróż.

Sprawdzili wielką bestię jak najniżej, a potem zgramolili się z jej grzbietu, uprzednio ściskając ją na pożegnanie i w ramach podziękowania. Zakładali oczywiście, że odleci i ich zostawi, ale mieli nadzieję, że jednak tego nie zrobi: („Jak nie polec, nadamy mu imię”). Potem tęsknie obserwowali, jak wznosi się coraz wyżej i wyżej, i w końcu staje się tylko zarysem wyciętym jakby na tle lśniącego nieba.

Dopiero wtedy odwrócili się do zebranych i poczuli, że coś jest nie tak. Zachowywali się dziwnie, no i była wśród nich Karou. Wcale nie zajęta. Czemu nie? I czemu stała tak daleko? I

gdzie Akiva?

Pomachała im, uśmiechnęła się przelotnie, żeby wyrazić zdumienie, pokręciła nawet z podziwem głową i wytrzeszczyła oczy na widok skrzydeł Elizy, ale nie podeszła, żeby się z nimi przywitać. Rozmawiała z Liraz, a Liraz nie śmiała się już jak ktoś, kto umie się śmiać. Wróciła do zwykłej, przerażającej wersji siebie. Usta zacisnęła w wąską kreskę, nozdrza pałające od tłumionego gniewu... Wydawała się groźniejsza niż kiedykolwiek Biały Wilk.

Zuzana zapomniała o swojej chwili triumfu i podbiegła do przyjaciółki.

– Co jest? Co? Na Boga, Karou, mów!

– Akiva. – Wyglądała na całkiem zagubioną. Nie tak miała wyglądać. – Odszedł.

Aberracja

Nie bez powodu.

(„Co ja zrobiłem?”)

Nie bez powodu składa się ofiarę.

To nie był dialog. Nightingale porozumiewała się z Akivą w milczeniu, przekazując mu wiadomość ubraną w coś więcej niż słowa. Otwierała przed nim pamięć bogatą w dźwięki i obrazy. Rozwijala myśli pełne przerażenia i rozpacz. Nie dało się nie rozumieć. Stał przed Nightingale i Scarab, widział je przed sobą, a za nimi pozostała trójka. Ale w głębi doświadczał czegoś innego i aż się pod wpływem tego doświadczenia kurczył.

Spokojnie. Jesteś dzieckiem mojego dziecka.

Festival. Pokazała ją Akivie we wspomnieniu tak nasyconym tęsknotą, że w tym krótkim momencie pojął coś, czego nie miał prawa wiedzieć: jak bardzo rodzic kocha utracone dziecko.

Chciałabym cię poznać. Pomóc ci, nie robić krzywdy. Musisz mnie więc wysłuchać. Jesteś dzieckiem mojego dziecka, ale dotąd nie wiedziałam o twoim istnieniu. Straciliśmy Festival. Zniknęła. I tylko dzięki tobie wiem, co się z nią stało. Wiem, że moja ukochana córka trafiła do haremu szaleńca, który rozdarł świat na pół.

Nie ukrywała, że ta wieść dokonała w niej spustoszenia, a Akiva poczuł, jakby był przyczyną tego wszystkiego, jakby czas zadziałał wstecz i on sam zmusił matkę do dokonania wyboru, który miał go w konsekwencji sprowadzić na świat.

Wiem też, że to się nie mogło stać... Wbrew jej woli. Była Stelianką i była moja. Była silna. Sama tak wybrała.

Widział jej wspomnienia z taką wyrazistością, jakby należały do niego. Tuż pod

powierzchnią przekazu Nightingale znajdowała się esencja kobiety, jaką była Festival: pięknej i naznaczonej. Naznaczonej? Intuicją różdżkarza, który odnajduje żyły przeznaczenia i musi za nimi iść, nawet w ciemność.

A zatem? Zatem musiała mieć powód.

Z umysłu Nightingale do umysłu Akivy przemknęło przekonanie, że wielu Stelianom przeznaczenie wydaje się równie rzeczywiste jak miłość czy strach. Traktowali je jak jeden z wymiarów życia, na tyle namacalny, żeby je kształtować. Wrażliwość na przyciąganie losu nazywała się ananke. Jeśli ktoś miał mocne ananke, mógł się poddać losowi albo mu się oprzeć, ale opór wyzwalał bolesne przekonanie, że popełnia się błąd. Podejmowanie kolejnych decyzji mogło się w tej sytuacji okazać męczarnią.

Ty byłeś tym powodem.

Wspomnienia uleciały, pozostawiając po sobie pustkę, w której Akiva czuł się samotny.

„Ty, ty”, odbijało się w niej echem, aż natknęło się na inne słowa: „Mój syn i tak nie da się wplątać w te wasze nędzne koleje losu”. Zanim zaczął się nad tym zastanawiać, w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą znajdowała się Festival, rozkwitł nowy przekaz. Tym razem inny. Zimny, odległy i miazdzący:

Kontinuum czyli najwyższe Wszystko jest przepasane energiami, czyli przesłonami. Są i inne nazwy, ale ta jest najprostsza. Pozostają poza zasięgiem naszego kompasu. Były pierwsze, stanowią źródło wszystkiego i wiemy na pewno, że dzięki nim światy są bezpiecznie od siebie oddzielone. Stykają się, ale się nie przenikają i tak powinno być. Przechodzenie przez przejście to przedostawanie się przez rozcięcie w przesłonie.

Przesłony, Kontinuum, najwyższe Wszystko. Akiva nie znał tych określeń, ale rozumiał ich ideę i otaczający je szacunek bliski czci. Nie pokazała mu ich w wizji ani wspomnieniu, bo to przecież niemożliwe. Nikt nie może zobaczyć Kontinuum. Było wszystkim. Sumą światów.

Do teraz Akiva wiedział o Eretz i o Ziemi. Z przekazu Nightingale wyczytał, że światów jest... wiele.

Kręciło mu się w głowie. Zaledwie rzut oka na ideę Kontinuum sprawił, że miał ochotę paść na kolana. Widział rozwarstwiającą się przestrzeń. Otwierała się, otwierała się bez końca, bo wymiarów było nieskończenie wiele. Jakby bóg o tysiącu tysięcy głów, jedna za drugą, następna za kolejną, otwierał tysiące tysięcy ust, żeby uwolnić wszechpotężny ryk, rozsiewający echo we wszystkich światach...

Czerpiemy z przesłon energię potrzebną do odprawiania magii. Są źródłem Wszystkiego. Ale nie jest to proste. Mocy nie można sobie tak po prostu wziąć. Trzeba dać coś w zamian, na zasadzie wymiany energii. To właśnie ofiara.

– Ofiara z bólu – odpowiedział Akiva na głos, bo nie umiał inaczej. Zobaczył, jak Scarab marszczy brwi, a brwi Nightingale, dotychczas ściągnięte, się rozluźniają. Przyglądała mu się ciekawie, a w jej słowach usłyszał cień litości.

Ból to tylko jeden ze sposobów. Najprymitywniejszy. Ofiarę z niego można porównać do

wyrywania kwiatu za pomocą pługa. Znasz tylko tę drogę?

Pokiwał głową. Mówienie bez mówienia było irytujące.

– Nie tylko – zaprotestowała głośno Scarab. – Inaczej nie byłoby nas tutaj.

Popatrzyła, jakby o wszystko go obwiniała. Akiva zrozumiał.

– Sirithar. – Aż zachrypiał.

Spojrzenie Scarab jeszcze się wyostrzyło.

– Czyli jednak wiesz!

– Nic nie wiem. – Nigdy dotąd nie czuł takiej goryczy.

Nightingale widziała jego emocje i zrobiła krok naprzód. Nie wyciągnęła ręki, ale poczuł na czole jej chłodną dłoń. Już raz się to zdarzyło. Zrozumiał, że to ona uniemożliwiła mu wezwanie mocy w czasie bitwy w Adelphas, a potem pogłaskała go po głowie. W następnej chwili zrozumiał coś innego i doznał wstrząsu. Tajemnica ich zwycięstwa. To oni, teraz to wiedział.

Tych pięcioro aniołów zdołało jakimś cudem powstrzymać cztery tysiące żołnierzy Dominium. Akiva wiele razy usiłował wyobrazić sobie skalę mocy swoich przodków, ale takiej potęgi się nie spodziewał.

Nightingale znów mówiła normalnie, na głos, nic więcej nie wkładała mu do głowy. Był za to wdzięczny, zwłaszcza gdy usłyszał, co miała do powiedzenia.

Nie istniał dotyk, który mógłby go ukoić.

– Sirithar to energia sama w sobie, czysta substancja, z której składają się przesłony. Jednocześnie skorupka i żółtko: chroni i odżywia. Formuje przestrzeń i czas, bez niego istniałby jedynie chaos. Pytasz, co takiego zrobiłeś. Wziąłeś sobie sirithar. – Słyszał w jej głosie smutek. – Tak dużo, że złożenie ofiary zabiłoby cię po stokroć. Ale tak się nie stało. Bo nie złożyłeś ofiary. Dziecko mojego dziecka, nie dałeś nic, tylko zabrałeś. To nie powinno być w ogóle możliwe, bo jest śmiertelnie niebezpieczne. Scarab mówi prawdę. Szukaliśmy cię, żeby cię zabić...

– Zanim ty zniszczysz wszystkich – dodała Scarab. Bez owijania w bawełnę. W takiej chwili delikatność mijała się z celem.

Akiva kręcił głową. Nie, nie zaprzeczał. Dziwił się. Czuł, że mówią prawdę i w niej kryje się odpowiedź na pytanie, które go dręczyło. Ale wciąż nie rozumiał.

– Przecież ja nic nie wiem – powtórzył. – Jak mógłbym zabić... Wszystkich?

Głos Nightingale stał się ochryply:

– Nie rozumiem, czemu ananke poprowadziło moją córkę do powołania cię do życia. Dlaczego przesłony zrodziły istotę, która może je zniszczyć?

Ananke. Echa i oddźwięki losu.

– Zniszczyć? – powtórzył bezsilnie. Od zawsze wmawiano mu, że jego życie nie należy do niego, że jest tylko bronią z arsenału Imperium, ogniwem w łańcuchu, że nawet imię ma pożyczone. A jednak wyzwolił się, zaczął stanowić o sobie. Odzyskał życie i traktował je jako narzędzie do działania. Działania, na jakie sam się decydował. Uwierzył w końcu, że jest wolny.

Nie rozumiał, co chce mu przekazać Nightingale ani dlaczego Scarab stawia jego dalsze życie pod znakiem zapytania, ale jedno do niego dotarło: od samego początku uwikłany był w sieć losu znaczącą o wiele więcej, niż umiał sobie wyobrazić.

Serce zabiło mu mocniej i wiedział już, że nigdy nie był wolny.

– Wzięcie siritharu bez ofiary nie powinno się udać – powtórzyła Nightingale. Mówiła z wysiłkiem, znacząco, jakby chciała się upewnić, że na pewno zrozumiał. W jej oczach widział konsternację, ostrożność i coś jeszcze. Jakby poczucie winy? Albo zachwyty? Czy to możliwe? – Dotąd nikt tego nie dokonał – dodała, nie odrywając od niego wzroku. W jego umyśle pojawiło się słowo, ale nie wiedział, czy ona je tam umieściła, czy sam je przywołał.

Aberracja.

– A jednak ty to zrobiłeś, i to trzykrotnie. Zabranie mocy bez złożenia ofiary osłabia przesłone. – Zerknęła na Scarab. Przełknęła ślinę. – A kiedy przesłona słabnie... – zawahała się. Akiva wiedział, że to już teraz. Pozna prawdę. Czaiła się głęboko w jej oczach, historia ważna i straszna. Jeszcze nigdy takiej nie opowiedziano. Wylapywał echa, skrawki. Już wcześniej je słyszał. Wybrani. Upadli. Mapy. Nieba. Kataklizm. Meliz.

Potwory.

Nightingale miała chyba ochotę wycofać się z opowieści, ale Scarab jej nie pozwoliła:

– Chciałaś z nim rozmawiać, tak? Więc rozmawiaj. Powiedz mu, co robimy, godzina za godziną, na naszych dalekich zielonych wyspach i za co powinien nam być wdzięczny. Wyjaśnij, czemu po niego przylecieliśmy i co niemal na nas sprowadził. Opowiedz mu o Kataklizmie.

To, co najważniejsze

Karou trzymała w dłoni gawriela. Pozostali zebrali się wokół niej. Chimery, Bastardzi, ludzie. I Eliza, kimkolwiek była. Karou spojrzała na tę dziewczynę, stojącą teraz obok Virka, i stwierdziła, że nie wie, jak ją zakwalifikować. To je łączyło: żadna nie była do końca człowiekiem. Okazały się czymś więcej, pojedynczym egzemplarzem swego rodzaju.

– Czego sobie życzysz? – spytała Zuzana.

Karou popatrzyła na ciężący jej w dłoni medalion. Brimstone, jakby odwzajemniał spojrzenie. Rysunek nie był staranny, a mimo to czuła na sobie jego wzrok i słyszała głos, chociaż tak daleki, że równie dobrze mogło to być echo.

„Ja też o tym marzyłem, dziecko”, wyznał jej w lochu, gdy czekała na egzekucję. Żałowała, że nie może mu pokazać, co się tu dzieje, ale takiej mocy nie miał żaden medalion: „Zobacz, co

zrobiliśmy!” Patrz, Liraz i Ziri stoją obok siebie. Gotowa była założyć się o wszystko, że skóra ich rąk była naelektryzowana, tak jak jej, gdy miała obok siebie Akivę. Spójrz na Keitę-Eiri, która jeszcze kilka dni temu ze śmiechem razila hamsami Akivę i Liraz. Obok niej stoi Orit, anielica wyklócająca się w czasie narady wojennej z Wilkiem o brak dyscypliny jego żołnierzy. Popatrz na Amzallaga w nowym ciele, które Karou dla niego przygotowała, nie tak szarym, wielkim i strasznym jak poprzednie. W pełnej gotowości czekał tylko, by polecieć do Loramendi i wykopać spod popiołów dusze dzieci.

Wszyscy tacy uroczyści. Żołnierze, którzy walczyli ramię w ramię, wygrali niemożliwą do wygrania bitwę i przynieśli z sobą jej tajemnicę. Połączyło ich coś więcej niż wspólnota: po Adelphas z niedowierzaniem odkryli, że prowadzi ich to samo przeznaczenie.

Przeznaczenie. Karou znów przyszło do głowy, że jeśli coś takiego istnieje, musi jej nienawidzić.

Czego zamierzała sobie życzyć? Jakie życzenie sprawi, że Akiva znajdzie się znów obok niej, jakie słowa przewyciężą przejmujące doznanie, którego nie mogła się pozbyć, że nawet, jeśli zrealizują wszystko, o czym marzyli, wciąż nie będą mogli mieć siebie? Brimstone nigdy nie ukrywał, jak ograniczona jest moc życzeń.

– Są rzeczy, które przerastają moc życzeń – mówił jej, gdy była mała.

– Na przykład co? – dopytywała, a jego odpowiedź dręczyła ją teraz, gdy gawriel spoczywał w jej dłoni, a ona nade wszystko pragnęła wierzyć, że rozwiąże wszystkie problemy.

– To, co najważniejsze – odpowiadał Brimstone, a ona już wiedziała, że miał rację. Nie mogła sobie życzyć spełnienia snów ani szczęścia, ani żeby po prostu mogli być razem. To się nie uda. Nic z tego. Gawriel zostanie tutaj, a spojrzenie Brimstone’a obnaży jej naiwność.

Ale gdy się wzięło pod uwagę ich zakres, wtedy życzenia miały wielką moc.

– Chcę wiedzieć, gdzie jest Akiva – oznajmiła, a gawriel zniknął z jej dłoni.

Katakлизm

Opowieść zaczęła Nightingale, ale Scarab szybko się wtrąciła. Starsza kobieta była zbyt delikatna, starannie dobierała słowa, minimalizowała ich moc rażenia. Tak jakby się bała, że stojący obok niej wojownik tego nie zniesie.

Ale wytrzymał. Zbladł. Zaciśnął zęby tak mocno, że Scarab niemal słyszała odgłos pękającej kości, ale dawał radę.

Opowiedziała mu o pysze mędrców, którym się wydawało, że zawładną całym Kontinuum, o

Posłannikach i o Stelianach, którzy sprzeciwiali się misji. O dwanaściorgu wybrańcach, przedzierających się przez przesłony. Nauczono ich dziurawić pierwotną materię bytu tak daleko pozostającą poza ich zasięgiem, że równie dobrze drapieżne ptaki mogłyby próbować wydziobać oczy bogu.

Opowiedziała, co znaleźli po drugiej stronie jednej z odległych przesłon. I co uwolnili.

Nithilam, tak zostały nazwane potwory, bo nie miały języka, w którym mogłyby się przedstawić. Miały tylko głód. Nithilam to pradawne słowo oznaczające grozę, zatem pasowało.

Nie wiadomo było, jak je opisać, bo nikt ich nigdy nie widział, ale Scarab odczuwała ich obecność, tutaj może w mniejszym stopniu niż w domu, ale jednak. Zawsze obecne. Ani na moment nie odpuszczały. Napierały, wsysały się, wgryzały.

Jeśli się było Stelianem, co noc zasypiało się w domu, po którego dachu szalały potwory, usiłujące wdrzeć się do środka. Tyle że dachem było niebo. A raczej przesłona związana z niebem. Zresztą, na Dalekich Wyspach wszystko było niebem albo morzem, więc mówili po prostu: niebo krwawi, niebo rozkwita. Choruje, słabnie, podupada. Ale chodziło im o przesłonę, zbudowaną z niepojmowalnych energii – siritharu – którą Stelianie pielęgowali, której strzegli i którą w każdej sekundzie karmili swoim życiem.

Dbanie o przesłonę stało się ich obowiązkiem po tym, jak zamknęli przejście, kiedy Posłannicy zawiedli. W związku z tym żyli znacznie krócej niż rozpasani kuzyni z północy, którzy nie dawali nic, tylko czerpali ze świata, w którym najpierw chcieli się tylko schronić, a potem siłą nim zawładnęli.

Stelianie upuszczali energii, żeby obronić przed bezmyślną, taranującą siłą nithilam przesłonę zniszczoną przez tamtych głupców. Chronili ją przed potworami. Choć to było coś potężniejszego od potworów, coś tak ogromnego i niszczycielskiego, że Scarab umiała nazwać je tylko jednym słowem: bogowie.

Bo czemuż miałyby istnieć to słowo, jeśli nie żeby opisać nieznaną potęgę, taką jak ta? Co do gwiazdnych bóstw, czczonych przez jej ludzi od tak dawna, dla Scarab byli tylko bajeczką na dobranoc. Po co komu jaśni bogowie przyglądający się z oddali, jak bogowie ciemności każdą chwilę poświęcają na atak?

Wyobrażała sobie nithilam jako gigantyczne czarne istoty rozgałęzione jak korzenie, z gigantycznymi paszczami – pulsującymi, chrzęstnymi ssawkami – przyklejonymi do przesłony jak lśniące węgorze do ciała węża morskiego. Wyrzucony na plażę, odwrócony bladym brzuszyskiem do słońca, potworny, konający, podczas gdy pasożyty wciąż jeszcze drżą. Ssą nieprzerwanie. Zdesperowane, by uszczknąć każdą pozostałą kroplę życia.

Tego Akivie nie wyjawiała. To jej koszmar, ona to widziała, gdy zamykała oczy, ona czuła konwulsje potworów po drugiej stronie przesłony. Dowiedział się tylko, co przekazuje oparty na prawdziwym zdarzeniu fragment mitu: istniała ciemność, w której pływały potwory wielkie jak światy.

Gdy doszła w swojej opowieści do Meliz, ujrzała przenikające go zrozumienie, a potem

poczucie straty. Echo tego, co zobaczyła wcześniej, gdy Nightingale przesłała mu obraz Festival. Może chciała być miła? A może zaślepiała ją żaloba? Scarab widziała, jakie to na nim zrobiło wrażenie. Zobaczył matkę i to już w pierwszym przekazie w życiu! Jego umysł na pewno się miotał, żeby odróżnić treść wizji od rzeczywistości. A gdy już to zrobił, została mu nagle odebrana.

A teraz Meliz. Zwieńczenie Kontinuum, ogród najwyższego Wszystkiego. Ojczyzna serafinów, krynica ich zjawiskowej tysiącletniej cywilizacji. Scarab patrzyła Akivie w twarz, pokazując mu odległe aż nie do pomyślenia korzenie historii, potęgę jego dziedzictwa, chwałę serafinów z ich Pierwszego Wieku. A potem mu je odebrała. Meliz, pierwsze i ostatnie. Meliz utracone.

Musiała sobie przypomnieć, kim on jest, żeby się uodpornić na zalewające go fale żaloby i smutku. Kawalek po kawalku pozbawiały go witalności i w końcu stał się kimś mniej... żywym niż kiedy go pierwszy raz zobaczyła.

Czy taki miała zamiar? Osłabić go? Czego tak naprawdę chciała? Nie była pewna. Ścigała go, żeby go zabić, ale wiedziała już, że to nie takie proste.

Po bitwie w górach Adelphas, gdy zrywała nici życia wrogów i gromadziła je, by zapoczątkowały yorayę – mityczną broń przodków – zagnieździła się w niej myśl, że jego nic będzie jej ukoronowaniem. Życie Akivy rozciągnięte jako struna w jej harfie. Jego moc pod jej kontrolą.

O to chodziło? Do takiego końca przez cały czas pchało ją ananke Festival?

Scarab żałowała, że jej własne nie wypowiada się w tej kwestii jakoś jaśniej.

Co do jednego nie miała wątpliwości. Nithilam były jej losem.

A ona ich.

Stale odczuwała ich obecność, ale dopiero gdy układała się do snu i ciemność zasklepiła się nad nią, miała wrażenie, że staje z nimi twarzą w twarz, choć jeszcze na dwóch krańcach przestrzeni. Dzielili ich bariera, oczywiście, ale zawsze miała przeczucie – zanim jeszcze pojawiła się jakakolwiek realna szansa, że się to zdarzy – że skończy się to starciem. Widziała, jak ustawiają się na z góry wyznaczonych pozycjach, moc przeciw mocy, już bez bariery pomiędzy nimi. Ona jako ich wróg, one jako jej wrogowie.

Ona jako ich koszmar, bo one były jej koszmarem.

Scarab, pogromczynie bogopotworów. Ta, która pomściła pożarte światy.

Choć tak naprawdę nadal nie było realnych szans na starcie. Nightingale wyczuła, co w niej narasta – nie tylko myśl o początku yorayi, ale i jej przeznaczeniu – bo odsunęła się przestraszona. Zresztą, kto by się nie przeraził?

Stelianie nowej ery opierali życie na przekonaniu, że Katakliizmu nie da się pokonać, można go jedynie powstrzymać. Więc go powstrzymywali. I ginęli zbyt młodo, bez chwały. Brali na siebie obowiązek, którym ich przodkowie by wzgardzili. Pochylali głowy i poświęcali życie, nie myśląc nawet o walce, bo wróg pożerał światy, a Stelianie już nie byli wojownikami.

Stali się odpowiedzialni za wszystko, co pozostało, więc gdyby nie dali rady... Nie zostałyby nic. Eretz stanowiło ostatnią zaporę przed zalewem ciemności, która nie miałaby końca. Gdyby Stelianie upadli, zginęłyby inne światy.

Tego też nie mówiła Akivie. Na razie dowiedział się wszystkiego poza tym, jaką on odgrywa rolę w tej historii. Ale zaraz mu wyjaśni! „Spójrz, co narobiłeś!” Tylko że głos ją zawiódł. Nie wiedzieć czemu, gdy zauważyła jego popłoch, przypomniała sobie tamten uśmiech – nie dla niej przeznaczony – i królującą w nim wówczas jasność, radość. I to, jakie uczucia w niej wzbudził. Była podniecona nowym odkryciem jak nowicjuszka poznająca zawartość leksykonu, przeczuwająca dopiero istnienie sekretnego, języka blasku. Odczuła to powtórnie w jaskini ze źródłami, w której czekał na... „umówione spotkanie”, jak to nazwała w rozmowie z Nightingale. Nie chciała nazywać światła, które się w nim zrodziło na widok tamtej ślicznej, niebieskowłosej dziewczyny.

Akiva był zakochany.

Trudno, to nie jej sprawa. W porównaniu z nithilam to tylko odcisk stopy w popiele, nietrwały i nieodporny na pierwszy silniejszy podmuch wiatru.

Cisza trwała za długo, więc Nightingale z właściwą jej gracją próbowała przejąć opowieść jak motek przędzy i zwolnić ją z formułowania zakończenia.

Ale Scarab pokręciła głową, odzyskała głos i dokończyła.

Poczuła coś w piersi, kiedy upadał na kolana. Nie знаła Festival, którą paskudny los wezwał na drugą stronę świata, żeby oddała swoją nienaruszalność tyranowi po to, aby ten mężczyzna mógł się narodzić. Akiva, żołnierz armii Bastardów, z niezrozumiałych względów miał moc większą niż ktokolwiek inny.

Jej paskudny los nakazał jej rzucić go na kolana, ale miała nadzieję, że Festival by wybaczyła. Ananke rzeźbi tak głębokie koleiny przeznaczenia, że można się albo na nie zdać, albo poświęcić życie wspinaniu się na ściany, próbując ucieczki. Scarab nie zamierzała się wyrywać. Szła wytyczonym szlakiem, odkąd usłyszała o harfie, w której zamiast strun rozpięte były nici ludzkich istnień. Zresztą, pewnie wyruszyła w tę drogę jeszcze wcześniej, gdy tylko energie sprzymierzyły się, by ją powołać do życia. A Akiva miał na jakimś etapie towarzyszyć jej w podróży.

Przybyła tu, żeby odnaleźć i zabić mędrca.

Powróci uzbrojona, żeby odnaleźć i zabić bogów.

„Dawno, dawno temu istniała tylko ciemność, a w niej pływały potwory wielkie jak światy. Kochały ten mrok, bo skrywał ich ohydę. Za każdym razem, gdy jakaś istota usiłowała wnieść do ich świata światło, uniemożliwiała to. Gdy narodziły się gwiazdy, połknęły je i wydawało się, że ciemność będzie wieczna. Ale usłyszeli o nich wojownicy światła i przybyli z odległego świata, żeby z nimi walczyć. Wojna światła z ciemnością trwała długo i wielu w niej zginęło. W końcu, gdy już się uporali z potworami, wojowników została tylko setka. To były gwiazdne

bóstwa, które dały wszechświatowi światło”.

Akiva próbował sobie przypomnieć, kiedy usłyszał ten mit po raz pierwszy. Pożerające światy potwory, które pływały w ciemności. Wrogowie światła połykający gwiazdy. Opowiedziała mu matka? Nie pamiętał.

Spędził z nią tylko pięć lat, a od tamtej pory minęło już dość czasu, żeby zagłuszyć wspomnienia. Równie dobrze mógł to usłyszeć w koszarach, bo taką propagandą budowano nienawiść do chimer. Baśń zniekształcano, aż zrobiła się tak wstrętna, że aż głupia.

Opowiedział ją Madrigal ich pierwszej wspólnej nocy, gdy leżeli na ubraniach rozłożonych na mchu, ociążali i rozleniwieni rozkoszą. Śmiali się z niej. „Brzydki stryjek Zamzumin, który stworzył mnie z cienia!”, chichotała. Absurd.

Albo i nie. Scarab nazywała ich innym imieniem niż Akiva, ale sens pozostał. W Imperium sirithar oznaczało stan nieziemskiego spokoju, podczas którego gwiazdne bóstwa kierowały mieczem żołnierza. Nithilam było jego przeciwieństwem, dzikim bitewnym zapamiętaniem, w którym się zabijało, żeby nie zginąć. Kiedyś te słowa mówiły coś o naturze świata, ale ich prawda została stracona.

Akiva się dowiedział, że potwory jednak istniały.

Dzień w dzień, sekunda za sekundą usiłowały staranować granicę ich świata.

Tamci aniołowie, jego krewni, poświęcali życie, żeby utrzymać przesłonę w całości, karmiąc ją swoją energią życiową.

A on... on... prawie ją rozdarł.

Kłęczał. Nie do końca pamiętał, jak to się stało, że upadł na kolana. Posłannicy ponosili odpowiedzialność za połowę nieszczęścia. On, przez swoją ignorancję, prawie dokończył dzieła.

– Nie tylko przez ignorancję – Nightingale przesłała wiadomość do jego umysłu. Uklęka przed nim. Scarab ani drgnęła. – Ale i moc. To niebezpieczna mieszanka. Moc jest równie tajemnicza jak same przesłony. Twoja bardziej niż czyjakolwiek. Nie możemy cię jej pozbawić inaczej, jak odbierając ci życie, ale nie chcemy tego robić. Ale nie możemy cię też tu zostawić i liczyć, że sam nad tym zapanujesz.

Wtedy Akiva zrozumiał naturę wyboru, który wcale nie był wyborem.

– Czego ode mnie chcecie? – zapytał ochryple, choć i tak wiedział.

– Chodź z nami – odparła Nightingale na głos. Mówiła łagodnie i ze smutkiem, ale kiedy Akiva ponad jej ramieniem podchwycił spojrzenie Scarab, nie ujrzał smutku ani litości. Jego babka dodała miękko: – Wracaj do domu.

Sam dźwięk tego słowa wydawał mu się zdradą, tym większą, gdy patrzył na bezlitosną Scarab. Dom zamierzał stworzyć z Karou. To ona była domem. Czuł, jak przyszłość rozpada mu się w dłoniach. Pomyślał o kocu, który jeszcze nie istniał, a już stał się symbolem najpierwotniejszej, najcenniejszej nadziei, stróżem miejsca miłości i snów. Czy będą go musieli rozerwać na pół, żeby każde mogło zabrać swoją wystrzępioną część tam, gdzie zaprowadzi go los?

– Nie mogę – zaprotestował desperacko. Nie zważał, że mogą to odczytać jako jego decyzję.

Nightingale tylko na niego spojrzała, a w kącikach jej ust czaiło się rozczarowanie. Twarz Scarab pozostała nieprzenikniona, ale na wypadek gdyby dotąd nie zrozumiał, dała mu odczuć konsekwencje takiego wyboru. Wcześniej już dwukrotnie uświadamiał sobie nagle i z dotkliwą wyrazistością, czym jest jego życie. Teraz stało się to po raz trzeci. Równocześnie pojawił się przekaz, dosadniejszy niż wiadomości Nightingale, więc z całą pewnością pochodzący od Scarab. Nie okrutny, ale bezlitosny, a on zrozumiał, że ona nie znała litości. Została królową ludzi zniewolonych odpowiedzialnością za istnienie całego Kontinuum. Taki ciężar wydawał się niemal nieznośny. Nie mogła się wahać, nigdy, i nie robiła tego. Tak się objawiała siła, nie okrucieństwo. Pokazała mu lśniącą nić trzymaną między dwoma palcami. Wizji towarzyszyło wyjaśnienie, że nić to życie Akivy, a palce należą do niej i że gdy ona zerwie nić, on umrze.

I że jest gotowa to zrobić.

Usłyszał w przekazie jeszcze coś, co go zaskoczyło. I dla niej, i dla wszystkich innych najprościej by było, gdyby zabiła go teraz. Najprościej i najbezpieczniej. Ale w wizerunku lśniącej nici majaczyło coś, czego nie potrafił wychwycić. Struna do harfy? Kłóciły się o to wcześniej i Akiva wyczuwał, że zabijając go, królowa może zyskać coś jeszcze.

Ale nie chce tego robić.

– A więc? – spytała.

Wybór nie był trudny. Najważniejsze jest życie. Żeby spróbować odkręcić wszystko inne, trzeba żyć.

– Dobrze – zgodził się. – Pójdę z wami.

A ponieważ krążyła tu Ellai, bogini, która zraniła słońce i choć miała pomagać kochankom, częściej ich zdradzała, właśnie na dźwięk tych słów do jaskini weszła Karou.

Koniec

Akivo...?

Nie rozumiała, co się dzieje. Spełnienie jej życzenia okazało się bardzo proste. Jak tylko gawriel zniknął, od razu wiedziała, gdzie on jest: niedaleko, ale głęboko w jaskiniach, których nie zdążyli jeszcze zwiedzić. Poprowadziła tam wszystkich, mijając wiele zakrętów, aż wyszła zza ostatniego rogu, żeby zastać... Akivę na kolanach.

I pięcioro czarnowłosych nieznajomych. Słyszała, co powiedział, ale to nie miało sensu. Nie podbiegła. Nie dotknęła stopami kamiennej posadzki, gdy wpadła tam w ciągu sekundy,

pociągnęła go do siebie i spojrzała mu w oczy, zajrzała do jego wnętrza. Wlała się w niego i już wiedziała. Od razu.

Że to koniec.

Widziała w nim gasnący ogień, pustkę i krzyk.

– Przepraszam – powiedział, a ona nie pojmowała, co mogło w ciągu tych kilku godzin doprowadzić go do takiego stanu. Gdzie się podziało spojrzenie pełne oczekiwania, żywe i rozbudzone, gdzie śmiech, gdzie kuszenie, gdzie taniec i głód? Co oni mu zrobili? Odwróciła się w stronę obcych aniołów i zobaczyła ich oczy.

Aha...

– Co się dzieje? – spytała, ale z przerażeniem pomyślała o odpowiedzi. Czekala, a odpowiedź nie nadchodziła. Chyba że znów coś się działo z czasem. Akiva złapał ją w ramiona i przyciskał usta do jej głowy, długo, nieskończenie. W kategorii pocałunków byłoby dobrze, gdyby tylko dotarł do jej ust. Jeśli chodzi o odpowiedź, było bardzo źle. Bo to oznaczało pożegnanie. Niekończące się. Czula to w jego sztywnych rękach, drżącej szczęce, spuszczonej ramionach. Odsunęła się od żegnających ją warg.

– Co ty robisz? – spytała. Dotarły do niej jego słowa. – Dokąd idziesz?

– Z nimi – odparł. – Muszę.

Cofnęła się o krok i jeszcze raz przyjrzała się „im”. Krewnym Akivy, Stelianom. Wiedziała, że żadnego z nich wcześniej nie spotkała i nie mogła pojąć, co oznacza ich obecność. Najbliżej stała starsza kobieta, piękna, ale to od młodszej Karou nie mogła oderwać oczu. Może przemawiała przez nią dusza artystki. Czasem, choć rzadko, widywało się kogoś, kto wyglądał inaczej niż inni, kto do nikogo nie był ani odrobinę podobny i nie można go było ani z nikim pomylić, ani zapomnieć. Taka była ta serafinka. Nawet nie chodziło o urodę, choć była piękna na swój ostry, mroczny sposób. Niepowtarzalna, totalna. Rysy, intensywność i aura władzy. „To jest ktoś”, pomyślała z zazdrością Karou, „kto od dnia narodzin wiedział, kim jest”.

I kto chciał jej zabrać Akivę.

Nieważne, o co tu chodziło, ani przez sekundę nie pomyślała ani się nie wystraszyła, że Akiva opuszcza ją z własnej woli. Czula, że za jej plecami gromadzą się przyjaciele i towarzysze. Przyszli wszyscy: Issa, Liraz, Ziri, Zuzana, Mik, nawet Eliza. A do tego dwadzieścioro Bastardów i jeszcze więcej chimer, wszyscy gotowi do walki o Akivę, gdy już go znajdą.

Tyle że jak go wreszcie znaleźli, on się wcale nie bronił.

– Muszę – oznajmił tylko.

Pierwsza zareagowała Liraz:

– Nie – oświadczyła jak to ona, wykładając prawdę na stół, a potem stojąc nad nią i strzegąc jak lwica ofiary. – Nie musisz. – Wyciągnęła miecz i stanęła twarzą w twarz ze Stelianami.

– Lir, nie. – Szybko podniósł ręce. – Proszę cię, schowaj to. Nie pokonasz ich.

Patrzyła na niego jak na obcego.

– Nie rozumiesz – mówił. – W czasie bitwy to byli oni. – Spojrzał w stronę Stelian, ale skupił

się na starszej kobiecie. – Prawda? To wy pokonaliście naszego wroga?

Pokręciła głową.

– Nie. My nie. – Zamrugał, bo przestał cokolwiek rozumieć. Ale ona wskazała na młodą kobietę stojącą u jej boku. – To Scarab.

Nikt się nie odezwał. Przypomnieli sobie konających bez powodu wrogów, bezwładnie spadających z nieba. Jedna kobieta. Dokonała tego jedna kobieta.

Liraz wsunęła miecz do pochwy.

– Proszę cię, wyjaśnij, o co chodzi – szepnęła Karou, a kiedy Akiva ponownie zwrócił się do starszej kobiety, przemknęło jej przez myśl, że nie zwraca uwagi na jej prośbę. Ale on też prosił.

– Mogłabyś? – spytał.

Karou nic z tego nie rozumiała, ale czuła, że między dwiema kobietami rozgrywa się jakaś milcząca potyczka. Potem dopiero pojęła, że dyskutowały, czy im powiedzieć. Przekazać odpowiedź na pytanie. Nightingale wygrała. Potem Karou rozumiała już wszystko.

W jej umyśle i w umysłach ich wszystkich pojawiło się doświadczenie tak złożone i rzeczywiste, jakby sami to przeżyli. Karou nigdy nie chciałaby czegoś takiego przeżyć. Już wiedziała, dlaczego Akiva poprosił swoją babkę – babkę! – żeby podała im to w ten sposób. Żadne słowa by tego nie oddały. Przekaz otworzył ją i w nią wniknął. Poznała dzieje tragicznego błędu i niewypowiedzianego strachu, szczegółowo, miazdząco i bez żadnego wysiłku. Po prostu znalazły się w jej umyśle, skoncentrowane i oczywiste, jak wszechświat zamknięty w perle. Albo jak wspomnienia wtłoczone do rozwidlonej kostki. Jednak ta opowieść okazała się znacznie głębsza i potworniejsza. Przypominała zły sen.

Koszmary.

Rozumiała już, co przeżywał Akiva, bo teraz i ona stała się gasnącym ogniem, pustką i krzykiem.

Jak się znosi coś tak przytłaczającego i tak wstrętnego? Już wiedziała: stoi się z otwartymi ustami i zastanawia, jakim cudem kiedykolwiek zakładało się szczęśliwe zakończenie.

Zapanowała cisza. Ich przerażenie stało się namacalne, a oddechy słyszalne. W przekazie Nightingale pojawiło się przelotne doznanie wielkiego ciężaru i dzikiego, wstrząsającego głodu. Teraz, kiedy już je poznali, żadne z nich tego nie zapomni. Odczucie nithilam napierających na przesłonę świata.

Karou stała o krok od Akivy, ale czuła, jakby dzieliła ich zatoka. Jego udział w tej historii został zawarty w przekazie i nie było wątpliwości: nie mógł tu zostać. Dzieło przebudowy Imperium, które jeszcze niedawno wydawało im się tak przytłaczające, nagle okazało się zaledwie przypisem do rozprawy o przetrwaniu całego Eretz. Karou zakręciło się w głowie. Akiva spojrzał jej w oczy i wiedziała, o co chce zapytać, ale przecież nie mógł, bo jej przeznaczenie nie było jakimś drobiazgiem, który można by śmiało podpiąć pod jego los. Nie mogła z nim lecieć. Bez niej chimery się nie odrodzą.

Przecież to on miał z nią zostać. Mówił Ormerodowi o „wcześniejszym zobowiązaniu”, ale nie mógł się z niego wywiązać. Nie napiszą wspólnej historii serafinów i chimer, historii „innego sposobu życia”. To było tylko jedno z milionów mgnień w obłączonym świecie. A oni po raz kolejny zostaną rozdzieleni.

Liraz przerwała ciszę jako pierwsza.

– A co z gwiazdnymi bóstwami? – spytała błagalnie. – W baśni walczą z potworami i wygrywają.

– Nie ma żadnych gwiazdnych bóstw – odparła Scarab, a do słów dołączyła krótki, niepozostawiający wątpliwości przekaz: puste niebo i przekonanie, że nie ma tam nic, co by nad nimi czuwało. Że stamtąd nie nadejdzie pomoc. Zresztą, spośród tylu bogów, których nazwali i czcili we wszystkich ich trzech światach, i w pozostałych też, czy któryś kiedykolwiek pomógł? Głosem tak beznadziejnie pustym jak jej słowa dodała jeszcze: – I nigdy nie było.

To był najgorszy, najtrudniejszy moment. Karou miała go na zawsze zapamiętać jako najczarniejszy z cieni. Tak czarny, jak może być cień rzucony przez najjaśniejsze słońce.

Bo oto dotarł do nich następny przekaz. Przedarł się przez wcześniejszy i oślepił zjawiskowością. Wirem, przepychem światła. Armią światła. Zatopione w nim były postacie, złote i liczne. Karou wiedziała kto to. Wszyscy wiedzieli, chociaż te istoty nie pasowały do treści mitu, ale zadziałała ta sama pokrętna logika, która obowiązywała w snach: że się coś w głębi serca wie i już. To wojownicy światła.

Gwiazdne bóstwa.

Karou patrzyła, jak Scarab odwraca głowę. Nightingale też. Z ich zszokowanych min wywnioskowała, że tego przekazu nie nadała żadna z nich ani nikt z pozostałych Stelian, bo spojrzenia mieli równie zdumione.

Więc kto?

– Jeszcze.

Jedno słowo, dochodzące zza pleców Karou, spośród jej grupy. Głos znajomy, ale zbyt zaskakujący, żeby zdołała natychmiast skojarzyć go z odpowiednią osobą. Musiała się odwrócić i popatrzeć, a potem zamrugać i spojrzeć jeszcze raz, żeby uwierzyć.

„Ludzie rządzeni przeznaczeniem nie powinni robić planów”, powie potem Eliza, ale na razie stwierdziła:

– Jeszcze nie było gwiazdnych bóstw.

Bo to mówiła ona. Wystąpiła naprzód, natchniona, niemal emanująca blaskiem. Zapomniano o niej w tłumie zmieszanych istot z tego świata, bo nikt tak naprawdę nie wiedział, kim była. Mikowi i Zuzanie mówiła, że jest motylem, ale oni nie mogli zrozumieć, co to oznacza. I jakie ma konsekwencje. Zresztą, przecież nie chodziło wyłącznie o to. Była echem, ale też nie tylko. Stanowiła odpowiedź. Z jej skóry emanowała tajemnica, przesycała ją niczym czarną perłę. W Drugim Wieku nie pojawił się ani jeden serafin o hebanowej skórze. Ci z Chavisaery zostali straceni wraz z Meliz i Stelianie wpatrywali się w nią ze zdumieniem.

Ona skupiła się na Scarab, a Scarab na niej.

– Kim jesteś? – spytała królowa. Zachwyt złagodził jej srogość i stała jak zaczarowana.

Oczy Elizy rozbłysły i skinęła głową, żeby zaprosić Scarab do poznania jej, do dotknięcia nici jej życia. Scarab musnęła ją ledwie jednym palcem swej animy, lekkim jak piórko ruchem badającym całą długość nici. Eliza zadrżała. Nigdy wcześniej nie odczuła czegoś takiego i aż dostała gęsiej skórki. Pomyślała nawet, że to śmieszne, reagować czymś tak pospolitym, gdy złota serafińska królowa dotyka nici twojego życia.

Cokolwiek Scarab wyczytała, wywołało to w jej oczach taniec płomieni. Ona też wyglądała jak natchniona.

Nikt oprócz nich nic z tego nie rozumiał. Nawet Nightingale. Ale wszyscy zgromadzeni tego wieczoru w jaskiniach Kirinów mówili potem, że nagle poczuli, jak czas mroku zaczyna powoli ustępować, a w jego miejscu rozkwita epoka światła. Koniec i początek częściowo na siebie zachodziły i było to zachwycające, deprymujące, pierwotne, przerażające, elektryzujące i rozkoszne.

Jak zakochiwanie się.

Scarab zrobiła krok naprzód. Całe życie czuła się szarpana przez ananke, przez niezmordowane parcie przeznaczenia. Brutalne, ale nieuchwytnie. Onieśmielające i przerażające. Nigdy za to nie czuła, że tak idealnie do kogoś pasuje. Pełnia. Nie, więcej. Jedność.

Ananke zamilkło. Dla Scarab było to jak nagle ustanie płaczu dziecka, który już już stawał się nieznośny.

Widziała przed sobą tę kobietę, serafinkę, która pojawiła się nie wiadomo skąd, reprezentantkę utraconej linii aniołów z Chavisaery, których wszyscy w Meliz czcili jak proroków. Nagle niepewność i przerażenie... ustąpiły.

– Jak? – spytała. Jak to możliwe? Skąd się wzięła Eliza? Skąd się wziął jej przekaz i co oznaczał?

Jak? Eliza spojrzała na Karou i Akivę, Zuzanę i Mika oraz na Virka, który, jak zrozumiała, zabrał ją na grzbiecie z kasby, ratując przed agentami rządowymi i kto wie, przed czym jeszcze. Tych pięcioro ocaliło ją przez hańbą i szaleństwem, przed życiem bez przyszłości. Dzięki nim znalazła się tu, gdzie powinna i miała przed sobą przyszłość. I to ją. Wszyscy mieli! Przyjrzała się pozostałym zgromadzonym i doznała tego samego uczucia spełnienia co Scarab. Jest dobrze. Tak miało być. I, jak wszystkie cuda, wydawało się to jednocześnie niemożliwe i nieuniknione.

– Myślę, że już czas – odpowiedziała. Mówiła w uniesieniu, a jej ustami przemawiało przeznaczenie. Chociaż pozostali nic z tego nie rozumieli, odczuwali powagę chwili i trzymali języki za zębami.

Wszyscy z wyjątkiem Zuzany. Ona i Mik stali bok siebie i chłonęli to, co się działo, oczami i uszami – nareszcie – bo rozumieli także słowa. Wcześniej Zuzana schowała do kieszeni

zyczenia – niech szlag trafi życzeniową policję – i jak tylko zobaczyli obcych aniołów, pod palcami Zuzany zniknęły dwa sentinele, jeden dla niej, drugi dla Mika. Poznali język aniołów.

Co niespecjalnie im pomogło w ogarnięciu tego, co się działo, więc Zuzana zaryzykowała pytanie:

– No tak... Ale na co przyszedł czas?

Inni się bardzo ucieszyli i ulżyło im, że ktoś spytał o to, co ich dręczyło. No właśnie. Czas na co?

– Na wyzwolenie – odparła Eliza. – Na zbawienie. Na gwiazdne bóstwa.

– One są wymyślane – zareagowała Scarab, ale niepewnie, w każdej chwili gotowa zmienić zdanie. Jak cała reszta, także i ona obracała w mózgu wizję z przekazu Elizy i nie wiedziała, co z nią zrobić. Ale chciała w nią wierzyć.

– No tak – zgodziła się z uśmiechem Eliza. Nikt nie spuszczał z niej wzroku. Wszyscy słuchali. Jakie to dziwne, że właśnie ona wypowiadała być może najważniejsze słowa w dziejach ich światów.

– Moi ludzie wiedzieli, że czas jest oceanem – zaczęła. – Nie odpływa jak rzeka, nie znika, dokonany i zużyty. Po prostu jest, wieczny i absolutny. Ludzie poruszają się w jednym kierunku, ale to nie odzwierciedla jego prawdziwej natury, jedynie ludzkie ograniczenia. Przeszłość i przyszłość są tworamii naszych umysłów. Tak jak i mity. Niektóre są od początku do końca dziełem wyobraźni. Ale w innych jest ziarno prawdy. Część już się zrealizowała, ale inne, unoszące się na powierzchni wiecznego i absolutnego czasu, jeszcze nie. – Zamilkła i szukała słów, które wszyscy zrozumieją. – Część mitów jest przepowiednią.

„Wojownicy światła usłyszeli o nithilam i przybyli ze swego odległego świata, żeby z nimi walczyć. Objawiły gwiazdne bóstwa, które dały wszechświatowi światło”.

Karou i Akiva zbliżyli się do siebie. Przytuleni słuchali, a jaskinia wokół nich wirowała. Ich rozstanie nie zostało anulowane ani nie poszło w niepamięć. Minał strach, ale nie smutek. Cokolwiek się dzisiaj stanie, pożegnanie ich nie ominie.

Loramendi czekało. Czekają ciche dusze pochowane pod popiołem. Karou nadal była ostatnią nadzieją chimer, a Akiva okazał się nieprzewidywalny i niebezpieczny. Coś jednak zobaczyli w złocistym przekazie i otworzyła się przed nimi przyszłość równie zjawiskowa, jak przerażająca.

Niespodziewanie stała się też bardzo pewna. Tak jakby wizja Elizy zlała się z ich niemi życia i została ich częścią.

Nie można się było wycofać.

Po wcześniejszym, mrocznym przekazie Ziri złapał Liraz za rękę i nie puszczał. Oboje po raz pierwszy w życiu trzymali kogoś za rękę i dla nich przytłaczająca wymowa tego wieczoru została przyćmiona zachwytem: jak doskonale pasują do siebie splecione palce. Tak jakby do tego służyły, a nie do trzymania broni.

Ale kryła się pod radością i nuta smutku, bo wiedzieli, że czas korzystania z broni jeszcze się

nie skończył.

Jeszcze się nawet nie zbliżał do końca.

Okazało się, że Eliza jest prorokiem i dzięki niej poznali swoją przyszłość. Ale była też Posłanniczką i to miało jeszcze większe znaczenie, bo sama stała się spełnieniem swojej przepowiedni. Przechowywała w sobie mapy i wspomnienia. Dawno temu Elazael z Chavisaery wyruszyła w podróż przez kolejne przesłony i eksplorowała znajdujące się za nimi wszechświaty. A ponieważ upojony władzą mędrzec zrobił jej wówczas to, co zrobił, tamte mapy należały teraz do Elizy. Tak jak i wspomnienia jej pramatki o potworach. Żadna żywa istota nie widziała nithilam ani nie podróżowała po światach, które potwory później spustoszyły, ale Eliza miała w sobie wszystko.

Jeśli Scarab zamierzała walczyć z Katakлизmem, będzie potrzebowała przewodnika. A zamierzała. I już go sobie znalazła.

A nawet kogoś więcej. Wszyscy to widzieli. Gdy tylko Scarab i Eliza na siebie spojrzały, dopełniły się jak rozdzielone przez los połowy jednej całości. Nawet Carnassial, choć wszystko przemilczał, pożegnał swoje ciche nadzieje.

Reszta zobaczyła w przekazie świetliste sylwetki i przyjęła je bez wahania i wątpliwości, tak jak się akceptuje sny.

– W niektórych mitach jest ziarno prawdy – wyjaśniła Eliza. – Część już się zrealizowała, ale inne, unoszące się na powierzchni wiecznego i absolutnego czasu, jeszcze nie.

W jednej chwili zrozumieli dwie rzeczy: kim są ci wojownicy światła i czym będą.

To drugie okazało się łatwe do odgadnięcia, ale nie umniejszało doniosłości ich misji. Będą gwiazdnymi bóstwami, na które w odmętach czasu nie przyszła dotąd pora.

A kim byli?

Sylwetki były przesycone światłem, zapierające dech w piersiach i... znajome. Zobaczyli siebie, wszystkich, od Dashnaga Ratha, który nie był już chłopcem, po Mika, skrzypka z sąsiedniego świata i Zuzanę, twórczynię marionetek. Akivę i Liraz, którzy nigdy nie przestaną tęsknić z Hazaelem. Ziriego, Kirina, jednak szczęściarza, i nawet Issę, która nigdy dotąd nie była wojowniczką. A także Karou.

Karou, która rozpoczęła całą tę historię w poprzednim życiu, kiedy na polu walki uklęknęła przy konającym aniele i się uśmiechnęła. Można by narysować linię zaczynającą się na plaży w Bullfinch i przebiegającą przez wszystko, co się wydarzyło od tamtej pory. Przez rozpoczęte i skończone życia, wygrane i przegrane wojny, miłość i rozwidlone kostki życzeń, wściekłość, żal, oszustwo, rozpacz oraz nadzieję, zawsze i mimo wszystko. Linia kończyłaby się w tej jaskini w górach Adelphas, na zebranej tu grupie.

Los aż się uklonił, tak niebywale mu się to wszystko udało, ale następne słowa Scarab, królowej Stelian i strażniczki Katakлизmu odebrały im oddech. Mówiła ze wzruszeniem, od którego po plecach przebiegły im ciarki. Jej zresztą też.

– Jeszcze będą gwiazdne bóstwa. I to będziemy my.

Epilog

Karou prawie codziennie budził teraz dźwięk młotów. Zwykle namiot był już wtedy pusty. Issa i Yasri wmykały się przed brzaskiem, żeby pomóc Vovi i Awar w przygotowaniu gigantycznych ilości jedzenia na śniadanie, od którego zaczynał się dzień w obozie. Haxaya na wiele dni przepadała na polowaniach i wraz ze swoją grupą tropiła nad rzeką Erling stada skeltów. Gdzie się nocami podziewały Tangris i Bashees – tego nie wiedział nikt.

Gdy Aegir pierwszy raz uderzał młotem – zamiast budzika Karou miała ostatnimi czasy kowadło – dowiedzona przez Amzallaga ekipa odkopująca kończyła już śniadanie i wychodziła do pracy, a inne zajmowały ich miejsca w stołówce.

Oprócz kowali – którzy wykuwali teraz kadzielnice, nie broń – mieli też rybaków, hodowców i odpowiedzialnych za zaopatrzenie obozu w wodę. Budowano i uszczelniano łodzie, pleciono sieci. Na dobrej ziemi kilka kilometrów od obozowiska zasadzono rośliny, z których plon będzie można zebrać późnym latem. Mimo to spodziewali się tej zimy głodu, bo przez ostatni rok zrabowane zostały wszystkie spichlerze, a pola wypalono. Inna sprawa, że do wykarmienia było teraz mniej osób i choć trudno uznać zdziesiątkowanie populacji za plus, nie da się ukryć, że dzięki temu mieli szansę na przeżycie.

Reszta zajmowała się miastem. Przede wszystkim pochowali kości znalezione wśród prochów. Wkrótce wkroczą tam ekipy budowniczych, ale najpierw teren trzeba uprzątnąć i usunąć stamtąd poskręcane pręty żelaznej klatki. Wciąż poszukiwali istot dość silnych, żeby tego dokonać. Nadal nie wiedzieli też, co zrobią z całym tym żelastwem, gdy znajdą już siłacza, który pomoże im się go pozbyć. Niektórzy uważali, że nowe Loramendi trzeba zbudować tak, jak poprzednie, pod klatką. Karou rozumiała, że chimery jeszcze nie czują się bezpiecznie pod otwartym niebem, ale miała nadzieję, że kiedy przyjdzie czas na decyzję, zgodzą się na wzniesienie miasta pasującego do jaśniejszej wizji przyszłości.

Pewnego dnia to może być piękne miasto.

– Przywieźcie architekta – rzuciła pół żartem, pół serio Mikowi i Zuzanie, gdy wyruszali z powrotem na Ziemię na grzbiecie burzołowcy o imieniu Samuraj. Wracając, mieli zabrać z sobą przede wszystkim zęby, a po drugie czekoladę – to inicjatywa Zuzany – ale przede wszystkim zorientować się, co działo się po odlocie Jaela. Karou za nimi tęskniła. Bez Zuzany stale znajdowała się o krok od gorzkiego użalania się nad sobą. A przecież wcale nie była samotna i jej życie tutaj ani trochę nie przypominało straszliwej izolacji, w której więdła w pierwszych dniach buntu, gdy Wilk prowadził ich na krwawe zatracenie, a ona spędzała całe dnie na budowaniu armii, mającej na nowo wskrzesić wojnę. Samotność, którą poznała teraz, przypominała koc z mgły: zero słońca i horyzontu, tylko niekończący się, przesywający chłód, od którego nie było ucieczki.

Chyba że w snach.

Czasami, gdy rozlegał się dźwięk pierwszego uderzenia młota, wydawało jej się, że wpada do swojego życia z jakiejś słodkiej, ozłoconej przestrzeni, która stawała się nierealna z pierwszym tchnieniem świadomości. Tak jakby patrzyła na nią przez łyż. Czuła coś podobnego jedynie wtedy, gdy otwierała kadzielnicę albo pochylała się nad martwym ciałem, żeby zebrać duszę. I chociaż nie poznała dotąd dotyku duszy Akivy – bo na całe szczęście nigdy jeszcze nie zginął – kojarzyła jej się ona z czymś podobnie cudownym i jasnym, jak stanie w słońcu. W złotej kuli było ciepło, jasno i miała tak silne wrażenie jego obecności, że niemal czuła jego dłoń na swoim sercu i swoją rękę na jego.

Tego ranka wyjątkowo mocno. Leżała bez ruchu i po prostu czuła przyciskające się do piersi serce, którego tam nie mogło być. Biło pod jej dłonią. Nie chciała otwierać oczu, pragnęła wślizgnąć się z powrotem do złotej kuli, znaleźć go i w niej pozostać.

Westchnęła i przypomniała sobie dziecienną piosenkę z Ziemi, o tym, że jeśli chce się zapamiętać sny, zaraz po przebudzeniu trzeba je wołać jak małe kotki. W zasadzie cała piosenka składała się ze słów: „Kici kici kici kici...”, ale zawsze ją bawiła. Teraz uśmiech przypominał raczej skrzywienie, bo bardzo chciała, żeby to zadziało, ale nie wychodziło.

Nagle ktoś odchylił wejście do namiotu i cicho chrząknął.

– Karou? – Głos był na tyle cichy, żeby jej nie obudzić, na wypadek gdyby jeszcze spała. Otworzyła oczy i zobaczyła zarys postaci w porannym słońcu. Odmalowywało się na silnym ramieniu złotym blaskiem jak u figury zdobiącej ołtarz. Poderwała się w jednej chwili, jakby puściła sprężyna utrzymująca ją w pozycji leżącej.

Odrzuciła koc, uklękła i dopiero potem zdała sobie sprawę z pomyłki.

To był Carnassial.

Nie potrafiła zamaskować rozczarowania. Musiała zakryć twarz.

– Przepraszam – wybąkała po chwili, kiedy już zepchnęła nadzieję i tęsknotę głęboko, jak każdego ranka. Opuściła ręce i uśmiechnęła się do stelianskiego mędrca. – Nie myśl sobie, że na twój widok się nie cieszę.

– Nic się nie stało. – Wszedł do środka. Przyniósł jej herbatę i poranną rację chleba, żeby mogli pójść prosto do miasta. – Dobrze wiedzieć, jak wygląda ktoś cieszący się na twój widok. Chociaż, prawdę mówiąc, wątpię, żeby wiele osób aż tak się cieszyło. W każdym razie mi nigdy nie było to dane, ale nie zapomnę tego do końca życia.

– Nie wiem, czy to nie jest przypadkiem przekleństwo – mruknęła Karou i wzięła od niego herbatę. Domyślała się, że coś go łączyło z królową, ale już się skończyło. Podejrzewała, że dlatego zgłosił się do przylotu do Loramendi, zamiast wracać z pozostałymi na Dalekie Wyspy. – Albo coś w rodzaju skohlu – dodała. Był to krzew rosnący wysoko w górach. Jego cuchnącej żywicy używali do pochodni. – I rozwija się tylko w najkoszmarniejszych warunkach. – Próżno by go szukać na nakrapianych słońcem łąkach. Wzrastał tylko na stromych klifach pokrytych szronem. Może miazdząca serce miłość rośnie tylko w tak samo niesprzyjających okolicznościach?

Carnassial pokręcił głową. Tak naprawdę nie był wcale podobny do Akivy, ale nieustannie go z nim myliła, bo w tej części świata Akiva był jedynym Stelianem.

– Wiesz, on zachował się tak samo jak ty – powiedział. – Kiedy pierwszy raz go zobaczyliśmy. Zamierzaliśmy go wtedy zabić. I zrobilibyśmy to. Ale odwrócił się, bo usłyszał oddech Scarab. Ona była niewidzialna, a on uśmiechnął się tak, jakby w tej ciemności zobaczył ucieleśnienie szczęścia. – Zamilkł na chwilę. – Myślał, że to ty.

Karou zaczęła się trząść ręką, w której trzymała herbatę i musiała złapać kubek drugą, żeby aż tak nie było tego widać.

– Kiedy wróciłeś? – spytała, żeby zmienić temat. Poleciał do Astrae jako reprezentant Stelian. Liraz i Ziri też poleciali, żeby się spotkać z Elyonem i Balierosem i przedyskutować plany na nadchodzącą zimę.

– Wczoraj. Kilkoro twoich wróciło ze mną. Ixandera trafił szlag, że przegapił szansę na zostanie bogiem, jak to ujął.

Bogiem. Gwiazdym bóstwem.

Dużo rozmawiali o tym, co właściwie oznaczał przekaz Elizy i doszli do wniosku, że chociaż nie mają pewności, jak go interpretować, wygląda na to, że zostaną „bogami”. Łączyła ich niezwykła pokora i jedność wobec przewidzianego losu. Odegrają rolę w urzeczywistnianiu się mitu. Może wcześniej należał do serafinów, ale teraz stał się ich wspólną przepowiednią. Ludzie czy nie, to nie miało znaczenia. Pójdą na wojnę tak wielką, że na samą myśl uginały się kolana i umysły zasnuwały się mgłą. I to oni zostaną wojownikami światła, którzy przepędzą mrok.

– Ja w każdym razie zamierzam uprzedzić bieg wypadków – oznajmiła wcześniej Zuzana – i od razu traktować się jak boginię. A wy sobie wiercie, w co chcecie.

Karou bardzo się podobała wizja wiary, w co się chce, tak jakby rzeczywistość była szwedzkim stołem, z którego można wybierać do woli. Szkoda, że tak nie jest...

„Trzy ciastka, poproszę”.

Carnassial dalej mówił o Ixanderze:

– Powiedział, że zgodnie z prawem powinien być jednym z gwiazdnych bóstw, bo chciał z tobą wracać do jaskiń, ale został odesłany do Astrae. Już się bałem, że mnie wyzwie na pojedynek, żeby zająć moje miejsce – uśmiechnął się.

Karou też się uśmiechnęła na myśl o wielkim niedźwiedziowatym żołnierzu wyklócającym się z losem o kruczki w nieistniejącym prawie.

– Właściwie, kto wie – stwierdziła. – Przecież nie uwieczniliśmy wizji Elizy i nie mamy listy nazwisk. Nie mogli jej też ponownie zobaczyć, bo Eliza poleciała ze Stelianami i Akivą na Dalekie Wyspy. – Może wszyscy widzieliśmy to, co chcieliśmy widzieć?

– Może – zgodził się Carnassial. – Ale ciebie widziałem na pewno.

Ona nie mogła mu się zrewanżować. Nie widziała go. Ale widziała siebie, a u swojego boku Akivę. Ten widok był dla niej jak brzytwa dla tonącego i desperacko się go trzymała.

Wierzyła, że przyjdzie czas, gdy obowiązki pozwolą im być razem. A w każdym razie, gdy będą mogli je naginać i dostosowywać do swoich potrzeb. Skoro już zostali skazani na wieczne bycie niewolnikami swoich losów, czy nie mogliby nimi być na tym samym kontynencie? A najlepiej pod tym samym dachem?

Może kiedyś.

Oby, zanim wojna Scarab zobowiąże ich do stawienia czoła nithilam.

Kiedy to się stanie? Nieprędko. Do takiego starcia nie można się śpieszyć. Już sam pomysł spotkał się ze stanowczym sprzeciwem pozostałych Stelian. Tak twierdził Carnassial, który dostawał przekazy z domu.

Ale nie wszyscy się burzyli. Wiele aniołów trwało przy swojej królowej. Mieli nadzieję na uwolnienie się od obowiązku podtrzymywania przesłony świata.

– Dostałeś jakieś nowe wieści? – pozwoliła sobie spytać. Poprzednio wiadomości przekazał też Akiva, więc liczyła, że tak będzie i dzisiaj.

Carnassial pokiwał głową.

– Dwa dni temu. Wszystko u nich w porządku.

– W porządku? – powtórzyła i aż żałowała, że nie umie, tak jak Zuzana, wyrazić ruchem brwi tego, co sądzi o takim skrócie myślowym. – To naprawdę wszystko?

– Może nawet lepiej niż w porządku – dodał. – Królowa wróciła, przesłona zdrowieje i wkrótce zaczyna się pora wyśnienia.

Karou domyślała się, że przesłona zdrowieje, bo Akiva już jej nie nadweręża i wszystko wracało do względnej normy, ale nie rozumiała, o co chodzi z tą porą wyśnienia, więc spytała.

– To... przyjemna pora w roku – wyjaśnił lekko ochrypłym głosem i odwrócił wzrok.

– Aha. – Nadal nie rozumiała. – Jak przyjemna?

– To w dużej mierze zależy od tego, z kim się ją spędza. – Tym razem to ona odwróciła głowę.

Aha.

Włożyła buty i zebrała włosy z tyłu, związując je kawałkiem materiału oderwanym od jednej z dwóch koszulek, które tu miała. Jak stylowo. „Przywieź gumki do włosów”, zaklinała Zuzanę w myślach i żałowała, że nie mają własnej telestezji.

Nie musiała się ubierać. Okoliczności nie sprzyjały noszeniu piżamy, nawet, gdyby jakąś miała. Spała i chodziła w tych samych ciuchach, aż przestawały pozytywnie przechodzić test zapachowy. Chociaż musiała przyznać, że ostatnimi czasy oceniała wyniki bardzo pobłażliwie. Z rozbawieniem pomyślała o butik, w którym człowiek Esther kupił te dwie koszulki i o tej, która wisiała na wieszaku za nimi. Może nosiła ją dzisiaj jakaś Włoszka? Jechała skuterem, a męskie ramiona mocno obejmowały ją w tali. I może nawet była ostrzyżona na Audrey Hepburn, bo niby czemu nie? Marzenia o Rzymie zasługiwały na fryzurę w tym stylu. Jedno było pewne: wszystkie koszulki zaczynały identycznie, ale teraz ta ziemską nijak nie przypominała koszulki Karou, czarnej od popiołu, sztywnej od rzecznych przepierek, wyblakłej

od słońca i przepoconej.

– No dobra – odezwała się. Wypiła herbatę i wzięła chleb, żeby go zjeść po drodze. – Teraz powiedz, co się dzieje w Astrae.

Opowiedział. Poranne powietrze pachniało słodko, a z budzącego się obozu dobiegały śmiechy, nawet dziecięce, bo zaczęli wracać uchodźcy. O tej porze dnia, kiedy ziemia skąpana była w oranżadowym blasku poranka, nikt by nie uwierzył, że wzgórze w oddali pozbawione są koloru i życia. Karou sięgała wzrokiem aż do miejsca, gdzie stała kiedyś świątynia Ellai, dziś spalona, ale ruin nie widziała.

Poleciała tam po kadzielnicę z duszą Yasri. Sama, przygotowana na to, że sponiewierają ją wspomnienia tamtego miesiąca najśłodszych nocy, ale miejsce w ogóle nie wyglądało tak jak wtedy. Nawet, jeśli mroczny gaj odrósł po tym, jak go Thiago podpalił osiemnaście lat temu, ponownie spłonął w zeszłym roku, razem z wszystkim innym. Nie było dachu ze splątanych gałęzi, nie było ewangelinii, czyli węzoptaków, których szurum-burum stało się ścieżką dźwiękową tamtego miesiąca miłości i których okrzyki bólu wyznaczyły kres płonącego gaju i tamtego czasu.

A jednak nie kres. Od tamtej pory powstało więcej rozdziałów książki. I zostaną napisane kolejne, a Karou wątpiła, czy będą nudne, jak planowała w obozie Dominium, tamtego wieczoru spędzonego z Akivą. Wtedy nie wiedziała o nithilam i o młodej, odważnej królowej, trzymającej los za gardło.

Karou i Carnassial weszli na wzgórze oddzielające obóz od zrujnowanego miasta. Teraz rozciągnęło się przed nimi inne już od tego, które zobaczyła kilka miesięcy wcześniej, gdy przyleciała z Ziemi i nie natrafiła choćby na ślad życia, na ani jedną duszę ocierającą się o jej zmysły. Czekał tu tylko koniec nadziei. Teraz pręty klatki leżały tak jak wówczas, niczym kości jakiejś ogromnej bestii, ale pod nimi poruszały się żywe istoty. Stada okrytych chityną, wielonogich stworzeń podobnych do wołów prężyły się przed blokami czarnego kamienia, z których zbudowane były wały i wieże ogromnej, mrocznej fortecy. Wiedziała, że piękno kryje się pod spodem. Katedra Brimstone'a była cudem świata, jaskinią tak zjawiskową, że nie trzeba było wyjaśniać, dlaczego przed tysiącem lat Wielki Wojownik zdecydował się tutaj założyć miasto.

W tej chwili znajdował się tam masowy grób, ale odkąd Karou się dowiedziała, co postanowili mieszkańcy Loramendi tuż przed upadkiem miasta, już o niej nie myślała jak o grobie. Wiedziała, jaką rolę przeznaczyli dla niej Wielki Wojownik i Brimstone i tego się trzymała. Katedra była kadzielnicą, obietnicą spełnienia nadziei.

Spędzała tam całe dni. Pomagała przy odkopywaniu, ale głównie snuła się po wymarłym mieście i wyczulała zmysły na muśnięcia dusz. Czekwała na chwilę, kiedy poruszenie jakichś kamieni otworzy drogę do tego, co zostało pogrzebane pod jej stopami. Nikt inny by ich nie zauważył, tylko ona. Co prawda jeszcze żadnej nie złapała, ale z pewnością to się zmieni. Wtedy je zbierze, jedną po drugiej, nie pozwalając, by którakolwiek wyslizgnęła się jej z

palców. A później?

Później.

Odetchnęła głęboko i spojrzała w górę. Niebo będzie dzisiaj niebieskie. Chimery i serafini będą pod nim pracować ramię w ramię. Na południu rozeszły się wieści, że Loramendi jest odbudowywane i przybywało coraz więcej uchodźców. Niedługo z północy wrócą wyzwoleni niewolnicy. Większość tam przyszła na świat i wychowała się w niewoli. Także w Astrae chimery i serafini pracowali razem, choć ich praca była raczej odurzająca niż karkołomna. Przebudowywali imperium. Cóż za dzieło! A daleko, hen, hen, było morze usiane setkami zielonych wysepek porozrzucanych w dziwnych konfiguracjach. Wyglądały raczej jak wystające z wody łby węży morskich niż wyspy. Ich mieszkańcy o płonących oczach szykowali się na najśłodszą porę roku.

Karou nie wątpiła, że im się należy. Teraz rozumiała, jakiemu zadaniu poświęcali życie i czym karmili przesłone chroniącą Eretz. Właściwie nie do końca wiedziała, czemu nazywają ten czas porą wyśnienia, ale zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że mogłaby się spotkać z Akivą, chociażby w tej złocistej kuli, która pojawiała się w jej snach, i spędzić ten czas z nim.

Akiva nie wiedział, czy jego przekazy docierają do Karou, ale nieustannie próbował. A tygodnie zmieniały się w miesiące. Nightingale ostrzegała, że tak duża odległość wymaga maestrii, której trzeba się uczyć przez całe lata. Wysyłała przekazy w jego imieniu, ale wtedy nie wiedział, jakich użyć słów. Wolałby przekazywać uczucia – choć mówiono mu, że to najwyższy poziom wtajemniczenia dla telestety – a te mógł wysyłać tylko on sam.

Dalekie Wyspy rozsypane były wzdłuż równika, więc przez cały rok słońce zachodziło wczesnym wieczorem, zawsze o tej samej porze. I właśnie o zmierzchu Akiva znajdował czas dla siebie i próbował nawiązać łączność z Karou. U niej, po drugiej stronie świata, świt miał wstać dopiero za godzinę, ale podobała mu się myśl, że w pewnym sensie budzi się razem z nią, choć nie mógł tego doświadczyć naprawdę.

Ale pewnego dnia....

– Tak myślałam, że cię tu znajdę.

Odwrócił się. Prawie co wieczór szukał samotności w świątyni na najwyższym wzgórzu wyspy. Minęły już sto trzydzieści cztery dni i miało minąć jeszcze więcej, ale po raz pierwszy spotkał tu kogoś innego niż pomarszczonych starców, podtrzymujących wieczny ogień. Płonął na cześć gwiazdnych bóstw, a starcy nie przyjmowali do wiadomości, że ich bogowie nie istnieją. Scarab nie naciskała, więc ogień wciąż się palił.

Ale teraz do Akivy przyszła jego siostra Melliel, którą po przylocie zastał w więzieniu. Ona i reszta jej drużyny zostali tego samego dnia uwolnieni. Tak samo jak pozostali żołnierze i emisariusze Jorama, których trzymano w odosobnieniu. Mogli wybierać: wracać do domu albo zostać. Ponieważ Bastardzi nie mieli rodzin, do których mogliby wrócić, na razie zostali.

Kilkoro z nich, w tym Yav, najmłodszy, miało bardzo silną motywację w postaci pory

wyśnienia, która zbliżała się już do końca i miała, zdaje się, zapoczątkować epokę niebieskich oczu wśród Stelian. Melliel została z powodu nithilam. Chciała być tu, gdzie się zacznie kolejna wojna, ale Akiva widział, że z dnia na dzień coraz mniej w niej wojowniczi. Coraz więcej czasu spędzała na śpiewaniu, a mniej na ćwiczeniach walki mieczem. Zawsze miała piękny głos, a teraz akcent jej zmiękł i brzmiał jak steliański. Uczyła się starych pieśni jeszcze z Meliz, wraz z całą zamkniętą w nich magią.

Przywitał się z nią, ale nie spytał, czemu go szukała. I tak by się spotkali za godzinę na kolacji, więc stwierdził, że chce z nim porozmawiać na osobności. Ale jeśli miała mu coś do powiedzenia, nie zaczęła od razu.

– Która to? – spytała. Stała obok i patrzyła na rozciągający się przed nimi krajobraz. W pogodny dzień było stąd widać niemal dwieście wysepek. W dziewięćdziesięciu procentach niezamieszkałych. I pewnie nienadających się do zasiedlenia. Akiva wybrał jedną dla siebie i Karou. Nikomu o tym nie mówił. Wskazał na tę, za którą właśnie zachodziło słońce.

– Ta mała. Wygląda jak żółw – wyjaśnił, a ona mruknęła, jakby wiedziała, o którą chodzi, chociaż w to wątpił. To nie była jedna z tych górzystych, rzucających się w oczy wysp, wypełniona rzeźbami z zastygłej lawy ani wulkaniczna kaldera z doskonałymi, ukrytymi lagunami.

– Jest tam świeża woda?

– Jak pada – odparł, a ona się roześmiała. O tej porze roku padało co kilka godzin. Takich deszczy nie doświadczali na północy: przelotnych, ale ulewnych. Wodospady zaczynające się na szczycie wzgórza ożywały i w ciągu kilku minut zmieniały kolor z błękitnego na błotnisty, a potem równie szybko wracały do normalnego stanu. Powietrze wydawało się gęste, a chmury dryfowały nisko i ociężałe, bo brzuchy miały pełne deszczu. Akiva nigdy wcześniej nie widział cieni chmur kładących się na powierzchni wody. Tak bardzo przypominały sylwetki jakichś zanurzonych morskich stworzeń, że początkowo nie mógł uwierzyć, że nimi nie są, a teraz cały czas ktoś go podpuszczał. „Patrz, wąż morski!” – wołała na przykład Eidolon i wskazywała na cień chmury większy niż połowa wysp. A potem śmiała się na myśl, że mogłaby istnieć tak wielka bestia.

Akiva myślał wtedy o nithilam. Nigdy o nich nie zapominał.

– A dom? – dopytywała Melliel.

Spojrzał na nią.

– Nie nazywałbym tego domem.

Ale jednak coś tam było. Nadzieja trzymała go przy zdrowych zmysłach, a myśl o Karou dawała siły do codziennych lekcji wewnątrz animy. Tak się prawidłowo nazywało to, co on określał jako „układ energii” i co stanowiło podstawę nie tylko magii, ale i umysłu, duszy i życia samego w sobie. Dopiero gdy Stelianie zyskali pewność, że panował nad sobą i przerażającą umiejętnością przywoływania siritharu, zwrócili mu wolność. Czy Karou przyleci tu zobaczyć, co dla nich szykował? Jej obowiązki zatrzymają ją tam, gdzie jest, na długo. Pocieszało go

trochę, że są z nią Ziri, Liraz, Zuzana i Mik i pilnują, żeby o siebie dbała. A Carnassial obiecał nauczyć ją bardziej wysublimowanych sposobów składania ofiary niż ból.

Chociaż myśl o codziennych lekcjach Karou ze steliańskim mędrcom nie do końca go pocieszała.

– Czyli do przodu?

Wzdrygnął się. Nie chciał jej mówić, że dom był gotowy już od dawna i że codziennie rano, kiedy budził się z braćmi i siostrami w ich długim pawilonie mieszkalnym, leżał jeszcze przez chwilę z zamkniętymi oczami i wyobrażał sobie, jak mógłby wyglądać ten poranek, gdyby nie wyglądał tak jak musiał.

– Potrzeba ci jeszcze czegoś? Dostałam od Sylph piękny czajnik i ani razu go jeszcze nie użyłam. Mogłabym ci dać.

Niby zwykła propozycja, ale Akiva podejrzliwie łypnął na Melliel. Nie miał czajnika ani żadnego innego wyposażenia, ale skąd ona wiedziała o jego planach?

– Dobrze, dziękuję – odparł i starał się zawrzeć w tych słowach wdzięczność. Ale chociaż chciała być miła, miał wrażenie, że się wtrąca. Odkąd tu przyleciał, jego życie stanowiło otwartą księgę. Rozkład dnia, ćwiczenia, postępy, nawet jego nastroje podlegały zbiorowej analizie. Któryś z mędrców – najczęściej była to Nightingale – nieustannie czuwał nad jego animą i nadzorował dokonujące się w niej zmiany. Równie dobrze lekarz mógłby dotykać palcami pulsu. Babka zapewniała, że nikt nie czyta jego myśli i liczył, że to prawda. Miał też nadzieję, że przypadkowo nie rozsyła wszystkim dookoła przekazów, tak jakby nad głowami Stelian rozsypywał confetti ze swoich myśli.

Byłby strasznie zażenowany.

Czuł, że jest projektem badawczym społeczności, ale myśli o domu chciał zachować dla siebie. Nikomu nie mówił o wyspie i nadziei, ale jak widać wszyscy i tak się zorientowali. Oczywiście nikogo tam nie zabrał. Karou będzie pierwsza. Pewnego dnia. To była jego mantra: pewnego dnia.

– Dobrze – oznajmiła Melliel, a on odczekał chwilę. Sądził, że w końcu zdradzi, po co przyszła, ale nic nie powiedziała, tylko spojrzała na niego niemal czule. – To widzimy się na kolacji – dodała, a odchodząc, dotknęła jego ramienia. Zdziwił się, ale zaraz przestał o tym myśleć i skupił się na formułowaniu codziennego przekazu do Karou. Dopiero później, kiedy zszedł ze wzgórza i po drodze na kolację zajrzał do pawilonu, przypomniał sobie o dziwnym zachowaniu siostry, bo tu czekała na niego kolejna niespodzianka. Na biegnącej wzdłuż domu długiej werandzie, pod daszkiem ze słomy.

Najpierw zauważył czajnik, więc zrozumiał, że cała reszta to też prezenty. Wszedł po schodkach i przyjrzał się wszystkim tym rzeczom, których nie było tu jeszcze godzinę temu. Zdobiony stółek, dwie mosiężne latarenki, wielka miska ze szlifowanego drewna pełna najróżniejszych owoców, zwój białej, przejrzystej tkaniny, starannie złożonej, gliniany dzbanek i lustro. Przyglądał się temu, nie wiedząc, co myśleć, a kiedy usłyszał za plecami ruch

skrzydeł i odwrócił się, ujrzał swoją babkę. Trzymała zapakowaną paczkę.

– Ty też? – spytał z odrobiną pretensji.

Uśmiechnęła się z podobną czułością co Melliel. „Co one planują?” Nightingale weszła po schodach i podała mu podarunek.

– Najlepiej zabierz to wszystko od razu na wyspę – zasugerowała.

Przez chwilę Akiva tylko na nią patrzył. Jeśli kojarzył fakty z opóźnieniem, to tylko dlatego, że nadzieję trzymał ukrytą tak głęboko, jak swoje niesforne czary. A kiedy stwierdził, że zrozumiał, nie wydusił ani słowa. Wysłał jej przekaz, który rozbrzmiał w jego głowie jak krzyk. To było zwykłe pytanie, esencja pytania, ale uderzyło ją z taką siłą, że najpierw zamrugła, a potem zaczęła się śmiać.

– Muszę przyznać – odezwała się – że telestezja coraz lepiej ci idzie.

– Nightingale – zdołał tylko wykrztusić, głosem napiętym, cichym niemal jak oddech i nagłym.

Pokiwała głową. Uśmiechnęła się. I przesłała mu rzut oka na postaci na niebie. Burzołowca. Kirin. Kilkoro serafinów i tyle samo chimer. A wśród nich istota lecąca bez skrzydeł, sunąca po prostu w powietrzu, ścigana niebieskimi włosami wyglądającymi na tle zmierzchu jak bicz.

Później Akiva stwierdził, że to Nightingale przyszła przekazać mu tę nowinę, na wypadek gdyby jego radość niechcący sięgnęła po sirithar. Ale tak się nie stało. Uczyli go rozpoznawania granic swojej animy i trzymania się w ryzach, a on był posłuszny. Ale w jego duszy wybuchły fajerwerki takie jak wiele lat temu nad Loramendi, gdy Madrigal wzięła go za rękę i poprowadziła naprzód, w nowe życie toczące się w nocy. Życie miłości.

Teraz też nadchodziła noc, a razem z nią, całkiem niespodziewanie i znacznie szybciej niż ośmieliliby się marzyć, zbliżała się miłość.

Carnassial powiadomił, że się zbliżają, ale wszystkim innym zajęły się kobiety. Yav i Stivan, Bastardzi, a nawet Reave i Wraith, Stelianie, upierali się, że odsyłanie stąd Akivy akurat teraz jest okrutne, ale one nie słuchały. Zebrały się na tarasie skromnego pałacu Scarab, zbudowanego w ścianie klifu, i czekały. Zapadła noc i zaatakowała ich jedna z szybkich, ale bezwzględnych ulew, z powodu której goście wylądowali nieoczekiwanie, zanim płonące skrzydła serafinów przedarły się przez burzowe chmury.

Powitano ich zwyczajnie. Kobiety oddzielono jak ziarno od plew i mężczyźni zostali tam, gdzie stali. Carnassial i Reave wymienili spojrzenia, a potem zabrali gdzieś Mika, Ziriego, Virka, Ratha, Ixandera i kilkoro Bastardów o wytrzeszczonych ze zdumienia oczach.

Tymczasem Scarab, Eliza i Nightingale poprowadziły Karou, Zuzanę, Liraz, Issę i Żywe Cienie przez prywatne komnaty królowej aż do pałacowej łaźni, gdzie otuliła je aromatyczna para i zapewniła im najmiłsze z możliwych powitań, jak wszystkie zgodnie stwierdziły.

Wszystkie, z wyjątkiem jednej. W ciągu tych kilku sekund między lądowaniem a wejściem do pałacu Karou wypatrywała Akivy, ale nigdzie go nie zobaczyła. Nightingale uściśnęła jej dłoń,

uśmiechnęła się i zrobiło jej się nawet trochę lepiej, ale wiedziała, że poczuje się naprawdę dobrze, dopiero gdy go zobaczy i przekona się, że łącząca ich więź nie osłabła.

Wierzyła, że jest silna. Codziennie rano budziła się przekonana o tym, niemal jakby byli razem we śnie.

– Jak to możliwe, że już jesteście? – spytała Scarab, kiedy wszystkie się rozebrały, rozsiadły się w spienionej wodzie i dostały gliniane naczynia z dziwnym napojem, który niwelował nieznośny upał panujący w łaźni. – Zakończyliście już swoje zadanie?

Karou była wdzięczna Issie, że się odezwała. Ona nie miała siły na udawanie, że jest w nastroju na grzecznościową pogawędkę.

„Gdzie on jest?”

– Zebraliśmy już dusze – odparła Issa. – Są bezpieczne. Ale spodziewamy się ciężkiej zimy, bo codziennie przybywa coraz więcej uchodźców. Uznaliśmy, że ze wskrzeszeniami najlepiej będzie zaczekać na bardziej sprzyjającą porę roku.

To był dyplomatyczny sposób na stwierdzenie, że nie mogli wskrzesić martwych mieszkańców Loramendi, by cierpieli głód i chłód szarej pory lodowatego deszczu i brodzili w błocie z popiołów miasta. Już w tej chwili jedzenia mieli za mało, dachów nad głowami też brakowało. Nie tak Brimstone i Wielki Wojownik wyobrażali sobie kolejny krok, który miał nastąpić po zniszczeniu długich, spiralnych schodów prowadzących w głąb ziemi i uwięzieniu swoich ludzi na dole. A ci, którzy pozostali na powierzchni, nie po to poświęcili życie. Chcieli żeby tamci mogli pewnego dnia żyć w lepszych czasach.

Te czasy jeszcze nie nadeszły. Było lepiej, ale nie wystarczająco dobrze.

Karou uważała, że to słuszna decyzja, wycofała się jednak z debaty i zostawiła ją innym, ponieważ przerwa pozwoliłaby jej na zrobienie tego, czego najbardziej na świecie pragnęła. Nic nie mogła poradzić, że swoje pragnienia uważała za samolubne. Czowała też, że nadziei, której się tak trzymała, nie powinna dźwigać na drugi koniec świata, żeby ofiarować ją jednej duszy, podczas gdy tyle innych pozostawało w uśpieniu.

Scarab jakby wyczuła jej wewnętrzną burzę.

– Podjęliście odważną decyzję, choć wyobrażam sobie, że niełatwą. Ale wszystko w swoim czasie. Miasto da się odbudować. To tylko kwestia siły mięśni, woli i czasu.

– A skoro już mowa o czasie – podjęła Nightingale – jak długo zostanieie?

– Większość tylko kilka tygodni – odparła tym razem Liraz – ale ustaliliśmy – zerknęła surowo na Karou – że ona powinna zostać z wami aż do wiosny.

Z tym Karou zmagala się najbardziej. Pragnęła tego – cała zima z Akivą! – ale nie mogła nie myśleć o fatalnych warunkach, w jakich pozostaną inni. „Jak zaczyna się robić ciężko”, myślała, „nie wyjeżdża się na wakacje”.

– Zdrowie twojej animy ma kluczowe znaczenie dla przyszłości twoich ludzi – orzekła Scarab. – Nigdy o tym nie zapominaj. Musisz dojść do siebie i odpocząć.

A Nightingale dodała:

– Ból jest brutalną ofiarą i odbiera siły.

– Gdy anima jest szczęśliwa – podsumowała Eliza takim tonem, jakby wiedziała, o czym mówi – rozkwita.

Issa cały czas kiwała głową, a jej mina niewzruszenie wyrażała „a nie mówiłam?”

– To twój obowiązek, moja słodka – dodała śpiewnie – pilnować zdrowia duszy i ciała.

„Szczęście musi się gdzieś podziąć”, przypomniała sobie Karou, westchnęła i zanurzyła się głębiej. Niektóre zrzędzenia losu trudno zaakceptować, ale to nie było jedno z nich.

– No dobrze, niech będzie – zgodziła się z udawaną niechęcią. – Skoro nalegacie.

Wyszła z kąpieli, mając wrażenie, że oczyściła ciało i duszę. Potem się do niej zabrały. Przyjemnie było oddać się w ręce kobiet i to jakich! Najokrutniejsza z chimer i najgroźniejsza serafinka, do tego Naja i dzika neek-neek zamknięta dla niepoznaki w uroczym ludzkim ciele, dwie ognistookie Stelianki o niepoznanej mocy i Eliza, która okazała się brakującym ogniwem. Kluczem, który pasował do zamka. A przy okazji strasznie fajną laską.

Rozczesały Karou włosy i zawinęły, wilgotne jeszcze, w przewiązane winoroślą spiralki, które spłynęły po jej nagich plecach. Przyniosły też jasne, jedwabiste szaty w stylu steliańskim i przyłożyły do jej skóry.

– Białe do ciebie nie pasuje – orzekła Scarab i odrzuciła suknię. – Wyglądałabyś jak duch. – Wyczarowała za to szatę kojarzącą się z szeptem wieczoru, ozdobioną mikroskopijnymi kryształkami wyglądającymi jak gwiazdne konstelacje. Materiał przeciekał jej przez palce jak woda i jak przeszłość. Karou aż się roześmiała.

– Co jest? – dopytywała Zuzana.

– Nic – odparła i zaczęła, aż dokończą dzieła. Suknia przypominała sari upięte na jednym ramieniu i odsłaniające plecy. Żałowała prawie, że nie ma cukiernicy i pędzla, żeby się oprószyć cukrem. Wyglądała prawie jak na balu u Wielkiego Wojownika, kiedy odnalazł ją Akiva.

– Chcesz zatrzymać te ciuchy? – spytała Eliza, kopiąc rozrzuconą po posadzce kupkę ubrań.

– W życiu, spal je – odparła Karou. – Nie. Czekaj. – Sięgnęła do kieszeni spodni i wyjęła rozwidloną kostkę, którą nosiła z sobą przez te wszystkie miesiące. – Dobra. Teraz już możesz.

Zaprowadziły ją na dwór, a ona czuła się jak panna młoda. Deszcz przestał padać, ale noc jeszcze żyła jego wspomnieniem: to tu, to tam spadała kropla, a po ziemi płynęły strumyki. Nocne stworzenia śpiewały, a w balsamicznym, nasyconym mgłą powietrzu unosiły się zapachy przypominające miód.

I był tam Akiva.

Przemoczony do suchej nitki i otoczony obłokiem, bo woda parowała na jego gorącej skórze. W jego oczach szalały płomienie, bo wściekał się, że każą mu czekać. Ręce mu się trzęsły, zaciskał je w pięści, ale zamarł, gdy ją zobaczył.

Czas znów przeskoczył. A może tylko im się wydawało? Nie chcieli więcej tych morderczych sekund, gdy nie wolno im się było dotykać. Za dużo ich mieli za sobą, już dość.

Jednocześnie wzlecieli w powietrze. Czas uskoczył im z drogi, a oni zawirowali. Ziemia pozostała w dole. Wyspy też. Niebo ich wzywało, a księżycy skryły się w chmurach, żeby nikt nie widział ich łez i żalu, który należał do poprzedniej epoki.

Usta, oddechy, skrzydła i taniec. Wdzięczność, ulga i głód. I śmiech. Wdychany i pełen smaku. Twarz całowana miejsce koło miejsca. Rzęsy wilgotne od łez, sól scałowywana z ust. Usta, nareszcie, miękkie i gorące – centrum wszechświata – i bicie serca, wcale nie w jednym rytmie, ale przenoszone tam i z powrotem z przywierających do siebie ciał niczym rozmowa składająca się tylko z jednego słowa: tak.

Tak to właśnie było. Znaleźli się i nie zamierzali marnować czasu.

To nie szczęśliwe zakończenie, tylko szczęśliwe w trakcie. Nareszcie, po tylu nieudanych początkach. Ich historia będzie długa. Opisana w wierszach, pieśniach i zwykłą prozą. Kiedyś ktoś ją zapisze w nieistniejących jeszcze woluminach i zamknie w archiwach miast, które nie zostały jeszcze zbudowane. Mimo najszczęśliwszych pragnień Karou, nie będzie to nudna opowieść.

Zresztą, począwszy od tej nocy będzie za to wdzięczna jeszcze milionkrotnie.

Lot przez mgłę, złączone dłonie. Jedna wyspa spośród kilkuset. Pawilon stojący na plaży w kształcie półksiężyca. Akiva nie przesadzał, kiedy mówił Melliel, że trudno to nazwać domem. Kiedyś wyobrażał sobie drzwi, którymi odgradzą się od świata, ale tu nie było drzwi, więc świat wydawał się drugim pokojem, a morze i niebo sięgały w nieskończoność.

Słomiany dach na palach, jeden bok przytulony do klifu, który go osłaniał, podłoga z miękkiego piasku, winorośl spływająca ze skał i z dwóch stron zastępująca ściany. To przygotował już dawno. A od dzisiaj stał tu także stół i krzesła. Co prawda „stół” był obrobionym drewnianym balem wyrzuconym przez morze, ale okrywał go obrus piękniejszy, niż na to zasługiwał. Na blacie pyszniła się drewniana misa z owocami oraz piękny czajnik, pudełko z herbatą i dwie filiżanki. Z haków zwisały latarenki, a zwoje tkaniny zastąpiły czwartą ścianę, lekko poruszającą się na wietrze i przejrzystą jak morska mgła.

Rozpakował też prezent od Nightingale i ułożył w należnym mu miejscu, na łóżku. Gdy wprowadził Karou do domu, który dla niej stworzył – dzieła zrodzonego w wyobraźni, tak doskonałego, że zapomniała, jak się oddycha i musiała się na gwałt uczyć na nowo – jego życzenie się spełniło.

Bo na łóżku leżał koc, którym będą mogli się okryć. Ich wspólny. Przyszedł taki moment tej nocy, że oboje na nim uklękli i popatrzyli na siebie z bardzo bliska. Między sobą trzymali rozwidloną kostkę.

Każde z nich złapało za jedną połówkę i pociągnęło.

Podziękowania

Skończyłam. Jest tak, jak miało być, ale jeszcze trochę kręci mi się w głowie i strasznie mi smutno, że muszę zamknąć ten rozdział mojego życia. Trylogia, zadanie wykonane. Wciąż nie mogę w to uwierzyć. I cały czas czekam, aż Razgut pokaże mi przejście. Bo przecież Eretz istnieje naprawdę.

A co, sądziliście, że je sobie wymyśliłam?

Nie wiem, jak uszeregować podziękowania kierowane do tylu osób. Wdzięczność wobec wszystkich tych cudownych istot aż mnie przepelnia.

Czytelnicy! Dziękuję z głębi serca, że od czasu Córki dymu i kości trzymaliście za mnie kciuki – i za Karou też – i przez całą drogę dotrzymywaliście mi towarzystwa. Dziękuję, że byliście, że przeżywaliście, że czekaliście. Czytelnicy książkowych serii to najlepsi czytelnicy! I wielkie dzięki dla genialnego fandomu, za sztukę, poczucie humoru i ciepło.

Oto jest! Mam nadzieję, że się Wam podobało.

Dziękuję ekipie wydawnictwa Little, Brown za zagięcie czasu i przestrzeni, żebym mogła dokończyć książkę, tak jak chciałam i jak potrzebowałam, a jednocześnie pilnując, żeby się ukazała na czas. Nie umiem wyrazić, jak bardzo jestem Wam wdzięczna za wsparcie. Zwłaszcza Alvinie Ling za nieocenioną pomoc redaktorską i entuzjazm, który działał jak zastrzyk energii zawsze wtedy, gdy jej najbardziej potrzebowałam. A także Bethany Strout, Lisie Moraledzie, Melanie Chang, Faye Bi, Andrew Smithowi, Victorii Stapleton, Ann Dye, Nellie Kurtzman, Tinie McIntyre, Adrianowi Palaciosowi, Julii Coście, Amy Habayab, Kristin Dulaney, Ninie Pombo, JoAnnie Kremer, Andy'emu Ballowi, Christinie Ma, Rebecce Westall, Renée Gelman, Tracy Shaw i Megan Tingley za stworzenie tak niezwykłego wydawnictwa.

A ponieważ mam to szczęście, że żyję w równoległych wydawniczych światach, dziękuję drugiej niesamowitej ekipie, wydawnictwu Hodder & Stoughton z Londynu. Za zapierające dech cudowne pomysły i za nieskończoną wiarę we mnie. Wyjątkowe podziękowania dla Kate Howard, która dla Karou przemierzyła ocean i przyleciała na inny kontynent, i to zaraz na samym początku! Umiesz dowartościować pisarza, Kate! Dziękuję też Jamiemu Hodder-Williamsowi, Carolyn Mays, Lucy Hale, Katie Wickham, Naomi Berwin, Veronique Norton, Lucy Foley, Fleur Clarke, Catherine Worsley, Claudette Morris i Linnet Matthey.

Dla Jane Putch, mojej znacznie-więcej-niż-agentki znacznie-więcej-niż-dziękuję! To był szalony rok. W zasadzie pięć szalonych lat spędzonych przy tej trylogii. Bez Ciebie bym nie dała rady. Nie miałabym szans. Wznoszę toast za przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Zdrówko!

I wreszcie moja rodzina. Po pierwsze, dziękuję mojej siostrze, dr Emily Taylor, pani profesor, badaczce i łowczyni grzechotników, za konsultacje naukowe i korektę. Mam nadzieję, że w końcu udało mi się zrozumieć, co tak naprawdę robi Eliza. (Wnikliwi czytelnicy

pamiętają może „młodą blond herpetolożkę”, od której Karou kupowała zęby w Córce dymu i kości. To właśnie Emily). Po drugie, moim rodzicom, Patti i Jimowi Taylorom, za wszystko i jeszcze więcej. Mojemu bratu Alexowi także.

Dziękuję Tone Almjhell za bohaterską lekturę na ostatnią chwilę i wyczulenie na głupoty, które mogłam palnąć.

A przede wszystkim, jak zawsze, Jimowi, bo to dzięki niemu zaczęłam znów pisać po tym, jak się wiele lat temu poddałam – a w każdym razie zawiesiłam działalność pisarską do niesprecyzowanego w czasie odwołania – i który od tamtej pory jest moim najwierniejszym kibicem. Szczęściara ze mnie. Toast za jeszcze trzysta lat razem!

Na koniec dziękuję Clementine, która przyszła na świat miesiąc przed Karou (choć Karou dojrzewała dłużej) i zna ją od zawsze. Dziękuję, że jesteś dzielną małą wojowniczką i najfajniejszym dzieckiem na świecie!

Przypisy

^[1] **Dzieła dramatyczne Williama Shakespeare'a (Szekspira): w dwunastu tomach. T. 4. Hamlet; Król Lear, przeł. Leon Ulrich. Kraków 1895 (przyp. tłum.).**